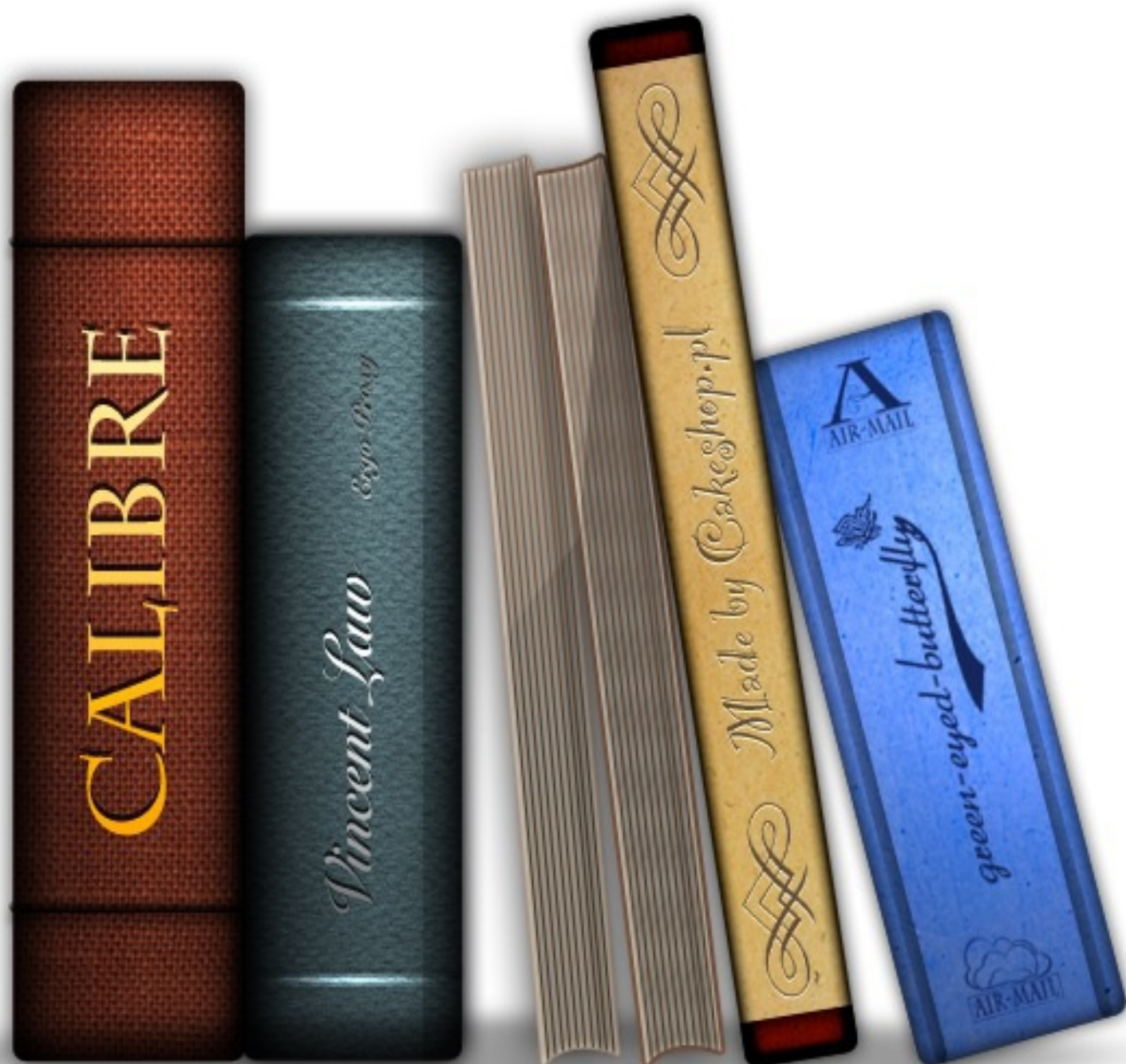


Lochy Watykanu

Gide André



calibre 0.8.24

Lochy Watykanu

Przełożył: Tadeusz Żeleński (Boy)

KSIĘGA PIERWSZA

ANTYM ARMAND-DUBOIS

Co się mnie tyczy, zrobiłem wybór. Rozstrzygnąłem na rzecz ateizmu społecznego. Dałem wyraz temu ateizmowi w szeregu dzieł, od piętnastu lat...

georges palante

Kronika filozoficzna "Mercure de France"

(grudzień, 1912)

I

W roku 1890, za pontyfikatu Leona XIII, sława doktora X, specjalisty chorób o charakterze reumatycznym, ściągnęła do Rzymu Antyma Armand-Dubois, wolnomularza.

— No i cóż! — wykrzyknął Julius de Baraglioul, jego szwagier — jedziesz ciało swoje leczyć w Rzymie! Obyś mógł tam poznać, o ile dusza twoja bardziej jeszcze jest chora!

Na co Armand-Dubois odpowiadał tonem jowialnego współczucia:

— Mój dobry szwagrze, popatrz na moje ramiona.

Godny Baraglioul mimo woli podnosił wzrok na ramiona szwagra; trzęsły się, jak gdyby poruszane głębokim niepohamowanym śmiechem, i doprawdy litość brała patrzeć na to rozległe, na wpół bezwładne ciało, obracające na tę parodię resztkę swoich mięśniowych możliwości. Trudno, stanowiska obu tych ludzi były jasno określone, wymowa pana Baraglioul nie mogła tu nic zmienić. Może czas? Może tajemny głos świętego miejsca?... Z wyrazem szczerego osmucenia Julius rzekł:

— Antymie, robisz mi wielką przykrość (ramiona natychmiast przestały tańczyć, bo Antym bardzo lubił szwagra). Dałby Bóg, za trzy lata, w dobie jubileuszu, kiedy przyjadę cię odwiedzić, abym mógł oglądać twoją skruchę!

To pewna, iż pani Weronika towarzyszyła mężowi w zgoła odmiennym stanie ducha. Ten długi pobyt w Rzymie odpowiadał najdroższym pragnieniom osoby pobożnej w tym samym stopniu co siostra jej Małgorzata i szwagier Julius. Będąc bezdzietną, wypełniała pobożnymi praktykami swoje jednostajne, zawiedzione życie i miłością ideału zastępowała miłość, której, niestety, nie żądało od niej dziecko. Ale nie miała już wielkiej nadziei doprowadzenia swego Antyma do Boga. Wiedziała od dawna, do jakiego uporu zdolne jest to szerokie czoło przecięte jak gdyby bruzdą buntu. Ksiądz Flons uprzedził ją.

— Najgorsze postanowienia — mówił — są zwykle najtrwalsze. Może pani liczyć chyba tylko na cud.

Przestawała nawet tym się smucić. Od pierwszych dni pobytu w Rzymie każde z małżonków uregulowało swój zamknięty tryb życia: Weronika — zajęcia gospodarskie i dewocję, Antym — badania naukowe.

Żyli tak obok siebie, jedno koło drugiego, obcy sobie nawzajem. Dzięki temu panowała między nimi zgoda; żyli niemal szczęśliwi, przy czym każde z dwojga znajdowało dyskretne zastosowanie swoich cnót w znoszeniu drugiej połowy.

Mieszkanie, które najęli przez pośrednika, miało, jak większość mieszkań włoskich, obok nieprzewidzianych zalet znaczne niewygody. Zajmowali całe pierwsze piętro pałacu Forgetti przy via in Lucina; był tam dość piękny taras, gdzie Weronika wytrwale hodowała aspidistrie, tak licho udające się w mieszkaniach paryskich; aby się dostać na taras, musiała przechodzić przez oranżerię, z której Antym uczynił natychmiast swoje laboratorium: ułożono się, że pozwoli żonie przechodzić tamtędy w oznaczonych godzinach.

Po cichu Weronika otwierała drzwi, potem wsuwała się chyłkiem, z oczyma wbitymi w ziemię, tak jak przechodzi braciszek zakonny koło sprośnych *graffiti*; wołała bowiem nie patrzeć na olbrzymi grzbiet Antyma, przygięty nad jakąś niegodziwą operacją, kipiący w głębi pokoju z fotela, o który oparta była kula. Antym znowuż udawał, że nie słyszy żony. Ale skoro tylko przeszła z powrotem, podnosił się ciężko z krzesła, włókł się do drzwi i niechętny, z zaciśniętymi ustami, stanowczym ruchem wskazującego palca, trach! zasuwał rygiel.

Była to pora, w której niebawem drugimi drzwiami dostawca jego Beppo zjawiał się po zlecenia.

Tego dwunasto- albo trzynastoletniego urwisa, w łachmanach, bez rodziców, bez domu, Antym zauważył wkrótce po swoim przybyciu do Rzymu. Przed hotelem przy via di Bocca di Leone, gdzie państwo Armand-Dubois stanęli zrazu, Beppo starał się ściągnąć uwagę przechodniów za pomocą świerszcza schowanego pod garstką trawy w trzcinowej więciorce. Antym dał sześć su za owada, po czym swoją kulawą włoszczyzną wytłumaczył dzieciakowi, że w mieszkaniu, do którego się wprowadza nazajutrz przy via in Lucina, będzie niebawem potrzebował kilka szcurów. Wszystko, co pełza, chodzi lub lata, służyło mu do doświadczeń. Pracował w żywym materiale.

Beppo, urodzony stręczyciel, dostarczyłby bodaj orła albo wilczycę z Kapitolu. Lubił to rzemiosło, sprzyjające jego upodobaniu do włóczęgi. Antym ofiarował mu dziesięć su dziennie; chłopiec pomagał też sprzątać. Weronika patrzyła, nań zrazu niechętnie; ale od chwili, w której ujrzała, że się żegna przechodząc koło Madonny na rogu domu, wybaczyła mu jego łachmany i pozwoliła mu nosić do kuchni wodę, węgiel i drzewo; nosił nawet koszyk, kiedy towarzyszył Weronice na targ, we wtorki lub w piątki, dnie, w których Karolina, kucharka przywieziona z Paryża,

była bardziej zajęta.

Beppo nie lubił Weroniki, ale rozkochał się w uczonym, który z czasem, zamiast schodzić z trudem na podwórze po swoją porcję ofiar, pozwolił dzieciakowi zachodzić do laboratorium. Był tam dostęp wprost przez taras, połączony ukrytymi schodkami z dziedzińcem. Pograżone w zgryźliwej samotności serce Antyma biło trochę, ilekroć usłyszał lekki tupot bosych nóg na podłodze. Ale nie okazywał nic; nic go nie odrywało od pracy.

Dzieciak nie pukał do oszklonych drzwi, ale skrobał; kiedy zaś Antym, zgięty przy stole nie dawał żadnego znaku, zbliżał się o cztery kroki i rzucał swoim świeżym głosem: "*Permesso?*", które napełniało pokój błękitem. Z głosu można by rzec — anioł, a to był pomocnik kata. Jakąż nową ofiarę przynosił w worku, który kładł na stole udręczeń? Często Antym, zbyt pochłonięty pracą, nie od razu otwierał worek; obejmował go bystrym wzrokiem; z chwilą gdy płótno drżało, to był dobry znak; szczur, mysz, wróbel, żaba, wszystko było dobre dla tego Molocha. Czasami Beppo nie przynosił nic, ale wchodził i tak; wiedział, że pan Armand-Dubois oczekuje go choćby z próżnymi rękami. I podczas gdy milczące dziecko pochylało się obok uczonego nad jakimś ohydny doświadczeniem, nie ręczyłbym, czy uczony nie doznawał satysfakcji samozwańczego bożka, czując zdumione oczy malca spoglądające to ze zgrozą na zwierzę, to z podziwem na niego samego.

W oczekiwaniu, aż się weźmie do człowieka, Antym Armand-Dubois silił się po prostu sprowadzić do "tropizmów" wszelkie objawy życia u zwierząt, które obserwował. Tropizmy! Zaledwie puszczono w obieg to słowo, nie chciano już znać niczego innego, cała szkoła psychologów uznawała już tylko tropizmy. Tropizmy! Co za nagłe światło biło z tych zgłosek! Oczywiście, organizm ulega tym samym pobudzeniom, co heliotrop, kiedy ta bezwolna roślina obraca kwiat ku słońcu (co z łatwością da się sprowadzić do paru prostych praw fizyki i termochemii). Nareszcie kosmos stawał się pełen pocieszającej prostoty! W najbardziej zdumiewających odruchach żywej istoty można po prostu ujrzyć doskonałe posłuszeństwo wobec odczynnika.

Aby dojść do celu, aby wydobyć z pokonanego zwierzęcia wyznanie jego prostoty, Antym Armand-Dubois wymyślił skomplikowany system skrzynek z korytarzykami, z pułapkami, z labiryntami, z przegródkami, z których jedne zawierały żywność, drugie nic albo jakiś proszek powodujący kichanie; z drzwiczkami rozmaitego kształtu lub koloru: diaboliczne aparaty, które niebawem zyskały szalony sukces w Niemczech i które pod nazwą *Vexierkasten* pozwoliły nowej szkole psychofizjologicznej uczynić jeden krok więcej w niedowiarstwie. I, aby działać rozmaicie na ten czy ów zmysł zwierzęcia, na tę lub ową partię mózgu, oślepiał jedne, ogłuszał drugie, kastrował je, obłuszczał, wymóżdżał, ogałacał z tego lub owego narządu, o którym przysięglibyście, że jest niezbędny, a bez którego zwierzę, ku zbudowaniu Antyma, obchodziło się.

Jego referat o "refleksach warunkowych" zrewolucjonizował uniwersytet w Upsali: wszczęły się zawzięte dyskusje, w których wzięła udział elita zagranicznych uczonych. Tymczasem w myśli Antyma kłębiły się nowe zagadnienia; pozwalając tedy spierać się kolegom, prowadził swoje badania w innych kierunkach, zamierzając przyprzeć do muru Boga w jego najbardziej sekretnych kryjówkach.

Nie wystarczyło mu przyjąć *grosso modo* to, że każda czynność powoduje zużycie, ani to, że zwierzę wydatkuje się przez samo funkcjonowanie mięśni albo zmysłów. Po każdym wydatku pytał:

ile? I kiedy wycieńczony pacjent starał się odzyskać siły, Antym, zamiast go żywić, ważył go. Wprowadzenie nowych składników zanadto by skomplikowało następujące doświadczenie: sześć głodnych i skrępowanych szczurów szło co dzień na wagę: dwa ślepe, dwa jednookie, dwa widzące, których wzrok nużył bezustannie mechanicznym młynkiem. Po pięciu dniach postu, jaki był stosunek ewentualnej utraty na wadze? Codziennie po południu Armand-Dubois na małych specjalnych tabelkach przydawał nowe tryumfalne cyfry.

II

Jubileusz zbliżał się. Armand-Dubois z żoną oczekiwał lada dzień państwa Baraglioul. Kiedy pewnego rana przyszła depesza oznajmiająca ich przybycie wieczorem, Antym wyszedł, aby kupić sobie krawat.

Antym wychodził niewiele; możliwie najmniej, ile że poruszał się z trudem. Weronika chętnie załatwiała mu sprawunki albo sprowadzała mu rękodzielników, którzy przyjmowali zamówienie. Antym nie troszczył się już o modę, ale mimo całej skromności krawata, którego pragnął (prosty węzeł z czarnej popeliny), chciał go sobie sam wybrać. Brązowy atlasowy plastron, który kupił na drogę i który nosił w pierwszych dniach w hotelu, wymykał się z kamizelki, którą Antym nosił bardzo otwartą; następca jego, kremowy fular, spięty szpilką ze starą, wielką, niedrogą kameą, wydałby się pani de Baraglioul bardzo negliżowy. Źle zrobił, że porzucił czarne motylki, już uszyte, jakie nosił zazwyczaj w Paryżu, a zwłaszcza że nie zachował jednego na wzór. Jakie modele mu zaproponują? Nie zdecyduje się, nim zwiedzi kilka magazynów na Corso i na via dei Condotti. Fontazie były za fantazyjne dla człowieka pięćdziesięcioletniego; stanowczo najodpowiedniejszy był gotowy, zupełnie gładki, z czarnej matowej materii.

Śniadanie miało być o pierwszej. Antym wrócił koło południa ze swoim sprawunkiem, właśnie na czas, aby zważyć zwierzęta.

Antym nie był strojnisiem, och, nie; mimo to uczył potrzebę przymierzenia krawata, zanim się weźmie do pracy. Leżał tam ułomek lustra, który służył mu niegdyś do wywoływania tropizmów: oparł go o jakąś klatkę i nachylił się ku własnemu odbiciu.

Antym nosił "na jeża" włosy jeszcze gęste, niegdyś rude, dziś wpadające w ów niepewny szarozółty ton, jaki przybiera stare pozłacane srebro; krzaczaste brwi sterczały nad oczami szarymi i zimnymi jak niebo zimowe; wysoko ucięte, krótkie bokobrody zachowały ten sam płowy odcień co nastroszone wąsy. Przeciągnął dłonią po płaskich policzkach i po szerokim kwadratowym podbródku.

— Tak, tak — mruknął — ogolę się później.

Wyjął z koperty krawat, położył go przed sobą, wyjął szpilkę z kameą, zdjął fular. Potężny jego kark tkwił w niezbyt wysokim i głęboko wyciętym z przodu kołnierzyku z zagiętymi rogami. Tutaj, mimo intencji notowania jedynie rzeczy zasadniczych, nie mogę pominąć milczeniem guza Antyma Armand-Dubois. Dopóki bowiem nie nauczę się bieglej rozróżniać rzeczy przypadkowych od nieodzownych, czegoż mogę żądać od swego pióra, jeśli nie ścisłości i dokładności? Któż w istocie mógłby twierdzić, że ten guz nie odgrywał żadnej roli, że nic nie ważył w decyzjach tego, co Antym nazywał swoją wolną myślą? Chętniej już przechodził do porządku nad swoim ischiasem; ale tej szkany nie mógł darować Panu Bogu.

Przyszło mu to nie wiadomo skąd, niedługo po ożenieniu się; najpierw zjawił się na południowy wschód od lewego ucha, gdzie skóra zaczyna porastać włosami, nieznaczny groszek; przez długi czas mógł ukryć tę wybujałość pod puklem włosów, które szeszywał na to miejsce; nawet Weronika nie zauważyła nic. Aż raz, podczas jakiejś czulszej nocy, natrafiła ręką na guzek:

— O, co ty tu masz? — wykrzyknęła.

I, jak gdyby zdemaskowana narodziła nie potrzebowała się już ukrywać, doszła w niewiele miesięcy do wielkości jajka kuropatwy, potem perliczki, potem kury i zatrzymała się na tym, podczas gdy przerzedzone włosy rozdzielały się w tym miejscu, obnażając ją. W czterdziestym szóstym roku życia Antym Armand-Dubois nie myślał już o tym, aby się podobać; ostrzygł krótko włosy i zaczął nosić owe kołnierzyki, których specjalny krój równocześnie ukrywał guz i odsłaniał go. Ale dosyć już o guzie Antyma.

Założył krawat na szyję. W środku krawata poprzez metalową klamerkę miała przejść wstążka, którą znowuż miał przytrzymać zatrzask. Sprytny ten przyrządek czekał tylko na przejście wstążki, aby się odpruć od krawata, który spadł na stół operacyjny. Trzeba było się uciec do Weroniki; nadbiegła na wezwanie.

— Masz, przyszyj mi to — rzekł Antym.

— Maszynowa robota; nic niewarte — szepnęła.

— W istocie, nic się nie trzyma.

Weronika miała zawsze wpięte w stanik, poniżej lewej piersi, dwie nawleczone igły, jedną białą, drugą czarną nitką. W pobliżu oszklonych drzwi, nawet nie siadając, zaczęła naprawiać. Antym patrzył na nią. Była to dość zażywna kobieta, o wyrazistych rysach; uparta jak on, ale raczej życzliwa i przeważnie uśmiechnięta, tak iż odrobina wąsów nie czyniła jej twarzy zbyt surową.

“Ma swoje zalety — myślał Antym patrząc, jak żona przeciąga nitkę. — Mogłem być się ożenić z fikalską, która by mnie zdradzała, z lekkomyślnicą, która by mnie puściła kantem, z papłą, która by mi kotłowała głowę, z gęsią, która by mnie wyprowadzała z cierpliwości, ze zrzędą jak moja szwagierka...”

I kiedy Weronika, skończywszy robotę miała odejść, rzekł do niej mniej szorstko niż zwykle:

— Dziękuję.

Włożywszy krawat Antym oddał się całkowicie swojej wadze. Nie rozlegał się już żaden głos, ani zewnątrz, ani w jego sercu. Zważył już szczury ślepe. Co to znaczy? Szczury jednookie trzymają się w miejscu. Waży szczury zdrowe.

Naraz podskakuje tak gwałtownie, że kula stacza się na ziemię. Osłupiał. Szczury zdrowe... waży je na nowo; ale nie, niepodobna się mylić: szczury zdrowe od wczoraj przybrały na wadze. Nagły błysk przeszywa mózg Antyma.

— Weroniko!

Z wielkim wysiłkiem, podniósłszy kulę, rzuca się ku drzwiom:

— Weroniko!

Nadbiegła znowu, gotowa do usług. Wówczas on, stojąc w progu, uroczyście:

— Kto tykał moje szczury?

Żadnej odpowiedzi. Powtarza wolno, akcentując każde słowo, jak gdyby Weronika przestała dobrze rozumieć po francusku:

— Podczas gdy mnie nie było, ktoś dał im jeść. Czy to ty?

Wówczas ona, odzyskując nieco śmiałości, zwraca się ku niemu prawie zaczepnie:

— Głodziłeś na śmierć te biedne zwierzęta. Nie popsułam twojego doświadczenia; tylko trochę im...

Chwycił żonę za rękaw i utykając pociągnął ją do stołu, po czym, wskazując na tabele z obserwacjami, rzekł:

— Widzisz te kartki, gdzie od dwóch tygodni notuję swoje obserwacje na tych zwierzętach: na te właśnie kartki czeka mój kolega Potier, aby je odczytać w Akademii na posiedzeniu siedemnastego maja. Dziś, piętnastego kwietnia, co mam dopisać do tych cyfr? Co mam dopisać?

A kiedy ona milczy, on kwadratowym końcem palca, niby sztyletem, uderza w białą kartę:

— Tego dnia — ciągnie — pani Armand-Dubois, małżonka badacza, słuchając jedynie swego tkliwego serca, popełniła... co chcesz, żebym napisał? Niezręczność? lekkomyślność? głupstwo?

— Napisz raczej: ulitowała się biednych zwierząt, ofiar nedorzecznej ciekawości.

Antym prostuje się, bardzo godny.

— Jeżeli pani bierze to w ten sposób, rozumie pani, iż odtąd zmuszony jestem prosić, abyś chodziła do swoich plantacji przez kuchnię.

— Czy sądzisz, że ja kiedykolwiek wchodzę do twojej nory dla przyjemności?

— Oszczędź sobie na przyszłość trudu wchodzenia tutaj.

Następnie, podkreślając te słowa gestem, chwyta karty z zapiskami i drze je na drobne kawałki.

“Od dwóch tygodni” — powiedział; w rzeczywistości szczury pościły dopiero od czterech dni. I irytacja jego wyczerpała się zapewne w tej przesadzie, bo do śniadania zdołał zasiąść z pogodnym czołem; posunął nawet filozofię tak daleko, że wyciągnął do żony pojednawczą prawicę. Bo bardziej jeszcze od Weroniki nie chciałby dać owemu tak dobrze myślącemu małżeństwu Baraglioul obrazu niezgody, której winę przerwuciliby z pewnością na przekonania Antyma.

Około piątej Weronika zmienia domową bluzkę na czarny sukienny żakiet i jedzie na spotkanie Juliusa i Małgorzaty, którzy mają zajechać na dworzec rzymski o szóstej. Antym idzie się ogolić; zdecydował się zastąpić swój fular gotowym krawatem, to chyba wystarczy; nie lubi etykiety i nie chce się wobec szwagierki zaprzeć swojej alpakowej marynarki, białej kamizelki w niebieskie kwiatki, drelichowych spodni i wygodnych czarnych skórzanych pantofli bez obcasów, które nosi nawet na ulicy i które usprawiedliwia jego choroba.

Zbiera podarte kartki, składa kawałki i przepisuje starannie cyfry, oczekując Baraglioulów.

III

Rodzina Baraglioul (*gl* wymawia się jak miękkie *l*, z włoska, jak w Broglie [książę] i w *migliaonnaire*) pochodzi z Parmy. Jeden z Baragliolich (Alessandro) pojął w drugie stadło Filippe Visconti w roku 1514, w niewiele miesięcy po aneksji księstwa do Państwa Kościelnego. Drugi Baraglioli (również Alessandro) odznaczył się w bitwie pod Lepanto i zginął w tajemniczych dotąd okolicznościach, zamordowany w roku 1580. Byłoby łatwe, ale nie interesujące śledzić losy tej rodziny aż do roku 1807, epoki, w której Parmę przyłączono do Francji i kiedy Robert de Baraglioul, dziadek Juliusa, osiedlił się w Pau. W roku 1828 otrzymał od Karola X koronę hrabiowską, koronę, którą miał nosić tak szlachetnie nieco później Justus Agenor, jego trzeci syn (dwaj poprzedni umarli wcześniej), w ambasadach, gdzie błyszczała jego lotna inteligencja i gdzie tryumfowała jego sztuka dyplomatyczna.

Julius był drugim dzieckiem Justusa Agenora de Baraglioul. Od czasu swego małżeństwa

ustatkował się zupełnie; za młodu miał parę miłostek. Ale przynajmniej mógł sobie oddać tę sprawiedliwość, że serce jego nigdy nie zboczyło z drogi. Wrodzona wytworność jego natury i ów rodzaj wykwintu duchowego, którym tchnęły najdrobniejsze utwory Juliusa, zawsze zdołały utrzymać jego pragnienie na pochyłości, gdzie ciekawość powieściopisarza byłaby im z pewnością popuściła cugli. Krew jego nie była burzliwa, ale nie była chłodna, o czym mogłaby zaświadczyć niejedna arystokratyczna piękność... I nie wspominałbym tu o tym, gdyby jego pierwsze powieści nie dały tego dość przejrzysto do zrozumienia, czemu zawdzięczały po części swoje światowe sukcesy. Wysoka klasa publiczności zdolnej je ocenić pozwoliła im ukazać się: jednej w "Correspondant", dwóm innym w "Revue des Deux Mondes". W ten sposób, jakby mimo woli, młody jeszcze autor znalazł się na drodze do Akademii: piękna postawa, poważne i namaszczone spojrzenie oraz myśląca bladeść czoła zdawały się go tam przeznaczać.

Antym wyznawał wielką wzgardę dla przewag urodzenia, majątku i form, co stale martwiło Juliusa; ale cenił u Juliusa niejaką wrodzoną poczciwość oraz wielką niezaradność w dyskusji, co pozwalało często wolnej myśli uzyskać przewagę.

O szóstej Antym usłyszał przed bramą powóz swoich gości. Wszedł do sieni na ich spotkanie. Julius szedł pierwszy. W twardym słomkowym kapeluszu, w zarzutce z jedwabnymi wyłogami, raczej wyglądałby na człowieka w stroju wizytowym niż w podróznym, gdyby nie szkocki pled przerzucony przez ramię. Długa podróż zupełnie go nie zmęczyła. Pani de Baraglioul szła za mężem pod rękę z siostrą; ona, przeciwnie, była bardzo zmęczona, kapelusz i fryzurę miała na bakier, potykała się na schodach, część twarzy zasłaniała chustką niby kompresem... Kiedy się zbliżyły do Antyma, Weronika szepnęła:

— Małgorzacie wpadł do oka węgiel.

Córka ich Julia, miłe dziewięcioletnie dziecko, oraz bona zamykały pochód, milcząc spłoszone.

Z charakterem Małgorzaty nie sposób było brać rzeczy na wesoło: Antym poddał, aby posłać po okulistę; ale Małgorzata zna reputację włoskich cyrulików i "za nic w świecie" nie chce o nich słyszeć; szepce omdlewającym głosem:

— Świeżej wody. Trochę świeżej wody, po prostu. Och!

— Droga siostró, oczywiście — mówi Antym — świeża woda może ci ulżyć na chwilę, zmniejszając przekrwienie, ale nie usunie przyczyny złego.

Po czym zwracając się do Juliusa:

— Czy widziałeś, co to takiego?

— Nie bardzo. Kiedy pociąg stawał i kiedy chciałem zbadać, Małgorzata zaczynała się denerwować...

— Ależ nie mów tego, Juliusie! Byłeś straszliwie niezręczny. Aby mi podnieść powiekę, zacząłeś od tego, że mi wywróciłeś wszystkie rzęsy...

— Czy chcesz, żebym ja spróbował? — rzekł Antym. — Będę może zręczniejszy.

Posługacz wnosił walizy. Karolina zapaliła lampę z reflektorem.

— Słuchaj, mój drogi, nie podejmiesz przecie tej operacji w korytarzu — rzekła Weronika i poprowadziła Baraglioulów do ich pokoju.

Mieszkanie państwa Armand-Dubois biegło dookoła dziedzińca, na który wychodziły okna korytarza łączącego się z oranżerią. Na ten korytarz wychodziły znowuż najpierw okna jadalni, potem salonu (ogromny pokój narożny, licho umeblowany, którego Antymowie prawie nie używali), wreszcie dwóch pokojów gościnnych, z których pierwszy przygotowano dla państwa Baraglioul, drugi, mniejszy, dla Julii, obok ostatniego pokoju służącego za sypialnię państwu Armand-Dubois. Wszystkie te pokoje komunikowały się z sobą. Kuchnia i dwa pokoiki dla służby były z drugiej strony sieni.

— Proszę was, nie, stójcie wszyscy koło mnie — jęczała Małgorzata. — Juliusie, zajmij się rzeczami.

Weronika posadziła siostrę w fotelu i trzymała lampę, podczas gdy Antym badał.

— To fakt, że jest zaognione. Może byś zdjęła kapelusz.

Ale Małgorzata bojąc się może, aby jej koafiura w nieładzie nie zdradziła elementów obcych, oświadcza, że zdejmie kapelusz aż później; budka związana pod brodą nie przeszkodzi jej oprzeć głowy o fotel.

— Zatem upoważniasz mnie do usunięcia źdźbła z twojego oka, zanim usunę tram z mojego — rzekł Antym śmiejąc się zaczepnie. — To mi się wydaje trochę sprzeczne z zasadami Ewangelii!

— Och, proszę cię, nie każ mi okupywać zbyt drogo twojej pomocy.

— Już nic nie mówię... Rożkiem czystej chustki... widzę, co to jest... nie bójże się, kroć diabłów! Patrz w niebo... Jest.

I Antym usunął rogiem chustki niedostrzegalny odłamek.

— Dziękuję! Dziękuję! Zostawcie mnie teraz, mam straszliwą migrenę.

Podczas gdy Małgorzata spoczywa, podczas gdy Julius rozpakowuje z boną rzeczy, a Weronika czuwa nad obiadem, Antym zabawia się z Julcią, którą wziął do swego pokoju. Widział swoją siostrzenicę maleńką i ledwo może ją poznać w tej dużej dziewczynce z uśmiechem już poważnie naiwnym. Po jakimś czasie, podczas gdy trzyma ją blisko siebie, rozmawiając o drobiazgach zdolnych w jego mniemaniu ją zabawić, spojrzenie jego zahaczyło się o cienki srebrny łańcuszek,

który dziecko ma na szyi i na którym — Antym czuje to węchem — muszą wisieć medaliki. Niedyskretnym ruchem grubego wskazującego palca wydobywa je na wierzch i, kryjąc chorobliwy wstręt pod maską zdziwienia, pyta:

— Co to są te historyjki?

Julia rozumie doskonale, że pytanie nie jest poważne, ale czemuż miałyby się oburzać?

— Jak to, wujaszku, nigdy wujek nie widział medalików?

— Na honor, nie, moja mała — kłamie wujek — to nie jest bardzo ładne, ale myślę, że to służy do czegoś.

Że zaś pogodna pobożność nie jest sprzeczna z niewinną figlarnością, dziecko pokazuje swoją własną fotografię opartą o lustro na kominku i dotykając jej palcem mówi:

— Ma tutaj wujek portret małej dziewczynki, która też nie jest taka znów ładna. Na co to może wujkowi służyć?

Zdziwiony, że napotkał u małej bigotki taką ciętość i tyle niewątpliwego rozsądku, wuj Antym jest na chwilę zbity z tropu. Nie może przecież wdać się w filozoficzną dysputę z dziewięcioletnią dziewczynką. Uśmiecha się. Mała korzysta natychmiast z przewagi i pokazując poświęcone medaliki mówi:

— O, to jest święta Julia, moja patronka; to jest Najświętsze Serce z...

— A portretu Pana Boga nie masz? — pyta głupawo Antym.

— Nie; Pana Boga nie robią... Ale to jest najładniejszy: to Matka Boska z Lourdes, dała mi go ciocia Fleurissoire, przywiozła go z Lourdes, włożyłam go na szyję w dniu, w którym papuś i mamusia ofiarowali mnie Najświętszej Pannie.

To było za wiele dla Antyma. Nie siląc się zrozumieć ani na chwilę niewysłowionego wdzięku, jaki wywołują te obrazy — miesiąc maj, błękitne i białe procesje dzieci — ulega maniackiej potrzebie bluźnierstwa.

— Więc nie chciała cię Najświętsza Panna, skoro jesteś jeszcze z nami?

Mała nie odpowiada nic. Czy zdaje sobie już sprawę, że na pewien rodzaj głupstw najmądrzej jest nie odpowiadać? Zresztą, co ma powiedzieć? Po tym nedorzecznym pytaniu to nie Julcia, ale wolnomularz rumieni się — lekkie zmieszanie, tajony skutek niewłaściwości, przelotne zawstydzenie, które wujek skryje, składając na niewinnym czole siostrzenicy zbożny pocałunek — niby przeprosiny.

— Czemu udajesz złego, wujku Antymie?

Mała nie myli się: w gruncie ten bezbożny uczony jest człowiekiem tkliwego serca. Zatem

czemu ten zawzięty opór? W tej chwili Adela otwiera drzwi:

— Pani prosi panienkę.

Widocznie Małgorzata de Baraglioul boi się wpływu szwagra i nie ma ochoty zostawić z nim córki dłużej. Antym odważy się wypomnieć jej to półgłosem nieco później, podczas gdy rodzina idzie do stołu. Ale Małgorzata podnosi na Antyma swoje oko, jeszcze lekko zaognione.

— Bać się siebie? Ależ, mój drogi, Julcia nawróciłaby tuzin takich jak ty, zanim by twoje drwiny wywarły na jej duszyczkę najłżejszy skutek. Nie, nie, my w naszej rodzinie jesteśmy silniejsze, niż myślisz. Ale, bądź co bądź, pamiętaj, że to dziecko... Wie, na co może się ważyć bluźnierstwo w epoce tak zepsutej i w kraju tak haniebnie rządzonym jak nasz. Ale smutne jest, że pierwszych przyczyn zgorzenia dostarczasz ty, jej wuj, dla którego szacunek chcielibyśmy jej wdrożyć.

IV

Czy te słowa, tak umiarkowane, tak rozsądne, zdołają uspokoić Antyma?

Tak, przez dwa pierwsze dania (zresztą obiad dobry, ale skromny, ma tylko trzy dania), podczas gdy rozmowa będzie się kręciła dokoła obojętnych tematów. Przez wzgląd na oko Małgorzaty będzie się mówiło zrazu o okulistyce (państwo Baraglioul udają, iż nie widzą, że guz Antyma urósł), potem o kuchni włoskiej — przez grzeczność dla Weroniki, z aluzjami do zalet jej obiadu. Potem wujaszek Antym spyta o państwa Fleurissoire, których Baraglioulowie odwiedzili niedawno w Pau, i o hrabinę de Saint-Prix, siostrę Juliusa, która ma letnią posiadłość w okolicy; o Genowefę wreszcie, uroczą starszą córkę Baraglioulów. Byliby ją chętnie wzięli z sobą do Rzymu, ale za nic nie chciała się wydalić z dziecinnego szpitala przy ulicy de Sevres, dokąd co rano śpieszy opatrywać małych biedaków. Potem Julius poruszył ważną sprawę wywłaszczenia posiadłości Antyma: chodziło o tereny, które Antym kupił w Egipcie za pierwszą podróżą, jaką odbył za młodu do tego kraju. Tereny te, licho położone, nie miały dotąd wielkiej wartości, ale od niedawna była mowa o tym, że nowa linia kolei z Kairu do Heliopolis ma je przecinać. Z pewnością sakiewka państwa Armand-Dubois, nadwątlona ryzykownymi spekulacjami, bardzo potrzebuje takiej gratki; jednakże Julius przed swoim wyjazdem miał sposobność rozmawiać z panem Maniton, inżynierem-ekspertem mającym poruczone wystudiowanie tej linii; otóż radzi szwagrowi, aby się zbyt różowo nie patrzył na sprawę: mógłby się grubo zawieść. Ale czego Antym nie mówi, to tego, iż rzecz znajduje się w rękach Loży, która nigdy nie opuszcza swoich.

Antym zagaduje z kolei Juliusa o jego kandydaturę do Akademii, o jego widoki: mówi o tym z uśmiechem, bo nie bardzo w to wierzy; a sam Julius udaje spokojną i jakby zrezygnowaną obojętność. Na co mu opowiadać, że jego siostra, hrabina de Saint-Prix, ma w ręku kardynała André

i tym samym piętnastu nieśmiertelnych, którzy zawsze głosują za nim? Antym ryzykuje bardzo lekki komplement pod adresem ostatniej powieści Baraglioula: "Dech wyżyn". Faktem jest, że książka wydała mu się okropna, a Julius, który nie łudzi się co do szwagra, powiada czym prędzej, aby zabezpieczyć swoją miłość własną:

— Przypuszczałem, że taka książka nie będzie ci się mogła podobać.

Antym zgodziłby się wreszcie usprawiedliwić książkę, ale ta aluzja do jego przekonań drażni go; zarzeka się, że przekonania nie mają żadnego wpływu na jego sądy o dziełach sztuki w ogólności, a o książkach szwagra w szczególności. Julius uśmiecha się z uprzejmą zgodnością i aby zmienić temat, pyta szwagra o jego reumatyzm, który nazywa przez omyłkę lumbago. Ha! Czemuż Julius nie pyta raczej o jego naukowe badania? Umiałby mu odpowiedzieć. Lumbago! Czemuż nie o jego guz? Ale o jego badaniach naukowych widocznie szwagier nic nie wie, woli nie wiedzieć... Antym, już podniecony i odczuwający w tej chwili boleśnie swoje "lumbago", śmieje się gorzko i odpowiada zaczepnie:

— Czy mam się lepiej?... Cha! cha! cha! To by cię diabło zmartwiło!

Julius dziwi się i prosi szwagra, aby mu wytłumaczył, na jakiej zasadzie przypisuje mu tak mało chrześcijańskie uczucia.

— Na honor! Wy także umiecie wzywać lekarza, kiedy ktoś z rodziny zachoruje, ale kiedy chory wyzdrowieje, medycyna nie liczy się już za nic, to skutek modłów, któreście ślali do nieba, podczas gdy lekarz was leczył. I gdyby tak wyzdrowiał człowiek, który nie odbywa wielkanocnej spowiedzi, uważalibyście to za wielkie zuchwalstwo!

— Wolisz raczej być chorym niż modlić się? — rzekła poważnie Małgorzata.

Czegóż ona się miesza? Zazwyczaj nie bierze udziału w ogólnych rozmowach i usuwa się na dalszy plan, skoro Julius otworzy usta. Rozmawiają między mężczyznami; do czarta ceremonie! Antym zwraca się nagle do szwagierki:

— Moja kochasiu, wiedz, że gdyby uleczenie było tu, tu, słyszysz mnie — i pokazuje wytrwale solniczkę — tuż obok, ale gdybym miał, po to, aby je uzyskać, błagać Pryncypała (w ten sposób pozwala sobie w dniach przekory nazywać Najwyższą Istotę) albo prosić go o interwencję o to, żeby zburzył dla mnie ustalony porządek, wielki porządek skutków i przyczyn, porządek czcigodny, otóż wiedz, że nie chciałbym tego uleczenia; powiedziałbym Pryncypałowi: "Zostaw mnie ze swoim cudem; nie chcę cudu".

Skanduje słowa, sylaby, podniósł głos do diapazonu swego gniewu; jest ohydny.

— Nie chciałbyś... ależ czemu? — pyta bardzo spokojnie Julius.

— Boby mnie to zmusiło uwierzyć w Tego, który nie istnieje.

To mówiąc uderza pięścią w stół. Małgorzata i Weronika wymieniły niespokojne spojrzenie, po czym obie skierowały wzrok na Julcię.

— Sądzę, że czas jest iść spać, moje dziecko — rzekła matka. — Kładź się prędko, przyjdziemy cię uściskać w łóżeczku.

Dziecko, przerażone okropnymi słowami i szatańskim obliczem wuja, ucieka.

— Ja chcę, jeżeli wyzdrowieję, zawdzięczać to jedynie sobie. Basta!

— Jak to? A lekarz? — spytała Małgorzata.

— Płacę mu za kurację i jesteśmy kwit.

Na co Julius uroczyście:

— Podczas gdy wdzięczność wobec Boga wiązałaby cię...

— Tak, bracie, i oto dlaczego nie modlę się.

— Inni modlili się za ciebie, mój drogi.

To Weronika przemówiła; dotąd nie rzekła nic. Na dźwięk tego słodkiego głosu, zbyt dobrze znanego, Antym podskakuje, traci wszelki hamulec. Najsprzeczniejsze okrzyki cisną mu się do ust: po pierwsze, nikt nie ma prawa modlić się za kogoś wbrew czyjejś woli; prosić o łaskę dla kogoś bez jego wiedzy; to jest zdrada. Nic nie wskórała, tym lepiej! To dowiedzie, co są warte jej modlitwy! Ma z czego być dumna!... Ale, ostatecznie, może nie dosyć się modliła?

— Bądź spokojny, robię to nadal — podjęła Weronika równie łagodnie jak wprzód.

Następnie, uśmiechnięta i jakby poza sferą gniewu męża, opowiada Małgorzacie, że co wieczór, bez wyjątku, pali w imię Antyma dwie świece przed Madonną na rogu domu, tam właśnie, gdzie niegdyś Weronika ujrzała żegnającego się Beppa. Dzieciak sypiał tuż obok w zagłębieniu muru, gdzie Weronika była pewna, że go zastanie o oznaczonej godzinie. Nie mogła dosięgnąć sama nędzy umieszczonej tak, aby przechodnie jej nie dostali ręką; Beppo (był to teraz wysmukły piętnastoletni młodzieniec), wspinając się na kamienie i chwytając się metalowego pierścienia, ustawiał płonące świece przed świętym obrazem... I nieznacznie rozmowa odwracała się od Antyma, zamykała się ponad nim, obie siostry mówiły teraz o wzruszającej pobożności ludu, dzięki której najlichszy posąg jest najbardziej czczony...

Antym osłupiał. Jak to! Więc nie wystarczy, że już rano za jego plecami Weronika nakarmiła jego szczury? Teraz pali świece! Za niego! Jego żona! I wciąga Beppa do tej głupiej komedii... Ha, ha! Zobaczmy!...

Krew uderza Antymowi do głowy; dławi się, skronie wałą mu jak młotem. Olbrzymim wysiłkiem woli wstaje przewracając krzesło; wylewa na obrus szklankę wody; wyciera czoło... Czy mu się słabo robi?... Weronika śpieszy ku niemu: Antym odpycha ją brutalnie, pomyka ku drzwiom, trzaska nimi i już słycać w korytarzu jego oddalający się nierówny krok z głuchym kuśtykaniem kuli.

— Moja biedna Weroniko! — powiada wreszcie Małgorzata. Ale przy tej sposobności jeszcze raz zaznacza się różnica charakteru dwu sióstr. Dusza Małgorzaty sporządzona jest z owego cudownego materiału, z którego Bóg robi swoich męczenników. Wie o tym i łaknie cierpienia. Nieszczęściem życie nie przynosi jej nic złego: mając od życia samo dobre, jej zdolność męznego znoszenia cierpień zmuszona jest szukać pokarmu w małych przeciwnościach; korzysta z najdrobniejszych rzeczy, aby zyskać jakąś rankę; zaczyna się i kaleczy o wszystko. Niewątpliwie, umie się urządzać tak, aby jej uchybiano; ale Julius coraz mniej daje pokarmu jej cnocie: jak się tu dziwić, że Małgorzata staje się coraz bardziej markotna i zgryźliwa? Z mężem takim, jak Antym, cóż za wspaniały los! Z bólem patrzy, że siostra korzysta z tego tak mało: w istocie, Weronika uchyla się od zaczepki; po jej wiekuiestej słodyczy ześlizguje się wszystko: sarkazm, drwiny — i z pewnością już od dawna pogodziła się z samotnością swego życia; poza tym Antym nie jest dla niej zły i może mówić, co mu się podoba! Ona tłumaczy, że jeżeli mąż podnosi głos, to dlatego że mu brak ruchu; mniej by się unosił, gdyby mógł więcej chodzić. I kiedy Julius spytał, gdzie on mógł iść, Weronika odpowiada: "Do pracowni".

Małgorzatę zaś, która zapytuje, czy nie dobrze byłoby tam zajrzeć — bo Antym może się czuć niedobrze po takim ataku gniewu — upewnia, że lepiej dać mu się uspokoić samemu i nie zwracać zbytnej uwagi na jego wyjście.

— Skończmy spokojnie obiad — powiada w końcu.

v

Nie, nie w pracowni zatrzymał się wujek Antym.

Przebiegł szybko tę ubikację, gdzie nadal cierpi sześć szczerów. Czemu nie zatrzyma się na tarasie, który kąpie się w blaskach zachodu? Seraficzne światło wieczorne, kojąc jego hardą duszę, skłoniłoby go może... Ale nie: ucieka od tej rady. Przez niewygodne kręcone schodki dostał się na dziedziniec, który w mig przebył. Ten pośpiech kaleki ma swój tragizm dla nas, którzy wiemy, jakim cierpieniem okupuje każdy krok, ile bólu kosztuje go każdy wysiłek. Kiedyż ujrzymy, aby ktoś rozwijał tak dziką energię dla dobrej sprawy? Czasami jęk wydobywa się z jego skrzywionych ust, rysy jego kurczą się. Dokąd wiedzie go bezbożny szal?

Madonna — która, lejąc na świat ze swoich rozwartych rąk łaskę i blask niebiańskich promieni, czuwa nad domem i może wstawia się nawet za bluźniercą — nie jest z owych nowoczesnych posążków, jakie wyrabia za naszych czasów, z plastycznej masy Blafaphas firma Fleurissoire-Lévichon. Naiwna jej postać, wyraz adoracji ludu, będzie przez to tym piękniejsza i wymowniejsza w naszych oczach. Na wprost posągu, ale dość daleko od niego, zwisa z cynkowego daszku lampka, oświetlająca bezkrwistą twarz, promienne ręce, błękitny płaszcz. Lampka ta wystaje z niszy i osłania zarazem zawieszona na ścianach wota. Na wysokości ręki przechodniów metalowe

drzwiczki, od których klucz ma zakrystian, chronią zwój sznurka, podtrzymującego lampę. Co więcej, dwie świece płoną dniem i nocą przed posągiem, te właśnie, które przed chwilą zaniósł tam Weronika. Na widok tych świec, o których Antym wie, że palą się dla niego, wolnomularz czuje nowy przypływ furii. Beppo, który w zagłębieniu muru dojadł kromki chleba i paru gałązek kopru, podbiegł do Antyma. Nie odpowiadając na jego usłużny ukłon, Antym chwycił chłopca za ramię: pochylony nad nim, co on mówi takiego, co przyprawia dzieciaka o dreszcz?

— Nie! Nie! — zarzeka się mały. Antym wyjmując z kieszeni kamizelki pięciolirowy papierek: Beppo oburza się... później może będzie kradł, nawet zabijał, kto wie, jakim haniebnym błotem nędza splami jego czoło? Ale podnieść rękę na Madonnę, która go strzeże; do której co wieczór, nim uśnie, wzdycha; do której się co rano, za pierwszym ocknięciem się, uśmiecha!... Antym może spróbować perswazji, przekupstwa, gwałtu, groźby, nie uzyska nic prócz odmowy.

Zresztą, nie popełniamy omyłki. Antymowi nie chodziło specjalnie o Madonnę; chodziło mu o świece Weroniki. Ale prosta dusza Beppa nie uznaje tych odcieni: zresztą świec, teraz uświęconych, nikt nie ma prawa zgasić...

Antym, którego opór ten przywodzi do szału, odrzucił malca. Załatwi to sam. Wsparty o mur, ujmując swoją kulę od drugiego końca, bierze straszny rozmach i z całych sił rzuca kulę ku niebu. Drzewo odbija się o ściany niszy, spada z hałasem na ziemię pociągając za sobą — sam nie wie co, jakąś miazgę. Antym podnosi kulę i cofa się, aby obejrzeć niszę... Piekło! dwie świece palą się ciągle. Ale co to ma znaczyć? W miejsce prawej ręki posągu sterczy jedynie pręt z czarnego metalu.

Patrzy przez chwilę, otrzeźwiony, na smutny wynik swego gestu: osiągnąć ten pocieszny rezultat... Och, pfe! Szuka oczami Beppa: dzieciak znikł. Noc zapada, Antym jest sam; widzi na bruku szczątek, który przed chwilą odbił swoją kulą, zbiera go: to mała gipsowa ręka. Wzruszając ramionami wsuwa ją w kieszeń kamizelki.

Ze wstydem na czole, z wściekłością w sercu, obrazurca wraca do swojej pracowni; chciałby pracować, ale ten ohydny wysiłek złamał go; zdolny jest już tylko spać. Tak, położy się zaraz do łóżka, nie mówiąc dobranoc nikomu... Ale w chwili gdy Antym wchodzi do sypialni, zatrzymuje go dźwięk głosu. Drzwi sąsiedniego pokoju są otwarte, Antym wsuwa się w ciemny korytarz...

Podobna jakiemuś domowemu aniołkowi, mała Julcia klęczy w koszuli na łóżku; w głowach łóżka, skąpane w jasności lampy, Weronika i Małgorzata również klęczą obie; trochę dalej, opodal łóżka, Julius z jedną ręką na sercu, drugą zasłaniając sobie oczy, w postawie nabożnej zarazem i męskiej: słuchają, jak dziecko mówi pacierz. Wielka cisza spowija tę scenę; taka, że budzi w uczonym wspomnienie pewnego spokojnego i złotego wieczora na brzegu Nilu, gdzie, jak ta modlitwa dziecięca, błękitny dym wznosił się prosto do czystego nieba.

Modlitwa zbliża się widocznie do końca: porzucając wyuczone formułki, dziecko modli się teraz obficie wedle głosu swego serca: modli się za małe sieroty, za chorych i ubogich, za siostrę Genowefę, za ciocię Weronikę, za tatusia, żeby oko mamusi szybko wyzdrowiało... Serce Antyma ścisiska się; bardzo głośno, tonem, który ma być ironiczny, rozlega się z progu jego głos:

— A dla wujka o nic nie prosisz Bozi?

Wówczas ku zdumieniu wszystkich dziecko odpowiada głosem bardzo pewnym:

— I modłę się do Ciebie, Boże, za grzechy wuja Antyma.

Te słowa ugodziły ateusza w samo serce.

VI

Tej nocy Antym miał sen. Ktoś pukał do jego pokoju: nie do drzwi z korytarza ani z sąsiedniego pokoju; pukano do innych drzwi, których na jawie nigdy dotąd nie zauważył, a które wychodziły prosto na ulicę. To sprawiło, że się przeląkł i że najpierw, za całą odpowiedź, przycupnął cicho. Słaby blask pozwolił mu rozpoznać w pokoju drobne przedmioty; była to łagodna i chwiejna jasność, podobna światłu nocnej lampki: a jednak nie palił się żaden płomień. Kiedy sobie próbował wytłumaczyć, skąd pochodzi to światło, rozległo się ponowne pukanie.

— Czego chcecie? — krzyknął drżącym głosem.

Za trzecim razem ogarnęła go dziwna omdłałość; omdłałość taka, że roztopiło się w niej wszelkie uczucie strachu (później nazywał to tkliwością rezygnacji); naraz uczuł, że jest bez oporu i że drzwi ustąpią. Otworły się bez hałasu; przez chwilę widział jedynie ciemną ramę, ale w której, jak gdyby w niszy, pojawiła się nagle Najświętsza Panna. Był to nieduży biały kształt, który zrazu wziął za swoją siostrzenicę Julcię, jak ją dopiero co widział z bosymi nogami, wystającymi nieco spod koszuli; ale w chwilę potem poznał Tę, którą obraził; to znaczy, iż miała postać posągu z niszy; poznał nawet ranę zadaną w prawe ramię; ale blada twarz była piękniejsza, bardziej jeszcze uśmiechnięta niż zazwyczaj. Nie widział wyraźnie, aby szła, ale zbliżała się do niego, jakby ślizgając się po podłodze. Kiedy się znalazła w głowach łóżka, rzekła:

— Czy sądzisz, ty, któryś mnie zranił, że ja potrzebuję ręki, aby cię uleczyć?

To mówiąc podniosła nad nim pusty rękaw.

Zdawało mu się teraz, że ta dziwna jasność promieniuje z Niej. Ale kiedy metalowy pręt wszedł nagle w jego bok, przeszył Antyma straszliwy ból, który go obudził w ciemności.

Trwało może kwadrans, zanim Antym odzyskał zmysły. Czuł w całym ciele jakieś dziwne

odrętwienie, otępienie, potem mrowienie niemalże przyjemne, tak iż wątpił teraz, czy on w istocie czuł ostry ból w boku; nie rozumiał już, gdzie się zaczyna, a gdzie się kończy jego sen, ani czy on teraz czuwa, ani czy śnił przed chwilą. Pomacał się, uszczypnął się jakby dla sprawdzenia, wychylił rękę z łóżka, wreszcie potarł zapałkę. Weronika spała obok niego, twarzą do ściany.

Wówczas wynurzając się z prześcieradeł i odrzucając kołdrę, wysunął nogi tak, że dotknął końcami palców pantofli. Kula była tuż, wsparta o nocny stolik; nie biorąc jej, Antym oparł się na rękach, odpychając łóżko wstecz; następnie zanurzył nogi w skórzane pantofle, potem wyprostował się na nogach; po czym, jeszcze niepewny, z jedną ręką wyciągniętą naprzód, drugą wstecz, zrobił krok, potem dwa kroki wzdłuż łóżka, trzy kroki, potem w poprzek pokoju... Najświętsza Panno! Byłżeby... Bez hałasu wciągnął spodnie, włożył kamizelkę, marynarkę... Wstrzymaj się, moje niebaczne pióro! Tam, gdzie już drga skrzydło duszy, która się wyzwala, cóż znaczą niezręczne ruchy porażonego ciała, przychodzącego do zdrowia?

Kiedy w kwadrans później Weronika, tknięta jakimś przecuciem, obudziła się, zaniepokoiła się zrazu, że nie czuje Antyma przy sobie; zaniepokoiła się bardziej jeszcze, kiedy potarłszy zapałkę spostrzegła w głowach łóżka kulę, nieodzowną towarzyszkę kaleki. Zapałka dopaliła się jej w palcach, bo Antym wychodząc zabrał z sobą świecę; po omacku Weronika odziała się z grubsza, potem również opuszczając pokój, szła wiedziona nitką światła, widną pod drzwiami pracowni.

— Antymie! Czy jesteś, Antymie?

Żadnej odpowiedzi. Jednakże Weronika wyteżając słuch słyszała osobliwy szmer. Przestraszona pchnęła drzwi; to, co ujrzała, przygwoździło ją do progu.

Antym znajdował się wprost niej: ani siedział, ani stał; na głowę, na wysokości stołu, padało wprost światło świecy, którą postawił z brzegu: Antym, uczony, ateusz, ten, którego sparaliżowane ścięgno, tak samo jak harda wola nie ugięły się od lat ani razu (bo godne uwagi jest, jak u niego duch szedł równym krokiem z ciałem) — Antym klęczał.

Tak, Antym był na kolanach; trzymał oburącz ułamek gipsu, który skrapiał łzami, który pokrywał żarliwymi pocałunkami. Nie ruszył się zrazu. Wobec tej tajemnicy Weronika osłupiała. Nie śmiejąc ani cofnąć się, ani wejść, już myślała sama uklęknąć w progu na wprost męża, kiedy ten podniósł się bez wysiłku i — o cudzie! — podszedł do niej swobodnym krokiem. Chwycił ją w objęcia i rzekł przyciskając ją do serca, z twarzą pochyloną ku niej:

— Odtąd, droga żono, będziemy się modlili razem.

Nawrócenie wolnomularza nie mogło długo pozostać w ukryciu. Julius de Baraglioul nie czekał ani dnia, aby o nim powiadomić kardynała André, który rozgłosił je w stronnictwie konserwatywnym i w wysokim klerze francuskim, podczas gdy Weronika oznajmiła je ojcu Anzelmowi, tak iż nowina doszła niebawem do uszu Watykanu.

Bez wątpienia Armand-Dubois był przedmiotem olbrzymiej łaski. Byłoby może nieostrożnie twierdzić, że mu się Matka Boska istotnie objawiła; ale choćby nawet widział Ją tylko we śnie, wyleczenie było faktem niezaprzeczonym, naocznym i niewątpliwie cudownym.

Otóż, o ile może Antymowi wystarczało, że jest wyleczony, nie wystarczało to Kościołowi, który żądał nawrócenia się jawnego, zamierzając je otoczyć niezwykłym blaskiem.

— Jak to! — mówił do Antyma w kilka dni później ojciec Anzelm — więc pan w czasie swoich błędów szerzyłeś wszelkimi sposobami herezję, a dziś uchylałbyś się od dania szczytnej nauki, którą niebo chce z ciebie zaczerpnąć? Ile dusz odwróciły od światła fałszywe blaski twojej czezej wiedzy! Twoją rzeczą odzyskać je dzisiaj; i ty wahałbyś się to uczynić? Co mówię: twoją rzeczą? To twój najściślejszy obowiązek; nie uczynię ci tej zniewagi, aby przypuszczać, że sam go nie czujesz.

Nie, Antym nie uchylał się od tego obowiązku; mimo to obawiał się jego skutków. Poważne interesy, jakie miał w Egipcie, były, jak wspomnieliśmy, w rękach masonerii. Cóż on mógł począć bez pomocy Łoży? A jak się łudzić, aby Łoża popierała tego, który właśnie się jej wypierał? Ponieważ z jej rąk spodziewał się majątku, widział przed sobą ruinę.

Zwierzył się z tym ojcu Anzelmowi. Ksiądz, który nie wiedział o wysokim stopniu Antyma, ucieszył się bardzo, z myślą, że nawrócenie będzie tym głośniejsze. W dwa dni później wysoki stopień wolnomularski Antyma nie był tajemnicą dla żadnego z czytelników "Osservatore" ani "Santa Croce".

— Gubicie mnie — powiedział Antym.

— Nie, synu, przeciwnie — odpowiadał ojciec Anzelm — przynosimy ci zbawienie. Co się tyczy potrzeb materialnych, nie troszcz się o nic; Kościół pomyśli o tobie. Długom rozmawiał o tym z kardynałem Pazzi, który ma się odnieść do Rampoli; mamż ci wreszcie powiedzieć, że twoje nawrócenie nie jest już tajne Ojcu Świętemu? Kościół potrafi ocenić to, co dla niego poświęcasz, i nie pragnie, abys był poszkodowany. Zresztą, czy nie sądzisz, że może przeceniasz wpływy (uśmiechnął się) masonerii w danej okoliczności? Oczywiście, wiem, że zbyt często trzeba się z nimi liczyć!... Słowem, czyś oszacował to, czego, wedle twoich obaw, wrogość ich mogłaby cię pozbawić? Powiedz nam w przybliżeniu sumę i... (tu z dobrotliwą chytryością podniósł wskazujący palec lewej ręki do wysokości nosa) i nie lękaj się o nic.

W dziesięć dni po uroczystościach jubileuszu nawrócenie się Antyma spełniło się z nadzwyczajną pompą w kościele Gesu. Nie będę opowiadał tej ceremonii, którą zajmowały się wszystkie włoskie dzienniki danej epoki. Ojciec T., socjusz generała jezuitów, wygłosił przy tej sposobności jedno ze swoich najwspanialszych kazań: z pewnością dusza wolnomularza musiała być udręczona aż doszaleństwa i sam nadmiar jej nienawiści był zwiastowaniem miłości. Świątobliwy

mówca przypomniał Saula z Tarsu, odkrył zdumiewające analogie między obrazoburczym gestem Antyma a ukamienowaniem świętego Szczepana. I podczas gdy wymowa wielebnego ojca wzmagała się i toczyła przez nawę, tak jak się toczą w dźwięcznej grocie skłębione bałwany morza, Antym myślał o wątlym głosiku siostrzenicy i w tajni swego serca dziękował dziecku, że ściągnęło na grzechy bezbożnego wuja miłosierną uwagę Tej, której chciał odtąd wyłącznie służyć.

Począwszy od tego dnia, zajęty wyższymi myślami, zaledwie spostrzegł Antym zgiełk, jaki się uczynił około jego nazwiska. Julius de Baraglioul cierpiał za niego i nie bez bicia serca otwierał dzienniki. Na pierwszy entuzjazm gazet prawomyślnych odpowiadały teraz wycia organów liberalnych; do poważnego artykułu "Osservatore": "Nowe zwycięstwo Kościoła", stanowiła pendant diatryba w "Tempo Felice" — "Jeden głupiec więcej". Wreszcie, w "Dépêche de Toulouse", artykuł Antyma, posłany na dwa dni przed jego uleczeniem, ukazał się poprzedzony drwiącą notatką; Julius odpowiedział w imieniu szwagra listem, zarazem godnym i suchym, zawiadamiającym "Dépêche", aby już nie liczyła nawróconego do rzędu swoich współpracowników. "Zukunft" uprzedziła wypadki i sama podziękowała grzecznie Antymowi. Ten przyjmował ciosy z ową pogodną twarzą, jaka zwiastuje duszę naprawdę pobożną.

— Szczęściem, "Correspondant" będzie ci stał otworem, za to ręczę — rzekł Julius świszczącym głosem.

— Ależ, mój drogi, cóż ty chcesz, żebym ja tam pisał? — odparł dobrodusznie Antym — nic z tego, co mnie zajmowało wczoraj, nie interesuje mnie już dziś.

Zapadło milczenie. Julius musiał wracać do Paryża.

Tymczasem Antym, naglony przez ojca Anzelma, posłusznie opuścił Rzym. Jego ruina materialna rychło nastąpiła wraz z cofnięciem poparcia Lóź; że zaś wizyty, do których nakłaniała go Weronika ufna w poparcie Kościoła, miały tylko ten skutek, że znużyły i w końcu źle nastroiły wysoki kler, poradzono Antymowi po przyjacielsku, aby się udał do Mediolanu i tam czekał przyrzeczonego zadośćuczynienia oraz materialnej oprawy dla łaski niebios.

KSIEGA DRUGA

JULIUS DE BARAGLIOUL

Nie trzeba nikomu odcinać powrotu.

retz —VIII

I

Trzydziestego marca o północy państwo Baraglioul wrócili do Paryża i przybyli do swego mieszkania przy ulicy de Verneuil. Podczas gdy Małgorzata gotowała się do snu, Julius z lampką w ręce, w pantoflach wszedł do swego gabinetu, w którym zawsze miło mu było znaleźć się na nowo. Dekoracja pokoju była skromna; parę Lepine'ów i jeden Boudin wisiąły na ścianach; w rogu, na obrotowym postumencie, biust jego żony dłuta Chapu tworzył ostrą nieco plamę; na środku pokoju olbrzymi stół w stylu Odrodzenia, gdzie od jego wyjazdu gromadziły się książki, broszury i prospekty; na emaliowanej tacy parę zagiętych biletów wizytowych, a oddzielnie, oparty w widocznym miejscu o brąz Barye, leżał list, na którym Julius poznał pismo swego sędziwego ojca. Rozdarł żywo kopertę i przeczytał:

Drogi synu!

Sily moje bardzo podupadły w ostatnich dniach. Z pewnych oznak, które nie mylą, rozumiem, że czas jest pakować manatki; jakoż nie miałbym wiele pożytku z dłuższego postoj.

Wiem, że wracasz do Paryża tej nocy, i liczę, że zechcesz mi oddać, nie zwlekając, jedną przysługę. W interesie pewnych zarządzeń, o których zawiadomię cię później, trzeba mi wiedzieć, czy młody człowiek nazwiskiem Lafcadio Wluiki (wymawia się Luki, "W" i "i" zaledwie słyszalne) mieszka jeszcze pod numerem dwunastym, impasse Claude-Bernard.

Byłbym ci obowiązany, gdybyś się udał pod ten adres i postarał się zobaczyć z rzeczonym Wluiki. (Ty, powieściopisarz, znajdziesz łatwo pozór dostania się do niego.) Zależy mi na wiadomości:

1) Co robi ten młody człowiek;

2) Co zamierza robić (czy ma ambicje, jakiego rodzaju?);

3) Wreszcie doniesiesz mi, jakie wrażenie odniosłeś co do jego środków, zdolności, chęci, upodobań...

Nie staraj się widzieć ze mną w tej chwili; jestem w bardzo nietowarzyskim humorze. Te informacje możesz mi przekazać w kilku słowach. Jeśli mi przyjdzie chęć porozmawiania lub jeśli

będę się czuł bliski wielkiej podróży, zawiadomię cię.

Ściskam cię

Justus Agenor de Baraglioul

PS Nie zdradź się, że przychodzisz z mego polecenia; młody człowiek nie wie o mnie i powinien nie wiedzieć nadal.

Laſcadio Wluiki ma obecnie dziewiętnaście lat. Poddany rumuński. Sierota.

Przejrzałem twoją ostatnią książkę. Jeżeli po niej nie dostaniesz się do Akademii, nie ma dla ciebie usprawiedliwienia, żeś wypisał te brednie.

Nie da się zaprzeczyć: ostatnia książka Juliusa miała złą prasę. Mimo że zmęczony, powieściopisarz przejrzał wycinki z dzienników, gdzie wymieniano jego nazwisko bez życzliwości. Potem otworzył okno i odetchnął mglistym powietrzem nocy. Okna gabinetu Juliusa wychodziły na ogrody ambasady, zbiorniki oczyszczającego cienia, gdzie oczy i duch myły się z plugastwa świata i ulicy. Słuchał przez parę chwil czystego śpiewu niewidzialnego kosa. Następnie wszedł do pokoju, gdzie Małgorzata już spała.

Ponieważ bał się bezsenności, wziął z komody karafkę pomarańczowego kwiatu, który często pijał na noc. Pełen względów uprzejmego małżonka, ostrożnie postawił na ziemi lampkę nocną z przykręconym knotem; ale lekki dźwięk kryształu, kiedy wypiwszy odstawił szklanekę, dosięgnął pogrążoną we śnie Małgorzatę, która wydając zwierzęce westchnienie obróciła się do ściany. Julius szczęśliwy, iż może ją uważać za rozbudzoną, zbliżył się do niej i rozbierając się rzekł:

— Chcesz wiedzieć, jak ojciec się wyraża o mojej ostatniej książce?

— Ależ, mój drogi, twój ojciec nie ma najmniejszego zmysłu literackiego, sto razy mówiłeś mi to — szepnęła Małgorzata, która chciała tylko spać. Ale Juliusowi zbyt ciężko było na sercu.

— Powiada, że nie ma słów na określenie takich bredni:

Zapanowało dość długie milczenie, w które Małgorzata dała nurka, tracąc z oczu wszelką literaturę; już Julius godził się z tym, że jest sam, kiedy ona uczyniła przez miłość dla niego olbrzymi wysiłek i wypływając na powierzchnię rzekła:

— Mam nadzieję, że nie będziesz się tym przejmował.

— Biorę to bardzo spokojnie, widzisz przecie — odparł Julius. — Ale uważam, że bądź co bądź nie ojcu przystało wyrażać się w ten sposób, ojcu mniej niż komukolwiek; właśnie z powodu tej książki, która jest, ściśle mówiąc, pomnikiem na jego cześć.

W istocie, czyż nie piękną karierę starego dyplomaty odtworzył Julius w tej książce? W obliczu romantycznego zamętu czyż nie sławił tam godnej, spokojnej, klasycznej, politycznej wraz i rodzinnej egzystencji Justusa Agenora?

— Na szczęście, nie pisałeś tej książki po to, aby ci był za nią wdzięczny.

— Dał mi do zrozumienia, że napisałem "Dech wyżyn" po to, aby wejść do Akademii.

— A gdyby nawet! Gdybyś wszedł do Akademii za napisanie pięknej książki!

Po czym miłosiernym tonem dodała:

— Ostatecznie miejmy nadzieję, że krytyki i recenzje potrafią ojca lepiej oświecić.

Julius wybuchnął:

— Recenzje! Właśnie!... Krytyki!... — Po czym, wściekły, zwrócił się z gorzkim śmiechem do Małgorzaty, tak jakby to była jej wina: — Rzną mnie na wszystkie strony.

Natychmiast Małgorzata rozbudziła się zupełnie.

— Zastałeś dużo krytyk? — spytała troskliwie.

— I pochwał, wzruszająco obłudnych.

— Jak ty dobrze robiłeś, żeś gardził tymi pismakami! Przypomnij sobie, co ci pisał przedwczoraj pan de Vogüé: "Pióro takie jak pańskie broni Francji niby szpada".

— "Pióro takie jak pańskie, wobec barbarzyństwa, które nas otacza, broni Francji lepiej niż szpada" — poprawił Julius.

— A kardynał André, przyrzekając ci swój głos, upewnił cię jeszcze niedawno, że masz za sobą cały Kościół.

— A to mi w istocie wielki zysk!

— Mój drogi...

— Widzieliśmy przy Antymie, co jest warta wysoka protekcja kleru.

— Juliusie, stajesz się gorzki. Mówiłeś mi często, że nie pracujesz dla uznania innych i że twoje własne ci wystarcza; napisałeś nawet w tym duchu bardzo piękne stronicę.

— Wiem, wiem — rzekł Julius zniecierpliwiony. Jego głębokiej udręce na nic się nie zdały te ulepki. Przeszedł do gotowalni.

Czemu pozwalał sobie przy żonie na te żalosalne wylewy! Troska jego nie jest z tych, które żony

umieją ukołysać i ukoić; przez dumę, przez wstyd, powinien by ją ukryć w sercu. "Brednie"! To słowo, podczas gdy sobie mył zęby, tętniło mu w skroniach, urażało jego najszlachetniejsze myśli. I cóż znaczyła jego ostatnia książka! Zapominał zdania ojca: przynajmniej zapominał, że to zdanie pochodzi od ojca... Okropny znak zapytania, po raz pierwszy w życiu, podnosił się w nim — w nim, który dotąd spotykał się jedynie z uznaniem i z uśmiechami; wątpliwość co do szczerości tych uśmiechów, co do wartości tego uznania, co do wartości swoich dzieł, rzetelności swojej myśli, autentyczności swego życia.

Wrócił do sypialni, trzymając z roztargnieniem w jednej ręce płukanekę, w drugiej szczoteczkę do zębów; płukanekę na wpół napełnioną wodą postawił na komodzie, szczoteczkę włożył do szklanki i usiadł przy małym klonowym kantorku, na którym Małgorzata zwykła była pisać listy. Wziął obsadkę żony i na lekko uperfumowanym papierze lila zaczął:

Drogi ojcze!

Zastąłem za powrotem twój list. Zaraz jutro wywiążę się z misji, którą mi powierzasz i której mam nadzieję dopełnić ku twemu zadowoleniu, pragnąc ci dowieść w ten sposób mego oddania.

Bo Julius jest jedną z owych szlachetnych natur, które w przeciwności okazują prawdziwą wielkość. Następnie przechylając się w tył, wahał się chwilę, obracając w myśli zdanie, z podniesionym piórem:

Przykro mi, że właśnie ty, ojcze, wątpisz o bezinteresowności...

Nie. Raczej:

Czy sądzisz, że ja niżej cenię swoją rzetelność pisarską niż...

Zdanie nie kleiło się. Julius był w nocnym stroju; uczuł chłód, zmiął papier, wziął szklankę do płukania zębów i poszedł ją postawić w gotowalni, rzucając równocześnie papier do wiadra.

W chwili gdy miał się położyć do łóżka, dotknął ramienia żony:

— A ty co myślisz o mojej książce?

Małgorzata otworzyła martwe oko. Julius musiał powtórzyć pytanie. Na w pół odwracając się, Małgorzata patrzyła na niego. Z brwiami podniesionymi pod siecią zmarszczek, z zaciśniętymi wargami, Julius budził litość.

— Ale co tobie jest, Juliusie? Jak to, w istocie myślisz, że twoja ostatnia książka jest mniej dobra od innych?

To nie była odpowiedź: Małgorzata wymigiwała się.

— Myślę, że inne nie są lepsze od tej: tak myślę.

— Och! To już!...

I wobec takiej przesady Małgorzata tracąc głowę i czując, że jej tkliwe argumenty nie zdadzą się na nic, obróciła się i zasnęła.

II

Mimo pewnej ciekawości zawodowej oraz pochlebnego złudzenia, iż nic, co ludzkie, nie powinno mu zostać obce, Julius niewiele dotąd wychodził poza obyczaje swojej klasy i miewał prawie wyłącznie stosunki z ludźmi swego środowiska. Brakowało mu raczej sposobności niż chęci. W chwili gdy miał się wybrać z tą wizytą, Julius uświadomił sobie, że nie ma też i potrzebnego stroju. Jego zarzutka, plastron, kapelusz nawet, przedstawiały coś godnego, ekskluzywnego, dystygowanego... Ale ostatecznie może to i lepiej, aby jego strój nie zachęcał młodego człowieka do zbyt nagłej poufałości. Tokiem rozmowy — myślał — trzeba wywołać jego zwierzenia. I kierując się w stronę impasse Claude-Bernard, Julius dumiał, z jakimi ostrożnościami, pod jakim pozorem ma wejść i rozpocząć swój wywiad.

Co może mieć wspólnego z tym Lafcadiem hrabia Justyn Agenor de Baraglioul? Natrętnie to pytanie brzęczało dokoła Juliusa. Nie teraz, kiedy skończył pisać żywot swego ojca, miał prawo sobie pozwalać na takie pytania. Chciał wiedzieć tylko to, co mu ojciec zechce powiedzieć. W tych ostatnich latach hrabia zrobił się milczący, ale nigdy nie był skryty.

Podczas gdy Julius przechodził przez Ogród Luksemburski, zaskoczyła go ulewa. W impasse Claude-Bernard, przed bramą numeru dwunastego, stał fiakier, w którym Julius dostrzegł mimochodem pod zbyt wielkim kapeluszem damę w stroju nieco jaskrawym.

Serce mu biło, gdy rzucał odźwiernemu hoteliku nazwisko Lafcadio Wluiki; zdawało się powieściopisarzowi, że brnie w Przygodę; ale kiedy szedł po schodach, banalność i mieszczańskość ramy zraziły go; ciekawość jego, nie znajdując pokarmu, słabła i ustępowała miejsca odrazie.

Na czwartym piętrze korytarz bez dywanu, czerpiący światło jedynie z klatki schodowej, załamywał się o kilka kroków od schodów; z prawej i lewej strony wychodził nań szereg zamkniętych drzwi; drzwi w głębi, uchylone, przepuszczały cienką smugę światła. Julius zapukał... na próżno; nieśmiało pchnął drzwi: nikogo w pokoju. Zeszedł z powrotem.

— Jeśli go nie ma, lada chwila nadejdzie — rzekł odzwierny.

Lało jak z cebra. W sieni, na wprost schodów, znajdowała się czekalnia, do której zamierzał wejść Julius; stęchła woń, rozpaczliwy wygląd ubikacji odepchnęły go; pomyślał, że równie dobrze mógłby otworzyć drzwi na górze i czekać po prostu na młodego człowieka w jego pokoju. Wrócił na górę.

Kiedy Julius mijał znów korytarz, z pokoju, sąsiadującego z pokojem w głębi, wyszła kobieta. Julius wpadł na nią i przeprosił ją.

— Pan szuka...

— Pan Wluiki, to tutaj?

— Wyszedł.

— A! — rzekł Julius z tak żywym akcentem zawodu, że kobieta spytała:

— To pilne, co mu pan ma do powiedzenia?

Julius, uzbrojony wyłącznie na starcie z nieznanym Lafcadiem, stał zbity z tropu; a przecież sposobność była piękna, ta kobieta wie może niejedno o tym człowieku; gdyby ją umiał pociągnąć za język...

— Chciałbym go prosić o pewne wyjaśnienia.

— Od kogo?

“Czyżby mnie brała za kogoś z policji?” — pomyślał Julius.

— Jestem hrabia Julius de Baraglioul — rzekł głosem nieco uroczystym, lekko uchylając kapelusza.

— Och, panie hrabio... Proszę mi darować, że nie umiałam... W tym korytarzu jest tak ciemno... Niech pan raczy wejść. (Pchnęła drzwi w głębi.) Lafcadio z pewnością lada chwila... Poszedł tylko do... Och, niech pan pozwoli!...

I kiedy Julius miał wejść, rzuciła się pierwsza do pokoju ku majtkom damskim, niedyskretnie rozłożonym na krześle. Nie mogąc ich ukryć, starała się bodaj zmniejszyć ich powierzchnię.

— Taki tutaj nieporządek...

— Nic nie szkodzi! Jestem przyzwyczajony — odparł uprzejmie Julius.

Karola Venitequa była to młoda kobieta, dość tęga lub, lepiej rzekłszy, trochę tłusta, ale dobrze zbudowana i zdrowa na oko; rysy zwyczajne, ale nie pospolite i dość sympatyczne, spojrzenie zwierzęce i łagodne, głos nieco rozwlekły. Gotowa do wyjścia, miała na głowie mały filcowy kapelusik; stanik był puszczony wolno i przepasany paskiem; miała męski kołnierzyk i mankiety.

— Od dawna pani zna pana Wluiki?

— Mogłabym może załatwić pańskie zlecenie? — odparła nie odpowiadając.

— Tak... Rad bym wiedzieć, czy jest bardzo zajęty w tej chwili...

— To zależy od dnia.

— Bo gdyby miał trochę wolnego czasu, zamierzałem go prosić, aby... się zajął dla mnie pewną sprawą.

— Jakiego rodzaju?

— Och, właśnie... chciałbym najpierw poznać nieco rodzaj jego zatrudnień.

Pytanie było naiwne, ale wygląd Karoli nie zachęcał do subtelności. Tymczasem hrabia de Baraglioul odzyskał pewność siebie; siedział teraz na krześle, które sprzątnęła Karola, ona zaś koło niego, oparta o stół, już zaczynała mówić, kiedy się rozległ na korytarzu wielki hałas: drzwi otworzyły się z łoskotem i ukazała się owa kobieta, którą Julius ujrzał był w fiakrze.

— Byłam pewna — rzekła — kiedym go widziała, jak wchodzi...

A Karola odparła natychmiast, odsuwając się trochę od Juliusa:

— Ależ wcale nie, moja droga... rozmawialiśmy. Moja przyjaciółka, Berta Grand-Marnier; pan hrabia... przepraszam, zapomniałam pańskiego nazwiska.

— Mniejsza o to — rzekł Julius trochę zakłopotany, ściskając urękawiczoną dłoń, którą podała mu Berta.

— Przedstaw i mnie... — rzekła Karola.

— Słuchaj, dziecko, od godziny czekają na nas — rzekła tamta przedstawivszy przyjaciółkę.
— Jeżeli chcesz rozmawiać z panem, zabierz go; ja mam fiakra.

— Ależ pan nie do mnie przyszedł.

— Więc chodź. Pan zje z nami obiad dzisiaj?...

— Żałuję bardzo...

— Niech pan wybaczy — rzekła rumieniając się Karola, której teraz spieszno było zabrać przyjaciółkę. — Lafcadio wróci lada chwila.

Wychodząc zostawiły otwarte drzwi. Pozbawiony dywanu korytarz był akustyczny, zakręć sprawiało, że nie było widać, gdyby ktoś szedł, ale słyszać było, jak się zbliża.

“Ostatecznie, jeszcze lepiej niż ta kobieta, mam nadzieję, objaśni mnie sam pokój” — powiedział sobie Julius. I spokojnie rozpoczął badanie.

Prawie nic w tym banalnym umeblowanym pokoju nie poddawało się, niestety, jego niezręcznej ciekawości.

Żadnej szafy z książkami, żadnego obrazka na ścianie. Na kominku “Moll Flanders” Daniela Defoe, po angielsku, w lichym wydaniu, przecięta jedynie w dwóch trzecich; i “Novelle” Antona-Francesco Grazzini, zwanego po włosku Lasca. Te dwie książki zaintrygowały Juliusa. Obok nich, za flaszką ze spirytusem mentolowym, fotografia, która go nie mniej zaintrygowała: na piaszczystej plaży kobieta już niezbyt młoda, ale dziwnie piękna, zwieszona na ramieniu mężczyzny o wybitnym typie angielskim, eleganckiego i smukłego w kostiumie sportowym; u ich stóp siedział na przewróconym czólnie silny, może piętnastoletni dzieciak, z gęstymi włosami blond w nieładzie, z bezczelną i roześmianą miną, zupełnie nagi.

Julius wziął fotografię i zbliżył ją do światła, aby przeczytać w rogu po prawej parę wyblakłych słów: “Duino, lipiec 1886” — które nie powiedziały mu wiele, mimo iż sobie przypominał, że Duino to jest miasteczko na austriackim brzegu Adriatyku. Potrząsając głową i sznurując usta, odłożył fotografię. W pustym kominku kryła się puszka z mąką owsianą, worek soczewicy i worek ryżu; nieco dalej oparta o ścianę szachownica. Nic nie pozwalało odgadnąć Juliusowi rodzaju studiów lub zajęć, jakim ów młody człowiek poświęcał swoje dni.

Lafcadio widocznie niedawno jadł śniadanie: na stole w małym rondelku na maszynie spirytusowej tkwiło jeszcze owo puste jajko z dziurkowanego metalu, którym posługują się do przyrządzania herbaty turyści dbający o to, aby mieć najmniej bagażu. Dokoła brudnej filiżanki rozsypane były okruchy. Julius zbliżył się do stołu: stół miał szufladę, a w szufladzie tkwił klucz...

Nie chciałbym, aby ktoś źle osądził charakter Juliusa z tego, co nastąpi: Julius nie był ani trochę niedyskretny, szanował w życiu każdego kostium, jaki człowiek pragnie przybrać: wysoko cenił pozory. Ale wobec rozkazu ojca musiał zadać gwałt swojej naturze. Odczekał jeszcze chwilę, nadstawiając ucha; po czym, nie słysząc nic — wbrew swojej woli, wbrew swoim zasadom, ale z delikatnym poczuciem obowiązku — wyciągnął szufladę, która nie była zamknięta na klucz.

Był tam kajet oprawny w miękką skórę; Julius wziął kajet i otworzył. Na pierwszej stronie przeczytał te słowa, skreślone tym samym piórem co na fotografii:

Cadiowi, żeby tu wpisywał swoje rachunki. Swemu szczeremu druhowi, jego stary wujaszek Faby.

i prawie bez odstępów, poniżej, pismem nieco dziecinnym, grzecznym, prostym i regularnym:

Duino. Dziś rano, 10 lipca 86, przyjechał do nas lord Fabian. Przywiózł mi kajak, karabin i ten piękny kajet.

Nic więcej na tej pierwszej stronie.

Na trzeciej stronie, pod datą 29 sierpnia, było:

Faby'emu 4 dotknięcia.

A nazajutrz:

12 dotknięć.

Julius zrozumiał, że to jest tylko dziennik treningu. W każdym razie lista dni urywała się niebawem; po białej stronie wyczytał:

20 wrzesień: odjazd z Algeru do Aurès.

Potem kilka miejsc i dat, i wreszcie ta ostatnia informacja:

5 października: powrót do El Kantara. 50kilom. on borseback, bez zatrzymywania.

Julius przewrócił kilka białych kartek; nieco dalej dziennik jak gdyby zaczynał się na nowo.

Niby nowy tytuł na czele stronicy, wypisane tam było większym i staranniejszym pismem:

QUI INCOMINCIA IL LIBRO
DELLA NOVA ESIGENZA
E
DELLA SUPREMA VIRTU

Po czym, pod spodem, jako motto:

Tanto quanto se na taglia — Boccaccio

Wobec formuły pojęć moralnych zainteresowanie Juliusa rozbudziło się nagle: to było coś dla niego. Już następna stronica przyniosła mu zawód: wracało się do rachunkowości. Ale to była rachunkowość specjalnego gatunku. Wyczytał tam, już bez daty i miejsca:

Za to, żem wygrał z Protosem w szachy — 1 punta.

Za to, żem zdradził, iż mówię po włosku — 3 punty.

Za to, żem odpowiedział przed Protosem — 1 punta.

Za to, żem miał ostatnie słowo — 1 punta.

Za to, żem płakał dowiedziawszy się o śmierci Faby — 4 punty.

Czytając spieszenie Julius wziął "punta" za sztukę obcej monety i dojrzał w tych rachunkach jedynie dziecinny i drobiazgowy bilans zasług i nagród.

Potem rachunki znów się urywały. Julius obrócił jeszcze kartkę, czytał:

4 kwietnia rozmowa z Protosem:

Czy rozumiesz, co się mieści w tych słowach: przejść ponad czymś?

Na tym kończyły się zapiski.

Julius wzruszył ramionami, zacisnął usta, potrząsnął głową i położył kajet na swoje miejsce. Wyjął zegarek, wstał, zbliżył się do okna, wyjrzał na ulicę, deszcz ustał. Skierował się w kąt pokoju, gdzie wychodząc postawił parasol; w tej chwili ujrzał lekko opartego o drzwi pięknego, młodego człowieka z jasnymi włosami, który obserwował go z uśmiechem.

III

Młodzieniec z fotografii zaledwie dojrzał; Justyn Agenor powiedział: "dziewiętnaście lat"; nie dałoby mu się więcej niż szesnaście. Z pewnością Lafcadio dopiero co przybył. Odkładając kajet na miejsce Julius spojrzął był ku drzwiom i nie widział nikogo; ale w jaki sposób nie słyszał nadchodzącego? Instynktownie spojrzawszy na nogi młodego człowieka, Julius spostrzegł, że zamiast bucików ma kalosze.

Lafcadio uśmiechał się uśmiechem, który nie miał nic wrogiego; zdawał się raczej ubawiony, ale ironiczny; zachował na głowie czapeczkę podróżną, ale z chwilą gdy spotkał spojrzenie Juliusa, odkrył głowę i skłonił się ceremonialnie.

— Pan Wluiki? — spytał Julius.

Młody człowiek skłonił się znów bez słowa.

— Daruje mi pan, że się rozgościł w pańskim pokoju, czekając na pana. Prawdę mówiąc, nie byłbym śmiały wejść tu sam, gdyby mnie nie wprowadzono.

Julius mówił szybciej i głośniejszym głosem niż zazwyczaj, aby dowieść samemu sobie, że nie jest zakłopotany. Czoło Lafcadia zmarszczyło się prawie niezauważalnie, przeszedł w róg pokoju, wziął parasol Juliusa i zaniósł go na korytarz, aby ociekł; następnie, wracając do pokoju, zaprosił Juliusa gestem, aby usiadł.

— Zapewne dziwi pana, że mnie pan tu zastaje?

Lafcadio wyjął spokojnie papierosa ze srebrnej papierośnicy i zapalił.

— Wytlumaczę panu w kilku słowach powody, które mnie sprowadzają i które pan zrozumie bardzo szybko.

Im więcej mówił, tym bardziej czuł, że jego pewność siebie się ulatnia.

— Zatem... Ale pozwoli pan najpierw, że powiem swoje nazwisko — po czym, jakby zażenowany, że je ma powiedzieć, wyjął z kieszeni bilet i podał go Lafcadiowi, który nie patrząc położył bilet na stole.

— Jestem... Ukończyłem pracę dość ważną; to drobna praca, której nie mam czasu sam przepisać na czysto. Ktoś mi mówił o panu, że pan ma doskonałe pismo, a z drugiej strony pomyślałem — tu spojrzenie Juliusa przebiegło wymownie nagie ściany pokoju — pomyślałem, że nie byłby pan może nierad...

— Nie ma nikogo w Paryżu — przerwał Lafcadio — nikogo, kto by mógł panu mówić o moim piśmie. — Skierował oczy na szufladę, z której Julius zerwał, nie wiedząc o tym, niedostrzegalną pieczęć z wosku; po czym, obracając gwałtownie klucz w zamku i kładąc go następnie do kieszeni: — Nikogo, kto by miał prawo o nim mówić — dodał widząc, jak Julius się rumieni. — Z drugiej strony — mówił bardzo wolno, jakby bezmyślnie, bez żadnej intonacji — nie widzę jasno przyczyn, jakie może mieć... — spojrzał na bilet — jakie może mieć hrabia Julius de Baraglioul, aby się mną szczególnie interesować. Jednakże — i nagle jego głos na wzór głosu Juliusa zrobił się namaszczone i giętki — pańska propozycja zasługuje, aby ją wziął pod rozwagę ktoś, kto potrzebuje pieniędzy, jak to nie uszło pańskiej uwagi. — Wstał. — Pozwoli pan, że mu dam odpowiedź jutro rano.

Zachęta do wyjścia była wyraźna. Julius czuł się w nazbyt fałszywej pozycji, aby nalegać; wziął kapelusz, wahał się chwilę.

— Byłbym pragnął porozmawiać z panem dłużej — rzekł niezręcznie. — Pozwoli mi pan mieć nadzieję, że jutro... Będę pana czekał od dziesiątej.

Lafcadio skłonił się.

Skoro tylko Julius zniknął na zakręcie korytarza, Lafcadio zatrzasnął drzwi i zasunął rygiel. Pobiegł do szuflady, wyjął kajet, otworzył go na ostatniej niedyskretnej stronicy i ściśle w miejscu, w którym od wielu miesięcy poniechał go, napisał ołówkiem, wielkim pismem, bardzo odmiennym od pierwszego:

Za to, że pozwolił Olibriusowi wetknąć swój brudny nos do tego kajetu — 1 punta.

Wyjął z kieszeni scyzoryk, którego bardzo ścięzione ostrze tworzyło już tylko rodzaj krótkiego szpikulca, opalił je nad zapalką i poprzez kieszeń spodni jednym ruchem wbił je sobie prosto w udo. Nie mógł wstrzymać skrzywienia. Ale to mu nie wystarczyło. Pochylony nad stołem,

nie siadając, pod tym zdaniem dopisał:

A za to, żem mu pokazał, iż wiem o tym — 2 punkty.

Tym razem zawahał się: odpiął spodnie i odwinął je. Popatrzył na udo, gdzie dopiero co zadana rana broczyła; zbadał dawne blizny, które tworzyły dokoła niby ślady szczepienia. Opalił na nowo ostrze, po czym bardzo szybko znów zanurzył je w ciele dwa razy.

— Nie robiłem takich ceremonii dawniej — mruknął biorąc flakon ze spirytusem mentolowym, którego kilka kropel rozlał na rany.

Gniew jego uspokoił się nieco, kiedy odstawiając flakon spostrzegł, iż fotografia, na której był razem z matką, nie jest zupełnie ściśle na tym samym miejscu. Chwycił ją, popatrzył na nią po raz ostatni z odcieniem jakby rozpaczy, po czym podarł ją z wściekłością. Fala krwi biła mu do twarzy. Chciał podpalić kawałki, ale płomień się ich nie chwycił, wówczas opróżniając kominek z worków, które go zastawiały, położył na palenisku, niby drwa, jedyne swoje dwie książki, poszarpał, podarł, pomiał kajet, rzucił na dokładkę fotografię i podpalił wszystko.

Z twarzą obróconą do ognia wmawiał w siebie, że ogląda pożar tych wspomnień z niewymowną przyjemnością. Ale kiedy się wyprostował, gdy już wszystko było popiołem, kręciło mu się nieco w głowie. Pokój był pełen dymu. Poszedł do toalety i wytarł sobie czoło.

Teraz popatrzał jaśniejszym okiem na mały bilet wizytowy.

— Hrabia Julius de Baraglioul — powtarzał. — *Dapprima importa sapere chi č.**

Zerwał fular, który nosił jako krawatę i kołnierzyk, rozchylił koszulę i przy otwartym oknie wystawił pierś na powiew powietrza. Potem, śpiesząc się nagle do wyjścia, szybko obuł się, zawiązał krawat, włożył przyzwoity filcowy kapelusz. Możliwie uspokojony i ucywilizowany, Lafcadio zamknął za sobą drzwi i skierował się w stronę placu Saint-Sulpice. Tam, na wprost merostwa, w bibliotece Cardinal znajdzie z pewnością informacje, których pragnie.

Kiedy przechodził galerią Odeonu, uderzyła go na wystawie powieść Juliusa. Była to książka w żółtej okładce, której sam widok byłby kiedy indziej przyprawił Lafcadia o ziewanie. Pomacał się

po kieszeni i rzucił na ladę pięciofrankówkę.

“Co za piękny ogień na dziś wieczór!” — pomyślał zabierając książkę i drobne.

W bibliotece Słownik Biograficzny odtwarzał w niewielu słowach mdłą karierę Juliusa, podawał tytuły jego dzieł, chwalił je w konwencjonalnych słowach, zdolnych zgasić wszelką ciekawość.

— Tfy! — rzekł Lafcadio. Miał już zamknąć słownik, kiedy trzy wyrazy, dojrzone mimo woli w poprzedzającym artykule, wstrząsnęły nim. O kilka wierszy nad Julius de Baraglioul" (wicehrabia), w biografii Justusa Agenora Lafcadio wyczytał: “Ambasador w Bukareszcie w r. 1873”. Co było w tych prostych słowach, że tak od nich zabiło jego serce?

Lafcadio, któremu matka dała pięciu wujów, nigdy nie znał swego ojca: godził się uważać go za umarłego i nigdy nie zadawał pytań w tym przedmiocie. Co do wujów (każdy odmiennej narodowości, a trzech spomiędzy nich w dyplomacji), dość szybko spostrzegł, że nie było między nim a nimi pokrewieństwa innego niż to, którego podobało się im użyczyć pięknej Wandzie. Otóż, Lafcadio kończył lat dziewiętnaście. Urodził się w Bukareszcie w roku 1874, właśnie z końcem drugiego roku, w którym hrabiego de Baraglioul więziły tam jego funkcje.

Uderzony tajemniczą wizytą Juliusa, w jakim sposób nie miałby w tym ujrzeć czegoś więcej niż przypadkowy zbieg okoliczności? Uczynił wielki wysiłek, aby przeczytać artykuł “Justus Agenor”; ale litery tańczyły mu przed oczami, co najwyżej rozumiał, że hrabia de Baraglioul, ojciec Juliusa, to był wybitny człowiek.

Bezczelna radość buchnęła w jego sercu, czyniąc w nim taki hałas, iż Lafcadio myślał, że go usłyszą z zewnątrz. Ale nie! Jego cielesny futerał okazał się solidny, nieprzenikliwy. Spojrzał nieufnie na swoich sąsiadów, stałych gości biblioteki, zatopionych w swojej idiotycznej pracy... Obliczał: “Urodzony w 1821, hrabia miałby dziś siedemdziesiąt dwa lat. *Ma chi sa se vive ancora?*...”^{*} Położył na swoim miejscu słownik i wyszedł.

Błękit wyłaniał się z paru lekkich chmur, które trącał dość żwawy wietrzyk. “*Importa di domesticare questo nuovo proposito*”^{*} — powiedział sobie Lafcadio, który nade wszystko cenił swobodne rozporządzanie samym sobą. Za czym, zwątpiwszy, aby zdołał okiełzać tę burzliwą myśl, postanowił wygnać ją na chwilę z mózgu. Wyjął z kieszeni powieść Juliusa i uczynił wielki wysiłek, aby się w niej zagłębić; ale książka nie miała gąszczów ani tajemnic i najmniej była zdolna dać mu uciec przed samym sobą.

“A przecież jutro mam zostać sekretarzem autora tej rzeczy!” — powtarzał sobie mimo woli.

Kupił gazetę w kiosku i wszedł do Ogrodu Luksemburskiego. Ławki były mokre; otworzył książkę, usiadł na niej i rozłożył dziennik, aby przeczytać kronikę. Natychmiast oczy jego padły na te wiersze, jak gdyby wiedział, że się tam znajdują:

Zdrowie hrabiego Justusa Agenora de Baraglioul, które jak wiadomo budziło w ostatnich dniach poważne obawy, zdaje się poprawiać; mimo to stan jego jest jeszcze poważny i nie pozwala mu przyjmować nikogo prócz paru najbliższych.

Lafcadio podskoczył na ławce; w jednej chwili postanowienie jego zapadło. Zapominając książki, popędził do składu papieru przy ulicy Médicis, gdzie, jak sobie przypominał, widział na wystawie obietnicę "biletów wizytowych natychmiast, po trzy franki setka". Uśmiechnął się; śmiałość nagłego projektu bawiła go, tęsknił bowiem za przygodą.

— Ile czasu trzeba na setkę biletów? — spytał kupca.

— Będzie je pan miał na wieczór.

— Płacę podwójnie, jeżeli mi ich pan dostarczy do drugiej.

Kupiec udał, że sprawdza książkę zamówień.

— Dla pana... dobrze, może pan po nie przyjść o drugiej. Imię i nazwisko?

Na karcie, którą mu podał kupiec, bez drżenia, bez rumieńca, ale z lekkim skurczem serca podpisał:

LAFCADIO DE BARAGLIOUL

"Ten chłystek nie bierze mnie serio" — powiedział sobie odchodząc, urażony, że nie otrzymał głębszego ukłonu kupca. Po czym, przechodząc koło lustrzanej szyby, mruknął:

— Trzeba przyznać, że nie bardzo mam minę Baraglioula! Spróbujemy do tego czasu lepiej się ucharakteryzować.

Nie było jeszcze południa. Lafcadio, którego ogarnęło fantastyczne podniecenie, nie czuł apetytu.

"Pochodźmy najpierw trochę albo uleć w powietrze — pomyślał. — I trzymajmy się środka ulicy! jeżeli się do nich zbliżę, ci przechodnie spostrzegą, że ich przerastam o parę głów. Jeszcze jedna wyższość do ukrycia. Nigdy człowiek nie przestaje się kształcić".

Wszedł do urzędu pocztowego.

"Plac Malesherbes to bardzo blisko — powiedział sobie, znajdując w książce adresowej mieszkanie hrabiego Justusa Agenora. — Ale co mi przeszkadza dziś rano jeszcze zrobić rekonesans

na ulicy de Verneuil?" (To był adres wypisany na bilecie Juliusa.)

Lafcadio znał tę dzielnicę i lubił ją. Porzucając zbyt uczęszczane arterie, skręcił w spokojną ulicę Vaneau, gdzie jego młodzieńcza radość mogła oddychać swobodniej. Kiedy skręcał w ulicę Babylone, ujrzał, że ludzie biegną: w pobliżu impasse Oudinot tworzyło się zbiegowisko, pod dwupiętrowym domem, z którego wychodził dosyć leniwy dym. Lafcadio zmusił się, aby zanadto nie przyspieszyć kroku, mimo że chód miał nader elastyczny...

Lafcadio, mój przyjacielu, wkraczasz w kronikę policyjną i pióro moje opuszcza cię. Nie spodziewaj się, abym odtwarzał beładne wołania tłumu, krzyki...

Wnikając w tłum, wijąc się w nim jak węgorz, Lafcadio dostał się do pierwszego rzędu. Tam płakała jakaś klęcząca biedota.

— Moje dzieci, moje małe dzieci — mówiła. Podtrzymywała ją jakaś młoda panna; wykwinna prostota jej stroju świadczyła, że to nie jest krewna tamtej: była bardzo blada i tak piękna, że urzeczony nią Lafcadio natychmiast ją *zagadnął*.

— Nie, proszę pana, nie znam jej. Zrozumiałam tyle, że dwoje małych dzieci tej kobiety jest w pokoju na drugim piętrze, dokąd niebawem dostaną się płomienie; już palą się schody; uprzedzono strażaków, ale zanim przybędą, dym zadusi tych malców... Proszę pana, czy nie byłoby możebne dostać się na balkon po tym murze, o widzi pan, pomagając sobie tą rynną? To jest droga, którą już raz posłużyli się złodzieje, wedle tego, co ci ludzie powiadają; ale tego, co inni zrobili dla kradzieży, nikt tutaj nie śmie uczynić dla ocalenia dzieci. Daremnie przyrzekałam tę sakiewkę. Och, czemuż nie jestem mężczyzną!...

Lafcadio nie słuchał dłużej. Złożył laskę i kapelusz u stóp panny i rzucił się w stronę pożaru. Aby się wdrapać na mur, nie potrzebował niczyjej pomocy; podciągnął się; obecnie, wyprostowany, posuwał się po grzebieniu unikając skorup, którymi mur jeżył się miejscami.

Ale osłupienie wzmogło się, kiedy chwytając się rynny wzniósł się w oczach tłumu siłą samych ramion, opierając się tu i ówdzie końcami nóg na występach. Już, już dociera do balkonu, chwytając jedną ręką kratę; tłum podziwiał i już nie drży, bo doprawdy młodzieniec robi to z cudowną swobodą. Jednym pchnięciem wybija szybę, znika w pokoju... Chwila oczekiwania i niewymownego lęku... Potem zjawia się znów, trzymając płaczącego brzdąca w ramionach. Z prześcieradła, które podarł i które powiązał z sobą, sporządził rodzaj liny; przywiązuje dziecko, spuszcza je w ramiona oszalałej matki. Drugie to samo...

Kiedy Lafcadio sam zeszedł, tłum oklaskiwał go jak bohatera:

“Biorą mnie za kłowna” — pomyślał wściekły, że się rumieni, i z brutalną opryskliwością odtrącając owację. Jednakże kiedy młoda panna, do której znów się zbliżył, podała mu zmieszana, wraz z laską i kapeluszem, przyrzeczoną sakiewkę, wziął sakiewkę z uśmiechem i wysypując z niej sześćdziesiąt franków wręczył pieniądze biednej kobiecie, która dławiała w uścisku swoje dzieci.

— Czy pozwoli mi pani zachować sakiewkę na pamiętkę?

Była to mała haftowana sakiewka; Lafcadio ucałował ją. Popatrzyli na siebie chwilę. Młoda dziewczyna zdawała się wzruszona, jeszcze bledsza i jakby chciała mówić. Ale nagle Lafcadio, przedzierając się przez tłum przy pomocy laski, wymknął się z miną tak chmurną, że prawie natychmiast zaprzestano go oklaskiwać i biec za nim.

Wrócił do Luksemburgu, po czym, po krótkim posiłku "Pod Gambrynusem", w pobliżu Odeonu, pobiegł do swego pokoju. Pod listwą u podłogi krył swoje zasoby: trzy dwudziesto- i jedna dziesięciofrankówka wyszły z ukrycia. Obliczał:

"Bilety wizytowe: sześć franków.

Para rękawiczek: pięć franków.

Krawat: pięć franków (czy znajdę coś przyzwoitego za tę cenę?).

Para trzewików: trzydzieści pięć franków (nie żądam od nich długiej służby)".

Zostaje dziewiętnaście franków na nieprzewidziane.

(Przez wstręt do zobowiązań, Lafcadio płacił zawsze gotówką.)

Podszedł do szafy i wydobył ciemny szewiotowy garnitur, doskonale skrojony, jeszcze świeży.

"Nieszczęście, że od owego czasu urosłem..." — powiedział sobie wspominając świetną epokę, tak niedawną jeszcze, kiedy margrabia de Gesvres, jego ostatni wujaszek, prowadził go, drżącego z uciechy, do swoich dostawców.

Brzydki strój był dla Lafcadia tak wstrętny, jak dla kalwina kłamstwo.

"Najpierw najpilniejsze. Wujaszek de Gesvres mawiał, że człowieka poznaje się po obuwiu".

I przez szacunek dla butów, które miał przymierzać, zmienił skarpetki.

Hrabia Justus Agenor de Baraglioul nie opuszczał już od pięciu lat zbytkownego mieszkania przy placu Malesherbes. Tam gotował się umrzeć, błędząc w zadumie po salach zawalonych zbiorami, lub częściej jeszcze zamknięty w sypialnym pokoju, poddając swoje obolałe ramiona i barki dobrodziejstwom gorących ręczników i uśmierzających kompresów. Olbrzymi wiśniowy fular

owijał jego pyszną głowę, na kształt turbanu, którego jeden koniec bujał wolno opadając na koronkę u koszuli oraz na grubą wełnianą, brunatną kamizelkę, na której rozkładała się srebrną kaskadą jego broda. Nogi w białych skórzanych papuciach wspierały się na poduszce wypełnionej gorącą wodą. Hrabia zanurzał kolejno to jedną, to drugą bezkrwistą rękę w kąpeli z gorącego piasku, pod którym płonęła lampa spirytusowa. Szary pled okrywał jego kolana. Z pewnością podobny był do Juliusa, ale bardziej jeszcze do któregoś portretu Tycjana; i Julius był jedynie mdłą odbitką tych rysów, tak jak w "Dechu wyżyn" dał jedynie osłodzony i blady obraz jego życia.

Justus Agenor de Baraglioul pił ziółka słuchając nauk ojca Avril, swego spowiednika, którego przywykł radzić się dość często; wtem zapukano do drzwi i wierny Hektor, który od dwudziestu lat pełnił przy nim funkcję kamerdynera, pielęgniarza, a czasami doradcy, przyniósł na łąkowej tacy małą zaklejoną kopertę.

— Ten pan spodziewa się, że pan hrabia zechce go przyjąć.

Justus Agenor postawił filiżankę, rozdarł kopertę i wyjął bilet Lafcadio. Zmiał go nerwowo.

— Powiedz, że... — po czym opanowując się: — Jakiś pan? Chcesz powiedzieć: młody chłopiec? Cóż to za człowiek?

— Ktoś, kogo pan może przyjąć.

— Drogi ojciec — rzekł hrabia zwracając się do księdza Avril — daruje mi ojciec, że go poproszę o przerwanie naszej rozmowy, ale niech ojciec nie zapomni przyjść jutro, z pewnością będę miał coś nowego ojcu do powiedzenia i myślę, że ojciec będzie zadowolony.

Zasłonił czoło ręką, podczas gdy ojciec Avril opuszczał salon, po czym podnosząc głowę rzekł:

— Prosić.

Lafcadio wszedł do salonu z podniesionym czołem, z męską pewnością siebie; zbliżywszy się do starca, skłonił mu się poważnie. Ponieważ przyrzekł sobie, że nie odezwie się, zanim nie doliczy do dwunastu, hrabia rozpoczął pierwszy:

— Przede wszystkim niech pan wie, że nie ma Lafcadio de Baraglioul — rzekł drąc bilet — i zechce pan uprzedzić pana Lafcadio Wluiki, skoro należy do pańskich przyjaciół, że jeżeli się odważy bawić w takie bileciki, jeżeli nie podrze wszystkich, tak jak to robię z tym jednym (podarł bilet w drobniutkie kawałki i rzucił je do pustej filiżanki), uprzedzę o tym natychmiast policję i każę go aresztować jak zwykłego oszusta. Zrozumiał mnie pan?... A teraz niech pan stanie tu, do światła, niech się panu przyjrzę.

— Lafcadio Wluiki będzie panu posłuszny. (Głos Lafcadio pełen szacunku drżał nieco.) Niech mu pan daruje sposób, jaki obrał, aby się dostać do pana; w duszy jego nie powstała żadna nieuczciwa myśl. Pragnąłby pana przekonać, że zasługuje... co najmniej na pański szacunek.

— Jest pan dobrze zbudowany. Ale to ubranie nieszczególnie na panu leży — rzekł hrabia,

który nie chciał nic słyszeć.

— Zatem nie pomyliłem się — rzekł ryzykując uśmiech Lafcadio, który poddawał się powolnie egzaminowi.

— Bogu dzięki, podobny jest do matki — szepnął stary Baraglioul.

Lafcadio odczekał chwilę, po czym rzekł cichym głosem, patrząc bystro na hrabiego:

— O ile tego nie będę zbyt okazywał, czy mi jest zupełnie wzbronione być także podobnym do...

— Mówiłem o stronie fizycznej. Gdybyś nawet wdał się nie tylko w matkę, Bóg nie zostawi mi czasu na przekonanie się o tym.

W tej chwili szary pled zsunął się z kolan hrabiego na ziemię.

Kiedy Lafcadio schylił się żywo, aby podnieść pled, uczył rękę starca ciężącą łagodnie na jego ramieniu.

— Lafcadio Wluiki — podjął Justus Agenor, skoro chłopiec się wyprostował — moje chwile są policzone, nie będę się z tobą mocował, to by mnie zmęczyło. Przyznaję, że nie jesteś głupi; cieszę się, że nie jesteś brzydki. To, na coś się odważył, świadczy o dawce zuchwalstwa, z którym dosyć ci jest do twarzy; zrazu obawiałem się, że to trąci bezczelnością, ale twój głos, twoje zachowanie uspokoiły mnie. Co do reszty, prosiłem syna mego Juliusa, aby mnie poinformował; ale widzę, że mnie to niezbyt interesuje i mniej znaczy dla mnie niż to, że cię ujrzałem. A teraz, Lafcadio, słuchaj mnie: żaden akt cywilny, żaden dokument nie świadczy o twojej tożsamości. Powziąłem kroki, aby ci nie zostawić żadnych szans rewindykacji. Nie, nie zapewniam mnie o swoich uczuciach, to zbyt bezużyteczne, nie przerywaj mi. Twoje dotychczasowe milczenie jest mi rękojmią, iż twoja matka umiała dotrzymać obietnicy, żeby ci nie mówić o mnie. To dobrze. Zgodnie z zobowiązaniem, jakie przyjąłem wobec niej, doświadczysz mojej wdzięczności. Za pośrednictwem syna mego Juliusa, mimo trudności prawnych, przekażę ci tę część spadku, do której zobowiązałem się wobec twojej matki. Znaczący to, że wyróżnię mego syna w stosunku do mego drugiego dziecka, do hrabiny Guy de Saint-Prix, w granicach dozwolonych prawem i właśnie o tę sumę, którą chciałem ci zostawić za pośrednictwem Juliusa. Będzie to wynosiło, sądzę... powiedzmy, czterdzieści tysięcy renty; muszę zobaczyć się z rejentem i zbadać cyfry... Usiądź, jeżeli tak będzie ci lepiej mnie słuchać. (Lafcadio oparł się o brzeg stołu.) Julius może się sprzeciwić temu wszystkiemu; ma prawo za sobą; liczę na jego uczciwość, że tego nie uczyni; liczę na twoją, że nigdy nie zakłócisz spokoju rodziny Juliusa, tak jak twoja matka nigdy nie zakłóciła mojego spokoju. Dla Juliusa i jego bliskich istnieje tylko Lafcadio Wluiki. Nie chcę, żebyś nosił po mnie żałobę. Moje dziecko, rodzina to jest rzecz wielka i zamknięta: zawsze będziesz tylko bękartem.

Lafcadio nie usiadł mimo zachęty ojca, który spostrzegł, że chłopiec się chwieje; opanowawszy zawrót głowy, oparł się o stół, na którym znajdowała się filiżanka i maszynka spirytusowa; zachował postawę pełną szacunku.

— Powiedz mi teraz: widziałeś tedy dziś rano syna mego Juliusa. Powiedział ci...

— Nic mi właściwie nie powiedział, zgadłem.

— Ciemięga!... Och! Mówię o tamtym... Czy masz go jeszcze widzieć?

— Proponował mi posadę sekretarza.

— Czyś przyjął?

— Czy pan byłby nierad z tego?

— Nie, ale sędzę, że lepiej byłoby, gdybyście się nie... poznawali.

— I ja tak myślałem. Ale nie poznając go, chciałbym go jednak znać trochę.

— Nie masz przecie zamiaru, tak przypuszczam, długo pozostawać w tych podrzędnych funkcjach.

— Ot, tyle, aby się rozejrzeć.

— A potem co zamierzasz uczynić, teraz, kiedy jesteś bogaty?

— Och, proszę pana, wczoraj jeszcze zaledwie miałem co jeść, niech mi pan zostawi czas, abym się zorientował w moim apetycie.

W tej chwili Hektor zapukał do drzwi.

— Pan wicehrabia pragnie się widzieć z jaśnie panem. Czy mam wprowadzić?

Czoło starego zachmurzyło się, zamilkł na chwilę; Lafcadio dyskretnie wstał i gotował się do wyjścia.

— Zostań! — krzyknął Justus Agenor z gwałtownością, która ujęła młodego człowieka; po czym zwracając się do Hektora, rzekł:

— Ech, mniejsza! powiedziałem mu przecie, żeby się nie starał ze mną widzieć. Powiedz mu, że jestem zajęty, że... napiszę do niego.

Hektor skłonił się i wyszedł.

Stary hrabia siedział chwilę z zamkniętymi oczami, zdawało się, że śpi, ale przez zarost widać było, że jego wargi ruszają się. W końcu podniósł powieki, wyciągnął rękę do Lafcadia i głosem zupełnie zmienionym, łagodnym i jakby złamanym rzekł:

— Podaj mi rękę, dziecko. A teraz zostaw mnie.

— Muszę panu do czegoś się przyznać — rzekł Lafcadio z wahaniem. — Aby się panu

pryżwoicie przedstawić, wyczerpałem ostatnie zasoby. Jeżeli mnie pan nie wspomóż, nie bardzo wiem, za co będę jadł obiad dzisiaj, a już jutro zupełnie nie... chyba że pański syn...

— Weź tymczasem to — rzekł hrabia wyjmując z szuflady pięćset franków. — I co! Na co czekasz?

— Chciałem jeszcze zapytać... czy nie mogę mieć nadziei ujrzenia pana jeszcze?

— Na honor! przyznaję, że miałbym na to ochotę. Ale wielebne osoby, które zajmują się moim zbawieniem, podtrzymują mnie w nastroju, w którym przyjemność moja musi schodzić na drugi plan. Co się tyczy mego błogosławieństwa, dam ci je zaraz — i stary otworzył ramiona, aby go uścisnąć. Zamiast się rzucić w ramiona hrabiego, Lafcadio ukląkł nabożnie przed nim. Z głową w jego kolanach, szlochając, rozpluwając się z czułości, czuł, że jego gwałtowne serce topnieje.

— Moje dziecko, moje dziecko — szeptał starzec — zapóźniłem się wobec ciebie.

Kiedy Lafcadio wstał, twarz jego była pełna łez.

Skoro miał odejść i kładł do kieszeni banknot, którego nie wziął od razu, wyjął bilety wizytowe i podał je hrabiemu:

— O proszę, cała paczka.

— Ufam ci, podrzesz je sam. Żegnaj!

“To byłby najlepszy z wujaszków — myślał Lafcadio wracając do Dzielnicy Łacińskiej — i nawet coś więcej — dodał z odrobiną melancholii. — Ba!” Wyjął paczkę biletów, rozwinął je na kształt wachlarza i rozdarł jednym ruchem bez wysiłku.

— Nigdy nie miałem zaufania do ścieków — rzekł rzucając “Lafcadia” do kanału; dopiero o dwa otwory dalej rzucił “de Baraglioul”.

— Baraglioul czy Wluiki, mniejsza, zajmijmy się teraz likwidacją przeszłości.

Znał przy bulwarze Saint-Michel jubilera, przed którym Karola kazała mu co dzień przystawać. Na krzykliwej wystawie upodobała sobie przedwczoraj parę osobliwych spinek do mankietów. Były to cztery kocie główki, złączone parami złotą agrafką i wycięte w osobliwym kryształ, czymś w rodzaju agatu, przez który nic nie było widać, mimo że zdawał się przezroczysty. Ponieważ Venitequa — przy męskim kroju zakietu, tzw. *Tailleur* — nosiła, jak już wspomniałem, mankiety i ponieważ miała dziki gust, zapragnęła tych spinek.

Były nie tyle zabawne, ile dziwaczne; Lafcadiowi wydawały się okropne; drażniłoby go widzieć je u swojej kochanki; ale z chwilą, kiedy ją puszczał kantem... Wszedł do magazynu i zapłacił sto dwadzieścia franków za te spinki.

— Kawalek papieru, jeśli łaska. — I na arkusiku, który mu kupiec podał, pochylony nad ladą pisał:

Pani Karola Venitequa

Z podziękowaniem, że wprowadziła obcego pana do mego pokoju, i z prośbą, aby już nie przestępowała mego progu.

Złożywszy papier, włożył go do puzderka, w które kupiec zapakował klejnot.

“Nie śpieszmy się — powiedział sobie oddając puzderko odźwiernemu. — Spędźmy jeszcze noc pod tym dachem i poprzestańmy na tym, aby szczelnie zamknąć drzwi przed panną Karolą.”

VI

Julius de Baraglioul żył w przedłużonym trybie “moralności prowizorycznej”, tej samej, której poddał się Descartes w oczekiwaniu, aż sumienie ustali prawidła regulujące jego życie i myśli na przyszłość. Ale ani temperament Juliusa nie przemawiał z taką stanowczością, ani myśl jego nie miała takiej powagi, aby go dotychczas zbyt krępowało owo poddanie się konwenansom. Razem wzięwszy, wymagał jedynie komfortu, którego część stanowiły jego sukcesy literackie. Pod wpływem krytyk swojej ostatniej książki pierwszy raz odczuwał żądło bólu.

Dosyć go już ubodło to, że mu nie dozwolono wstępu do ojca; czułby się jeszcze bardziej upokorzony, gdyby mógł wiedzieć, kto go uprzedził u starca. Wracając na ulicę de Verneuil coraz słabiej odpychał niedorzeczne przypuszczenie, które go już niepokoiło, podczas gdy się udawał do Lafcadia. I on także zestawiał fakty i daty; i on także wzdragał się widzieć jedynie prosty zbieg okoliczności w tym dziwnym spotkaniu. Zresztą, wdzięk młodego Lafcadia urzekł go; i mimo iż nie wątpił, że go ojciec wyzuje z części ojcowizny na rzecz tego nieślubnego brata, nie czuł doń żadnej niechęci, a nawet oczekiwał go rano z dość czułą i zycziwą ciekawością.

Co się tyczy Lafcadia, mimo że był tak drażliwy i powściągliwy, ta rzadka sposobność rozmowy kusila go; a także przyjemność wprawienia Juliusa w zakłopotanie. Bo nawet z Protosem nigdy nie był zbyt rozlewny. Ile drogi zrobił od tego czasu! Ostatecznie Julius nie był mu antypatyczny, mimo że wydał mu się pajacem; bawiło go, że to jest jego brat.

Kiedy Lafcadio zbliżał się rankiem do mieszkania Juliusa, nazajutrz po odwiedzinach wicehrabiego, zdarzyła mu się dość dziwna przygoda. Przez zamięłowanie do określonych dróg,

wiedziony może jakimś instynktem, a może pragnąc uspokoić zamęt własnej duszy i ciała i zjawić się u brata w dobrej formie, Lafcadio nadłożył drogi; poszedł bulwarem Inwalidów, minął miejsce wczorajszego pożaru, po czym skręcił w ulicę Bellechasse.

— Ulica de Verneuil 34 — powtarzał sobie w drodze — cztery i trzy, siedem; dobra cyfra.

Wychodził z ulicy Saint-Dominique, w miejscu, gdzie ta ulica przecina bulwar Saint-Germain, kiedy po drugiej stronie bulwaru ujrzał i od razu poznał ową młodą dziewczynę, która od wczoraj wciąż nawiedzała po trosze jego myśli. Przyśpieszył kroku... To była ona! Dogonił ją przy końcu krótkiej ulicy de Villersexel; ale uznawszy, że nie byłoby zbyt godne Baraglioula zaczepiać ją, poprzestał na tym, że się do niej uśmiechnął kłaniając się lekko i uchylając dyskretnie kapelusza; po czym, minawszy ją szybko, uznał za najwłaściwsze schronić się do trafiki, gdy młoda panna, znów go wyprzedzając, skręciła w ulicę Uniwersytecką.

Kiedy Lafcadio wyszedł z trafiki i wszedł również w tę ulicę, obejrzał się na prawo i lewo: panna znikła. — Lafcadio, mój przyjacielu, wpadasz w banalność; jeżeli masz się zakochać, nie licz na moje pióro, aby odmalować zamęt twego serca... Ale nie. Lafcadio byłby uznał za niewłaściwe rozpocząć pościg; zarazem nie chciał się spóźnić do Juliusa, a czas, który stracił, nie dopuszczał już dalszej zwłoki. Szczęściem, ulica Verneuil była blisko, a dom, który zajmował Julius, był tuż koło rogu. Lafcadio rzucił odzwrotnemu nazwisko hrabiego i wpadł na schody.

Tymczasem Genowefa de Baraglioul — bo to była ona, starsza córka hrabiego Juliusa; wracała ze szpitala dla dzieci, dokąd chodziła co rano — o wiele bardziej od Lafcadia zmieszana tym nowym spotkaniem, spieszenie doboła do ojcowskiego domu; wszedłszy w bramę właśnie w chwili, gdy Lafcadio skręcał w ulicę, była na drugim piętrze, kiedy szybkie kroki rozlegające się tuż za nią kazały się jej odwrócić. Ktoś szedł w górę szybciej od niej; usunęła się, aby go przepuścić; ale poznając nagle Lafcadia, który zatrzymał się, zdumiony na wprost niej, rzekła siląc się na ton możliwie gniewny:

— Czy to jest godne pana ścigać mnie?

— Och, pani, cóż pani o mnie pomyśli? — wykrzyknął Lafcadio. — Nie uwierzy mi pani, kiedy powiem, że nie widziałem, że pani weszła do tego domu. Jestem bardziej jeszcze od pani zdumiony tym spotkaniem. Czy nie tutaj mieszka hrabia Julius de Baraglioul?

— Jak to — rzekła Genowefa rumieniąc się — byłżeby pan tym nowym sekretarzem, którego oczekuje ojciec? Pan Lafcadio Wlou... ma pan nazwisko tak dziwne, że nie wiem, jak je wymówić...

A kiedy Lafcadio, rumieniąc się z kolei, skłonił się, panna dodała:

— Skoro tu pana spotykam, czy mogę błagać, aby pan nie mówił rodzicom o wczorajszej przygodzie, która, jak sądzę, wcale by ich nie zachwyciła; ani zwłaszcza o sakiewce: powiedziałam, że ją zgubiłam.

— Miałem panią również błagać, aby pani pokryła milczeniem idiotyczną rolę, którą wobec pani odegrałem. Jestem jak pani rodzice: nie bardzo to wszystko rozumiem i wcale tego nie chwaleb.

Nie mogłem się powstrzymać... Niech mi pani daruje. Muszę się jeszcze uczyć... Ale nauczę się, upewniam panią... Czy zechce mi pani podać rękę?

Genowefa de Baraglioul, która nie przyznawała się przed sobą, że Lafcadio wydał się jej bardzo piękny, nie przyznała się przed Lafcadiem, że nie tylko nie był w jej oczach śmieszny, ale przeciwnie, wydał się jej bohaterem. Podała mu rękę, którą on z zapalem podniósł do ust; wówczas, uśmiechając się z prostotą, poprosiła, aby się trochę wrócił i zaczekał, aż ona wejdzie i zamknie drzwi, tak aby ich nie widziano razem; a zwłaszcza żeby później nie okazał niczym, że się poprzednio spotkali.

W kilka minut potem wprowadzono Lafcadia do gabinetu powieściopisarza.

Przyjęcie było nader uprzejme; ale hrabia Julius nie umiał się wziąć do rzeczy, a Lafcadio zajął od razu obronną pozycję.

— Panie hrabio, muszę pana na wstępie ostrzec: mam wybitny wstręt do wdzięczności, tak samo jak do długów; i co bądź by pan dla mnie uczynił, nie sprawi pan, abym mu się czuł zobowiązany.

Teraz Julius zachnął się.

— Nie mam zamiaru pana kupować, panie Wluiki — zaczął z partesu. Ale nagle obaj, spostrzegłszy, że palą za sobą mosty, urwali. Po chwili milczenia Lafcadio spytał pojednawczo:

— Jakaż to jest ta praca, którą mi pan chciał powierzyć?

Julius wycofał się pod pozorem, że tekst jeszcze nie jest gotowy; nieźle byłoby zresztą, aby przedtem zapoznali się nieco bliżej.

— Przyzna pan — odparł Lafcadio wesoło — że pan wczoraj z tym nie czekał i że pan zaszczycił swoją uwagę pewien kajecik...

Julius stracił kontenans i odparł nieco zmieszany:

— Przyznaję — rzekł; po czym dodał z godnością: — I przepraszam. Gdyby taka rzecz dała się cofnąć, nie powtórzyłbym tego.

— Nie da się powtórzyć, spaliłem kajet.

Julius przybrał wyraz stroskany:

— Bardzo się pan gniewa?

— Gdybym się jeszcze gniewał, nie mówiłbym panu o tym. Daruje pan ton, jaki przybrałem tu na wstępie — ciągnął Lafcadio zdecydowany prowadzić grę dalej.

— Bądź co bądź, rad bym wiedzieć, czy pan także przeczytał urywek listu znajdujący się w notatniku?

Julius nie przeczytał listu dla tej prostej racji, że go nie znalazł; ale skorzystał z tego, aby zapewnić o swojej dyskrecji. Lafcadio bawił się nim i bawił się tym, że mu to okazuje.

— Wziąłem już po trosze rewanż wczoraj na pańskiej ostatniej książce.

— Nie ma danych na to, aby pana mogła zająć — rzekł skwapliwie Julius.

— Och, nie przeczytałem całej. Muszę się panu przyznać, że nie mam wielkiego zamiłowania do lektury. Prawdę rzekłszy, z przyjemnością czytałem dotąd jedynie "Robinsona"... A, także "Aladyna"... W pańskich oczach muszę być zgubiony.

Julius podniósł łagodnie rękę:

— Jedynie żał mi pana; pozbawia się pan wielkich rozkoszy.

— Znam inne.

— Może nie w równie dobrym gatunku.

— Spodziewam się! — i Lafcadio zaśmiał się dość bezczelnie.

— Będzie pan tego żałował kiedyś — podjął Julius, nieco podrażniony drwiną.

— Kiedy będzie za późno — dokończył sentencjonalnie Lafcadio; po czym dodał nagle: — To pana bardzo bawi, pisać?

Julius wyprostował się.

— Nie piszę dla zabawy — rzekł z godnością. — Rozkosze, jakich kosztuję pisząc, wyższe są od tych, które mogłoby mi dać życie. Zresztą, jedno nie przeszkadza drugiemu...

— Tak się to mówi. — Po czym podnosząc nagle głos, który zniżył jak gdyby przez roztargnienie, Lafcadio dodał: — Czy pan wie, co mnie zraża do wszelkiej pisaniny? Poprawki, przekreślenia, retusze, jakie się robi.

— Sądzi pan, że w życiu człowiek się nie poprawia? — spytał z ożywieniem Julius.

— Nie rozumie mnie pan: w życiu człowiek poprawia się (wedle tego, co mówią), doskonali się; ale nie można poprawić tego, co się zrobiło. I właśnie to prawo do retuszu robi z pisaniny rzecz tak szarą i tak... (nie dokończył). Tak, to właśnie mi się wydaje tak piękne w życiu, że trzeba malować *alfresco*. Mazanie nie dozwolone.

— Czy dużo trzeba by mazać w pańskim życiu?

— Nie... jeszcze niezbyt dużo... A zresztą, skoro nie można mazać... — Lafcadio zamilkł na chwilę, po czym dodał: — A jednak to przez chęć zamazania rzuciłem w ogień mój notatnik!... Za późno, jak pan widzi. Ale niech pan przyzna, że pan z tego niewiele zrozumiał.

Nie; do tego Julius by się nie przyznał.

— Czy pozwoli mi pan na kilka pytań? — rzekł zamiast odpowiedzi.

Lafcadio wstał tak żywo, iż Julius myślał, że chce uciec; ale on podszedł jedynie do okna i podnosząc muślinową firankę rzekł:

— To pański ten ogród?

— Nie — odparł Julius.

— Szanowny panie, nikomu dotąd nie pozwoliłem bodaj trochę zaglądać do mego życia — odparł Lafcadio nie odwracając się. Potem, wracając do Juliusa, który znów widział w nim tylko sztubaka: — Ale dziś jest święto, dam sobie wakacje, jedyny raz w życiu. Niech pan zadaje pytania, zobowiązuję się odpowiedzieć na wszystkie... A! Muszę panu powiedzieć najpierw, że wylałem za drzwi dziewczynę, która je panu wczoraj otwarła.

Dla formy Julius przybrał wyraz stroskany.

— Z mojej przyczyny! Niech pan wierzy, że...

— Ba! Od jakiegoś czasu myślałem, jak się jej pozbyć.

— Pan... żył z nią? — spytał niezgrabnie Julius.

— Tak; dla higieny... Ale możliwie najmniej; i raczej przez pamięć przyjaciela, który był wprzód jej kochankiem.

— Może pan Protos? — zaryzykował Julius, zdecydowany połknąć swoje zgorszenia, wstręty, potępienia i okazać w tym pierwszym dniu zdziwienia jedynie tyle, ile trzeba będzie, aby ożywić nieco odpowiedzi młodzieńca.

— Tak, Protos — odparł śmiejąc się Lafcadio. — Chciałby pan wiedzieć, kto jest Protos?

— Poznając nieco pańskich przyjaciół, poznałbym może pana.

— To był Włoch, nazywał się... na honor, nie pamiętam już, i mniejsza o to! Koledzy, nauczyciele nie nazywali go inaczej niż tym przydomkiem, od czasu jak nagle załapał pierwszy stopień z greckiego ćwiczenia.

— Nie przypominam sobie, abym był kiedykolwiek prymusem — rzekł Julius, aby ułatwić

zwierzenia — ale i ja zawsze lubiłem przyjaźnić się z prymusami. Zatem, Protos...

— Och, to było wskutek zakładu, jaki zrobił. Przedtem był jednym z ostatnich w klasie, mimo że był jednym z najstarszych, gdy ja byłem jednym z najmłodszych; ale, na honor, też uczyłem się nietęgo. Protos objawiał wielką pogardę dla wszystkiego, czego uczyli nasi nauczyciele; ale gdy jeden z naszych kujonów powiedział mu raz: "Wygodnie jest gardzić tym, do czego się nie jest zdolnym" (czy też coś w tym rodzaju), Protos wściekł się, zawzięł się na dwa tygodnie i wziął się w kupę tak, że przy najbliższym zadaniu przegonił tamtego; był pierwszym ku zdumieniu nas wszystkich. Powinienem być powiedzieć: ich wszystkich. Co do mnie, miałem o Protosie zbyt wysokie pojęcie, aby mnie to mogło zdziwić. Powiedział: "Pokażę im, że to nie tak trudno." Uwierzyłem mu.

— Jeżeli pana dobrze rozumiem, Protos miał na pana znaczny wpływ.

— Może. Imponował mi. Prawdę mówiąc, miałem z nim tylko jedną intymną rozmowę; ale ta była dla mnie tak przekonywająca, że nazajutrz uciekłem z pensjonatu, w którym gniłem do tej chwili, i zaszedłem pieszo do Baden, gdzie matka bawiła wówczas w towarzystwie mego wuja, margrabiego de Gesvres... Ale my zaczynamy od końca. Przeczuję, że pan mnie będzie bardzo źle pytał. Ot, niech mi pan pozwoli opowiedzieć sobie bardzo po prostu moje życie. Dowie się pan w ten sposób o wiele więcej, niżby pan zdołał wypytać, a może więcej, niżby pan chciał się dowiedzieć. Nie, dziękuję, wolę własne — rzekł wyjmując papierośnicę i rzucając papierosa, którego mu na wstępie ofiarował Julius i któremu w trakcie rozmowy dał zgasnąć.

— Urodziłem się w Bukareszcie w roku 1874 — zaczął z wolna — i, przypuszczam, że pan to wie, straciłem ojca niebawem po urodzeniu. Pierwszą osobą, którą ujrzałem przy boku mojej matki, był Niemiec, mój wuj, baron Heldenbruck. Ale ponieważ go straciłem mając dwanaście lat, zachowałem o nim zaledwie mgliste wspomnienie. Był to, zdaje się, wybitny finansista. Nauczył mnie swego języka oraz rachunków za pomocą tak sprytnych sztuczek, że znajdowałem w tej zabawie nadzwyczajną przyjemność. Zrobił ze mnie, jak mówił żartobliwie, swego kasjera, to znaczy, że mi powierzał swój zasób drobnej monety i że wszędzie, gdzie mu towarzyszył, do mnie należało regulowanie wydatków. Co bądź kupił (a kupował wiele), żądał, abym umiał obliczyć sumę przez czas potrzebny na to, aby wyjąć drobne lub banknot z kieszeni. Czasami utrudniał mi zadanie monetami cudzoziemskimi; wówczas dochodziła kwestia kursu; potem eskont, procent, pożyczka, w końcu nawet spekulacja. Przy tym zajęciu rychło stałem się dość biegły w mnożeniu, a nawet dzieleniu długich liczb bez papieru... Niech się pan uspokoi (bo ujrzał, że brwi Juliusa się marszczą), to mi nie wszczepiło zamiłowania ani do pieniędzy, ani do spekulacji. Toteż nie prowadzę nigdy rachunków — o ile pana interesuje ta wiadomość. Prawdę rzekłszy, to pierwsze wychowanie pozostało wyłącznie praktyczne i pozytywne i nie poruszyło we mnie żadnej sprężyny... Przy tym pan Heldenbruck rozumiał doskonale higienę dziecka; nakłonił matkę, aby mi pozwoliła chodzić z gołą

głową i bosą, we wszelką pogodę, i możliwie dużo na powietrzu; zanurzał mnie sam w zimnej wodzie zimą i latem, znajdowałem w tym wielką przyjemność... Ale pana nie interesują te szczegóły.

— Owszem, owszem!

— Później interesy wezwały go do Ameryki. Nie ujrzałem go już. W Bukareszcie salony mojej matki stały otworem dla towarzystwa najświetniejszego i, o ile mogę sądzić we wspomnieniu, najbardziej mieszanego; ale najczęściej bywali u niej wówczas mój wuj, książę Włodzimierz Biełkowski, i niejaki Ardengo Baldi, którego — nie wiem czemu — nigdy nie nazywałem swoim wujem. Interesy Rosji (chciałem rzec Polski) i Włoch zatrzymały ich w Bukareszcie przez trzy czy cztery lata. Każdy z nich nauczył mnie swego języka; to znaczy włoskiego i polskiego, bo co do rosyjskiego, o ile czytam w tym języku i rozumiem bez zbytniego trudu, nigdy nie mówiłem nim biegle. W towarzystwie, które przyjmowała moja matka, a które pieściło mnie i psuło, nie minął tydzień, abym nie miał sposobności ćwiczyć się w ten sposób w czterech czy pięciu językach, którymi mając trzynaście lat mówiłem już bez żadnego akcentu, prawie bez różnicy; ale po francusku najchętniej, bo to był język ojca i matka dbała o to, abym się go nauczył najpierwej.

Biełkowski zajmował się mną dużo, jak wszyscy ci, którzy chcieli się przypodobać mojej matce; można by rzec, że to do mnie się zalecano. Ale co się jego tyczy, sądzę, że to nie było wyrachowanie, bo on zawsze szedł za swoją skłonnością, a miał je żywe i różnego rodzaju. Zajmował się mną nawet poza wiedzą mojej matki, a mnie bardzo pochlebiała ta szczególna sympatia, jaką mnie darzył. Ten dziwny człowiek zmienił z dnia na dzień nasze dosyć stateczne życie w jakiś szalony festyn. Nie, to nie dość powiedzieć, że on szedł za swoją pasją, on pędził za nią, rzucał się w nią, zmieniał każdą przyjemność w rodzaj szalu.

Woził nas przez trzy lata z rzędu do willi, a raczej zamku na węgierskim stoku Karpat, w pobliżu Eperjes, dokąd jeździliśmy często powozem. Ale częściej jeszcze jeździliśmy konno, i nic tak nie bawiło mojej matki, jak uganiać przez pola i lasy, które były tam bardzo piękne. Poney, którego mi darował Włodzimierz, był przez więcej niż rok największym moim ukochaniem na świecie.

Drugiego lata przybył do nas Ardengo Baldi: wówczas nauczył mnie grać w szachy. Zaprawiony przez Heldenbrucka do rachowania w myśli, dość szybko przywykłem grać w szachy nie patrząc na szachownicę.

Baldi żył z Biełkowskim bardzo blisko. Wieczorem w samotnej wieży, zanurzeni w ciszy parku i lasu, zasiadywaliśmy się dość późno w noc, tasując i rozdając karty, bo mimo iż byłem jeszcze dzieckiem miałem trzynaście lat — Baldi nauczył mnie, przez wstręt do "dziadka", grać w wista i szachrować.

To był zongler, kuglarz, prestidigitator, akrobata; w pierwszych czasach, kiedy zaczął bywać u nas, wyobraźnia moja zaledwie wyszła z długiego postu, jakiemu ją poddał Heldenbruck; byłem zgłodniały cudów, łatwowierny i pełen tkliwej ciekawości. Potem Baldi nauczył mnie swoich sztuczek; późniejsze przeniknięcie ich sekretów nie mogło zatrzeć wrażenia tajemniczości, kiedy pierwszego dnia ujrzałem, jak on paznokciem małego palca zapala papierosa, a potem, przegrawszy w karty, wyciąga z mego ucha i nosa tyle rubli, ile mu było trzeba. Przeraziło mnie to głęboko, ale bardzo zabawiło widzów, Baldi bowiem powtarzał wciąż z niewzruszonym spokojem: "Całe

szczęście, że to dziecię jest niewyczerpaną kopalnią!"

Wieczorami, kiedy był sam z swoją matką i ze mną, zawsze wymyślił jakąś nową grę, jakąś niespodziankę lub psotę; małpował wszystkich znajomych, robił miny, odmieniał się do niepoznaki, naśladował wszystkie głosy, krzyki zwierząt, dźwięki instrumentów, wydobywał z siebie dziwne odgłosy, śpiewał, akompaniując sobie na gęśli, tańczył, fikał, chodził na rękach; zdjawszy trzewiki, żonglował nogami na sposób Japończyków, obracając parawanik albo stolik na końcu kciuka; jeszcze lepiej żonglował rękami; z pogniecionego i podartego papieru wypuszczał mnóstwo białych motyli, które pędziłem swoim oddechem, a które on utrzymywał w powietrzu ruchami wachlarza. Tak w jego pobliżu przedmioty traciły ciężar i rzeczywistość, nawet obecność, lub też nabierały jakiegoś nowego, nieoczekiwanego, dziwnaczego znaczenia, obcego wszelkiemu użytkowi. "Mało jest rzeczy, którymi nie byłoby przyjemnie żonglować" — powiadał Baldi. Był przy tym tak zabawny, że konałem ze śmiechu, a matka wołała: "Przestań, Baldi! Cadio nie będzie mógł spać". To pewne, że musiałem mieć mocne nerwy, aby wytrzymać takie podniecenia.

Dużom skorzystał z tej nauki; po paru miesiącach w niejednej sztuczce byłbym zakasował samego Baldiego, a nawet...

— Widzę, moje dziecko, żeś otrzymał wychowanie bardzo staranne — przerwał Julius.

Lafcadio zaczął się śmiać, nadzwyczaj ubawiony przerażoną miną powieściopisarza.

— Och, nic z tego nie weszło w głęb, niech się pan nie obawia! Ale był już czas, nieprawdaż, aby się zjawił wuj Faby. Bo to on zjawił się u matki, gdy Biełkowski i Baldi przenieśli się na nowe placówki.

— Faby? To ten, którego pismo widziałem na pierwszej stronie kajetu?

— Tak. Fabian Taylor, lord Gravensdale. Zabrał mamę i mnie do willi, którą wynajął blisko Duino, na Adriatyku, gdzie się bardzo wzmocnił. Wybrzeże tworzyło w tym miejscu skalisty półwysep, prawie całkowicie zajęty przez naszą posiadłość. Tam, pod sosnami, wśród skał, w głębi zatoki, lub też kąpiąc się i pluskając się w morzu, żyłem cały dzień jak dzikus. Z tej epoki datuje się fotografia, którą pan widział; spaliłem ją również.

— Zdaje mi się — rzekł Julius — że w danej okoliczności mógł się pan być ubrać przyzwoiciej.

— Właśnie że nie mogłem — odparł śmiejąc się Lafcadio. — Pod pozorem opalenia mnie Faby chował pod kluczem wszystkie moje ubrania, nawet bieliznę...

— A co na to mówiła pańska matka?

— Bardzo ją to bawiło; powiadała, że jeżeli goście się gorszą, mogą się zabierać; ale to nie przeszkadzało nikomu z osób, które u nas bywały.

— A cóż przez cały ten czas z nauką twoją, moje biedne dziecko!...

— Owszem, uczyłem się tak łatwo, że matka zaniedbała nieco moje wykształcenie; szło mi na szesnaście lat; zdaje się, że matka spostrzegła to nagle, i po cudownej podróży do Algieru, jaką zrobiłem z wujaszkiem Faby (to był, sądzę, najlepszy czas w moim życiu), posłała mnie do Paryża i powierzyła nieubłaganemu więziennemu dozorczy, który zajął się moją nauką.

— Po tak niezwyklej swobodzie rozumiem w istocie, że ten przymus musiał się panu wydać trochę ciężki.

— Nie byłbym tego nigdy zniósł, gdyby nie Protos. Mieszkał na tej samej stacji co ja; po to, żeby się nauczyć francuskiego, jak mówiono; ale on mówił po francusku wybornie i nigdy nie mogłem zrozumieć, co on tam robi; tak samo jak i ja. Usychałem; nie lubiłem zanadto Protosa, ale zwracałem się ku niemu, jakby on miał mi przynieść wyzwolenie. Był trochę starszy ode mnie, wydawał się jeszcze starszy, niż był, nie miał już nic dziecinnego w sposobie bycia ani w upodobaniach. Rysy jego były, kiedy chciał, nadzwyczaj wymowne i mogły wyrazić wszystko; ale w chwilach spoczynku przybierał minę głupca. Jednego dnia, kiedy z tego żartowałem, odparł, iż w świecie ważne jest, aby nie zanadto wyglądać na to, czym się jest.

Nie wystarczało mu, kiedy się wydawał tylko skromny; silił się uchodzić za cymbała. Mawiał, iż ludzi gubi to, że wołają popis od ćwiczenia i że nie umieją ukrywać swoich darów; ale mówił to tylko mnie jednemu. Z innymi trzymał się z dala, a nawet ze mną, jedynym na całej stacji, którym nie pogardzał. Z chwilą gdy mi się go udało rozgadać, stawał się nadzwyczaj wymowny; ale najczęściej chmurny i milczący, robił wówczas wrażenie, że przetrawia czarne zamiary, które byłbym chciał poznać. Kiedy go pytałem: "Co pan tu robi?" (nikt z nas nie mówił mu ty), odpowiadał: "Biorę rozmach". Utrzymywał, że w życiu człowiek może się wydobyć z najtrudniejszych sytuacji, umiając sobie rzec w porę: "Pał sześć!" I ja to sobie powiedziałem w chwili ucieczki.

Ruszywszy z osiemnastu frankami w kieszeni, dotarłem do Baden wędrując sobie z wolna, jedząc sam nie wiem co, śpiając sam nie wiem gdzie...

Byłem trochę połamany, kiedy przybyłem na miejsce, ale razem wzięwszy kontent z siebie, bo miałem jeszcze trzy franki w kieszeni; prawda, że w drodze zarobiłem pięć czy sześć. Zostałem matką z wujaszkiem de Gesvres, który bardzo się ubawił moją ucieczką i postanowił mnie odwiedzić do Paryża: był niepokieszony (powiadał), że Paryż zostawił mi złe wspomnienie. I faktem jest, że kiedyśmy tam wrócili razem, Paryż ukazał mi się w nieco lepszym świetle.

Margrabia de Gesvres namiętnie lubił wydawać pieniądze; to była jego nieustanna potrzeba, wilczy głód; można by rzec, iż jest mi wdzięczny, że mu pomagam do zaspokajania tego głodu i że zdwajam jego apetyt swoim własnym. Na wspak wujowi Faby, zaszczepił mi zamiłowanie strojów; sądzą, że je nosił wcale dobrze; byłem u niego w dobrej szkole; elegancja jego była czymś zupełnie naturalnym, niby druga szczerłość. Porozumiewałem się z nim bardzo dobrze. Razem spędzaliśmy dni u bieliźniarzy, szewców, krawców; używał szczególnej uwagi obuwiu, po którym poznaje się ludzi — powiadał — równie pewnie, a głębiej niż z reszty stroju i z rysów twarzy... Nauczył mnie wydawać bez rachuby i bez troski o to, czy będę miał za co zaspokoić swoją fantazję, swoje pragnienie lub głód. Głosił zasadę, że tę ostatnią potrzebę należy zaspokajać na końcu, bo (pamiętam jego słowa) pragnienie albo kaprys — powiadał — są przelotne, podczas gdy głód zawsze się odnajdzie i jest tym pełniejszy, im dłużej dało mu się czekać. Nauczył mnie wreszcie nie cieszyć się

daną rzeczą bardziej, dlatego że kosztowała drożej, ani też mniej, jeśli przypadkiem nie kosztowała nic.

Tak żyłem, kiedym stracił matkę. Depesza wezwała mnie nagle do Bukaresztu; ujrzałem ją już umarłą. Dowiedziałem się tam, że od wyjazdu margrabiego narobiła wiele długów; że jej majątek ledwie starczy na to, aby je spłacić, tak że nie mogę się spodziewać ani kopiejki, ani grosza. Tuż po pogrzebie wróciłem do Paryża, gdzie spodziewałem się zastać wujaszka de Gesvres; ale wyjechał nagle do Rosji, nie zostawiwszy adresu.

Nie będę panu opowiadał wszystkich refleksyj, jakim się oddałem. Miałem, u licha, pewne zasoby zręczności, dzięki którym zawsze człowiek daje sobie rady; ale im bardziej tego potrzebowałem, tym bardziej miałem wstręt do posłużenia się nimi. Na szczęście, pewnej nocy, kiedym się wałęsał po ulicach, trochę zakłopotany, spotkałem ową Karolę Venitequa, którą pan widział, eks-kochankę Protosa, i ta użyczyła mi przyzwoitej gościny. W kilka dni potem dowiedziałem się, że mam otrzymać w dość tajemniczy sposób szczupłą pensyjkę, którą będę odbierał co miesiąc u rejenta; mam wstręt do wyjaśnień, toteż pobierałem ją nie pytając o więcej. Potem pan się zjawił... Wie pan teraz mniej więcej wszystko, co mi się podobało panu powiedzieć.

— To szczęście — rzekł uroczyście Julius — to szczęście, Lafcadio, że dziś spada na ciebie trochę pieniędzy; bez zajęcia, bez wykształcenia, skazany na życie z dnia na dzień... tak jak cię znam obecnie, byłeś gotów do wszystkiego.

— Wręcz przeciwnie, do niczego — odparł Lafcadio spoglądając poważnie na hrabiego. — Mimo wszystko, com panu powiedział, widzę, że pan mnie jeszcze zna bardzo lichy. Nic tak nie paraliżuje jak potrzeba: zawsze starałem się jedynie o to, co mi się na nic nie zdało.

— Ot, paradoksy. I pan myśli, że z tego można wyżyć?

— To zależy od żołądka. Panu podoba się nazywać paradoksami wszystko, czego pański nie trawi... Co do mnie, raczej umarłbym z głodu wobec tego gulaszu logiki, którym, jak widziałem, karmi pan swoich bohaterów.

— Daruje pan...

— Przynajmniej bohatera swojej ostatniej książki. Czy to prawda, że pan w niej odmalował swego ojca? Ta pańska troska o to, aby go utrzymać zawsze i wszędzie w zgodzie z panem i z samym sobą, wiernego swoim obowiązkom i zasadom, to znaczy pańskim teoriom!... Pan pojmuje, co ja, właśnie ja, mogę o tym powiedzieć... Panie de Baraglioul, niech pan przyjmie ten fakt: jestem istotą pełną niekonsekwencji. I widzi pan, ilem ja nagadał, ja, który wczoraj jeszcze uważałem się za istotę najbardziej milczącą, zamkniętą, odludną! Ale dobrze by było, abyśmy szybko zawarli znajomość i abyśmy już nie potrzebowali wracać do tych rzeczy. Jutro, dziś wieczór schowam się z powrotem w swoją skorupę.

Powieściopisarz, którego takie poglądy wytrącały z równowagi, uczynił wysiłek, aby ją odzyskać.

— Niech się pan najpierw pogodzi z tym, że nie ma niekonsekwencji, tak samo w psychologii jak w fizyce — rozpoczął. — Jesteś pan w fazie przejściowej...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Że jednak nikt się nie zjawiał, Julius wyszedł. Przez drzwi, które zostawił otwarte, dochodził do Lafcadio odgłos zmieszanych głosów. Potem zapanowała wielka cisza. Po dziesięciu minutach czekania Lafcadio już się gotował do odejścia, kiedy wszedł lokaj w liberii:

— Pan hrabia kazał powiedzieć panu sekretarzowi, że go nie zatrzymuje dłużej. Pan hrabia otrzymał złe wiadomości od ojca i przeprasza, że nie może się pożegnać z panem.

Z tonu, jakim to było powiedziane, Lafcadio domyślił się, że oznajmiono śmierć starego hrabiego. Zapanował nad wzruszeniem.

“Ha! — powiadał sobie wracając na impasse Claude-Bernard — chwila nadeszła. *It is time to launch the ship.* * Odtąd, skądkolwiek powieje wiatr, ten, który powieje, będzie dobry. Skoro nie mogę być całkiem blisko przeszłości, starajmy się najbardziej od niej oddalić”.

Przechodząc w hotelu koło łoży odźwiernego oddał mu puzderko, które nosił od wczoraj przy sobie.

— Odda pan ten pakiecik panie Venitequa wieczorem, kiedy wróci — rzekł. — Zechce pan przygotować mój rachunek.

W godzinę potem, spakowawszy walizę, posłał po fiakra. Wyjechał nie podając adresu. Adres jego rejenta wystarczał.

KSIĘGA TRZECIA

AMADEUSZ FLEURISSOIRE

Hrabina Guy de Saint-Prix, młodsza siostra Juliusa, którą śmierć hrabiego Justusa Agenora powołała nagle do Paryża, od niedawna dopiero wróciła do ładnego pałacyku w Pezac, o cztery kilometry od Pau. Nie opuszczała prawie tej posiadłości od czasu swego wdowieństwa, a tym bardziej od czasu małżeństwa i ustalenia się swoich dzieci. Otóż, pewnego dnia, otrzymała tam szczególną wizytę.

Hrabina wróciła właśnie z rannej przejażdżki, którą zwykła była — powożąc sama — odbywać w lekkim powoziku; uwiadomiono ją, że jakiś kapucyn czeka na nią od godziny w salonie. Nieznajomy powoływał się na kardynała André, jak zaświadczał bilet Jego Eminencji, który wręczono hrabinie; bilet był w kopercie; pod nazwiskiem kardynała można było wyczytać te słowa, skreślone jego drobnym, prawie kobiecym pismem:

Poleca bardzo szczególnym względem hrabiny de Saint-Prix księdza J. P. Salus, kanonika w Virmontal.

To było wszystko, i to wystarczało. Hrabina chętnie przyjmowała osoby duchowne; co więcej, kardynał André dzierżył duszę hrabiny w swoich rękach. Jednym susem znalazła się w salonie, przepraszając, że dała na siebie czekać.

Kanonik był pięknym mężczyzną; jego szlachetna twarz tryaskała męską energią, która kłóciła się dziwnie z pełną wahań ostrożnością gestów i głosu, tak samo, jak mogły zdziwić jego włosy, prawie białe, przy świeżej i młodej twarzy.

Mimo uprzejmości hrabiny rozmowa nie kleiła się; obracała się dokoła zdawkowych kondolencji z powodu świeżej żałoby hrabiny, zdrowia kardynała André, nowego zawodu, jakiego doznał Julius w Akademii. Ale stopniowo głos księdza stawał się wolny i głuchy, a wyraz jego twarzy pełen troski. Wstał wreszcie, ale zamiast się pożegnać, rzekł:

— Pragnąłbym, pani hrabino, i to w imieniu kardynała, pomówić z panią o ważnej sprawie. Ale pokój jest akustyczny; przeraża mnie ilość drzwi, boję się, aby nas ktoś nie usłyszał.

Hrabina przepadała za zwierzeniami i fasonami; wprowadziła kanonika do małego buduaru, do którego dostęp był jedynie z salonu, i zamknęła drzwi.

— Tu jesteśmy bezpieczni — rzekła. — Niech ojciec mówi bez obawy.

Ale zamiast mówić, ksiądz, który usiadł na wprost hrabiny na niskim krzeselku, wydobył

fularową chustkę i zdławił konwulsyjne łkania.

Wystraszona hrabina chwyciła ze stolika koszyk do robótek, poszukała w koszyku flakonu z solami, zawahała się, czy ma je ofiarować gościowi, w końcu zdecydowała się powąchać je sama.

— Niech mi pani daruje — rzekł po chwili ksiądz wyłaniając z fularu twarz nabiegłą krwią. — Wiem, że pani jest zbyt dobrą katoliczką, pani hrabino, aby pani nie miała rychło zrozumieć i podzielić mego wzruszenia.

Hrabina nie cierpiała roztkliwiań; schroniła swoją poprawność za *face-à-main*. Ksiądz opanował się natychmiast i przysuwając nieco fotel, mówił dalej:

— Trzeba było, pani hrabino, uroczystego zapewnienia kardynała, aby mnie skłonić do tej wizyty; tak, zapewnienia z jego ust, że wiara pani nie jest ową wiarą ludzi światowych, prostym płaszczykiem obojętności...

— Przejdźmy do faktów, księże kanoniku.

— Kardynał zapewnił mnie tedy, że mogę pokładać pełne zaufanie w pani dyskrekcji: dyskrekcji spowiednika, śmiem powiedzieć...

— Ależ, księże kanoniku, niech mi pan daruje jedno pytanie: jeżeli chodzi o tajemnicę, którą kardynał zna, o tajemnicę takiej wagi, czemu nie zwierzył mi jej sam?

Sam uśmiech księdza mógł uprzytomnić hrabinie niedorzeczność jej pytania.

— List! Ależ, pani hrabino, w naszej epoce poczta otwiera wszystkie listy kardynałów.

— Mógł panu powierzyć ten list.

— Tak, pani, ale czy można wiedzieć, co się stanie z papierem? Jesteśmy tak dozorowani! Więcej jeszcze: kardynał woli nie wiedzieć o tym, co ja zamierzam pani powiedzieć, woli być poza nawiasem... Och, pani! W ostatniej chwili odwaga opuszcza mnie i nie wiem doprawdy, czy...

— Księże kanoniku, ksiądz mnie nie zna, nie mogę tedy czuć się obrażoną, że ksiądz nie ma do mnie więcej zaufania — rzekła łagodnie hrabina odwracając głowę i opuszczając *face-à-main*. — Mam najgłębszą cześć dla tajemnic, jakie mi ktoś powierza. Bóg widzi, czym kiedy zdradziła bodaj najdrobniejszą. Ale nigdy nie zdarzyło mi się dopraszać zwierzeń...

Hrabina uczyniła lekki ruch, jakby chcąc wstać; ksiądz wyciągnął ku niej rękę.

— Wybacz mi pani — rzekł. — Raczy pani zważyć, że pani hrabina jest pierwszą kobietą, pierwszą, rzekłem, uznaną za godną przez tych, którzy powierzyli mi swoją straszliwą misję... uznaną za godną, aby przyjąć i zachować w duszy ten sekret. I przeraża mnie, wyznaję, to, iż czuję, że ta wiadomość jest bardzo ciężka, bardzo kłopotliwa dla inteligencji kobiecej.

— Świat ma wiele złudzeń co do niedostatków kobiecej inteligencji — rzekła hrabina oschle.

Po czym, założywszy ręce, ukryła swoją ciekawość pod obojętną, zrezygnowaną i jakby nieco ekstatyczną miną, jaką uznała za najwłaściwszą dla przyjęcia ważnej tajemnicy Kościoła. Ksiądz przysunął znów krzeselko.

Ale tajemnica, którą ksiądz Salus gotował się powierzyć hrabinie, wydaje mi się dziś jeszcze zbyt nieoczekiwana, zbyt osobliwa, abym ją śmiał tu przytoczyć bez obszerniejszych wyjaśnień:

Jest powieść i jest historia. Wytrawni krytycy określili powieść jako historię, która mogła się była dziać, a historię jako powieść, która się działa. Trzeba w istocie uznać, że sztuka powieściopisarza często zdobywa wiarę, tak jak fakt często jej urąga. Są sceptycy, którzy przeczą faktowi, z chwilą gdy odskakuje od przeciętności. Nie dla nich piszę.

Czy przedstawiciel Boga na ziemi mógłby być porwany ze świętego stolca i przez intrygę Kwirynału skradziony niejako całemu chrześcijaństwu, to problem wielce drażliwy, którego nie osmielę się poruszać. Ale faktem historycznym jest, że pod koniec roku 1893 obiegały takie pogłoski; pewne jest, że wstrząsnęły one wiele pobożnych dusz. Parę dzienników pisało o tym nieśmiało: nakazano im milczenie. Ukazała się w Saint-Malo* broszura w tym przedmiocie: skonfiskowano ją. Bo też, o ile masonerii nie zależało na tym, aby się rozeszła wieść o tak strasznej zbrodni, o tyle partia katolicka nie śmiała przyciskać pedału ani też nie miała ochoty pokrywać nadzwyczajnych składek, które natychmiast zorganizowano z tego powodu. To pewna, iż sporo pobożnych dusz upuściło sobie krwi (sumy zebrane lub strwonione z tej okazji szacują blisko na pół miliona), ale pozostaje wątpliwe, czy wszyscy ci, którzy gromadzili owe fundusze, to byli ludzie naprawdę pobożni; może byli to wręcz hultaje. Bądź co bądź, aby przeprowadzić z powodzeniem taką kwestę, trzeba było — w braku przekonań religijnych — zuchwalstwa, zręczności, taktu, wymowy, znajomości ludzi i faktów, zdrowia wreszcie, które to przymioty mogło posiadać jedynie paru chwatów takich jak Protos, eks-kolega Lafcadia. Uprzedzam lojalnie czytelnika: to on zjawił się dzisiaj pod postacią i fałszywym nazwiskiem kanonika Virmontal.

Hrabina, zdecydowana nie otworzyć już ust, nie zmieniać postawy ani nawet wyrazu twarzy przed zupełnym wyczerpaniem sekretu, słuchała niewzruszenie rzekomego księdza, którego pewność siebie stopniowo rosła. Wstał i chodził wielkimi krokami. Dla lepszego przygotowania ujmował sprawę, jeżeli niezupełnie u jej początków (czyż zasadniczy konflikt między Lożą a Kościołem nie istniał zawsze?), to przynajmniej wracał do pewnych faktów, w których ujawniły się kroki wojenne. Przypomniawszy hrabinie dwa listy skierowane przez papieża., w grudniu roku 1892, jeden do ludu rzymskiego, drugi w szczególności do biskupów, przestrzegające katolików przed akcją wolnomularzy; następnie, ponieważ pamięć była słabą stroną hrabiny, musiał sięgnąć bardziej wstecz, przypomnieć wzniesienie pomnika Giordana Bruno, dokonane pod egidą Crispiego, poza którym kryła się dotąd Loża. Mówił, że Crispi, oburzony tym, iż papież odepchnął jego awanse, odmówił traktowania z nim (a pod traktowaniem trzeba rozumieć ugodę, poddanie się!). Odmalował ów tragiczny dzień: oba obozy zajmują pozycję, wolnomularze zdejmują wreszcie maskę. Podczas gdy ciało dyplomatyczne akredytowane przy Stolicy Apostolskiej udaje się do Watykanu,

manifestując tym aktem wzgardę dla Crispiego, acześć dla obrażonego Ojca Świętego — Loża, z rozwiniętymi sztandarami, na placu Campo dei Fiori, gdzie się wznosiło wyzywające bożyszcze, oklaskuje sławnego bluźniercę.

— Na konsystorzu, który nastąpił niedługo potem, trzydziestego czerwca roku 1889 — ciągnął ksiądz (wciąż stojąc, opierał się obecnie rękami o stoliczek, pochylony ku hrabinie) — Leon XIII dał wyraz gwałtownemu oburzeniu. Protest jego słyszała cała kula ziemską; chrześcijaństwo zdrząło, kiedy mówił o możliwości opuszczenia Rzymu! Rzekłem: opuszczenia Rzymu!... Wszystko to, pani hrabino, pani już wie, cierpiała pani nad tym i pamięta to pani równie dobrze jak ja.

Zaczął znów chodzić.

— W końcu Crispi postradał władzę. Czy Kościół miał odetchnąć? W grudniu 1892 papież napisał tedy owe dwa listy. Pani...

Usiadł, przysunął nagle krzesło i chwytając hrabinę za ramię rzekł szeptem:

— W miesiąc później papież był uwięziony. Kiedy hrabina uparcie milczała, kanonik puścił jej ramię i ciągnął spokojniej:

— Nie będę się starał rozczulić pani cierpieniami jeńca; serce kobiet zawsze skłonne jest wzruszyć się obrazem niedoli. Zwracam się do twojej inteligencji, hrabino, i proszę, abyś się pani zastanowiła nad zamętem, w jakim nas, chrześcijan, pogrążyło zniknięcie naszego duchowego wodza.

Lekka zmarszczka zarysowała się na bladym czole hrabiny.

— Brak papieża to rzecz straszna, pani. Ale pał sześć: fałszywy papież to rzecz jeszcze straszniejsza. Bo aby ukryć swoją zbrodnię, co mówię? aby zachęcić Kościół do rozbrojenia się i wydania się na łup, Loża posadziła na tronie apostolskim, w miejsce Leona XIII, jakiegoś zausznika Kwirynału, jakiegoś manekina, sobowtóra świętej ofiary, jakiegoś szalbierza, dla którego musimy udawać cześć z obawy, aby nie zaszkodzić prawdziwemu, przed którym przecie, o hańbo! w czasie jubileuszu pochyliło głowy całe chrześcijaństwo.

Przy tych słowach chustka, którą kanonik skręcał w rękach, rozdarła się.

— Pierwszym aktem fałszywego papieża była owa zbyt sławna encyklika, encyklika zwracana do Francji, od której krwawi jeszcze serce wszelkiego Francuza, godnego tego miana. Tak, tak, pani hrabino, wiem, ile twoje wielkie, dumne serce cierpiało słysząc, jak Święty Kościół zaparł się świętej sprawy Korony; Watykan przyklaskujący Republice! Ach! uspokój się, pani! miałaś prawo być zdumioną. Uspokój się, pani hrabino! ale pomyśl o tym, co Ojciec Święty cierpiał w swojej niewoli słysząc, jak ten uzurpator głosił go republikaninem!

Po czym, rzucając się w tył ze śmiechem przechodzącym w szloch, kanonik ciągnął:

— I co pomyślałaś, hrabino de Saint-Prix, coś pomyślała o tym godnym dopełnieniu okrutnej encykliki: o audiencji, udzielonej przez Ojca Świętego redaktorowi "Petit Journal"? Tak, pani hrabino: "Petit Journal", och, pfe! Leon XIII w "Petit Journal"! Czuje pani sama, że to niemożliwe.

Twoje szlachetne serce już musiało zakrzyknąć, że to fałsz!

— Ależ — wykrzyknęła hrabina, niezdolna już się powstrzymać — trzeba to krzyczyć całemu światu.

— Nie, pani: trzeba to ukrywać! — zagrzemiał straszliwy ksiądz. — Trzeba to przede wszystkim ukrywać, trzeba to ukrywać, aby działać.

Po czym, jakby przepraszając, głosem nagle złamanym:

— Widzi pani, że mówię do pani jak do mężczyzny.

— Ma ksiądz rację, księżę kanoniku. Działać, powiedział ksiądz. Prędko: coście postanowili?

— Och, wiedziałem, że znajdę u pani tę szlachetną męską niecierpliwość, godną krwi Baraglioulów. Ale nic, niestety, nie jest w danych okolicznościach groźniejsze niż niewczesny zapal. Jeżeli niektórzy wybrani świadomi są tych ohydnych zbrodni, nieodzowne jest dla nas, pani, liczyć na ich najdoskonalszą dyskrecję, na ich pełne i całkowite poddanie się wskazówkom, jakich się im udzieli we właściwym czasie. Działać bez nas, to znaczy działać przeciw nam. I poza potępieniem kościelnym, które będzie mogło pociągnąć... pal sześć... ekskomunikę, wszelka postronna inicjatywa spotka się z kategorycznym i formalnym zaprzeczeniem naszego stronnictwa. Chodzi tu, pani hrabino, o prawdziwą krucjatę: tak, ale o krucjatę ukrytą. Niech mi pani daruje, że kładę nacisk na ten punkt, ale polecono mi bardzo szczególnie uprzedzić panią, że kardynał chce całkowicie ignorować tę historię i nie zrozumie nawet, o czym jest mowa, jeżeli mu kto wspomni o tym. Kardynał nie chce wiedzieć o tym, że mnie widział na oczy; i tak samo później, jeżeli wypadki zetkną nas dwoje, niech będzie dobrze ustalone, że myśmy z sobą nigdy nie mówili. Ojciec Święty potrafi niebawem rozpoznać swoje prawe sługi.

Nieco zawiedziona, hrabina szepnęła nieśmiało:

— Zatem...?

— Działa się, pani hrabino; działa się, niech pani będzie bez obawy. I jestem nawet uprawniony, aby pani odsłonić część naszego planu.

Rozparł się w fotelu na wprost niej; hrabina podniosła teraz ręce do twarzy i siedziała z biustem podanym naprzód, z łokciami na kolanach i z podbródkiem w dłoniach.

Zaczął opowiadać, że prawdopodobnie papieża zamknięto nie w Watykanie, ale raczej w Zamku Świętego Anioła, który, jak to z pewnością hrabinie wiadomo, łączy się z Watykanem podziemnym korytarzem; że nie byłoby zapewne zbyt trudno wyrwać Ojca Świętego z tej kaźni, gdyby nie zabobonna niemal obawa, jaką służba, mimo iż sercem oddana Kościołowi, żywi wobec masonerii. I na to właśnie liczyła Loża: przykład uwięzionego Ojca Świętego utrzymuje dusze w postrachu.

Nikt ze służby nie chce użyć swojej pomocy, bez uprzedniej rękojmi, że będzie mógł żyć z

dala od prześladowców. Osoby nabożne i o wypróbowanej dyskrecji złożyły poważne kwoty na ten cel. Pozostaje już tylko usunąć jedyną przeszkodę, która znaczy więcej niż wszystkie inne zjednoczone razem. Tą przeszkodą jest pewien książę krwi, naczelny strażnik Leona XIII.

— Przypomina sobie pani hrabina, jaką tajemnicą spowita jest do dziś podwójna śmierć arcyksięcia Rudolfa, następcy tronu Austro-Węgier, oraz jego młodej świeżo zaślubionej małżonki, którą znaleziono rzeżącą przy jego boku, Marii Vetsera, siostrzenicy hrabiny Grazioli...? Samobójstwo, mówiono! Pistolet znalazł się tam jedynie po to, aby zmylić opinię publiczną: faktem jest, że oboje zostali otruci. Kuzyn arcyksięcia Rudolfa, arcyksiążę zakochany do szaleństwa, niestety, w Marii Vetsera, nie zniósł, aby miała należeć do innego... Po tej okropnej zbrodni Jan Salwator lotaryński, syn Marii Antoniny, wielkiej księżnej Toskanii, opuścił dwór swego krewniaka, cesarza Franciszka Józefa. Wiedząc, że go odkryto w Wiedniu, miał wszystko wyznać papieżowi, miał go błagać, wrzucić go. Uzyskał przebaczenie. Ale pod pozorem pokuty, Monaco — kardynał Monaco La Valette — zamknął go w zamku Świętego Anioła, gdzie jęczy od trzech lat.

Kanonik wygłosił to wszystko głosem dość spokojnym; odczekał, po czym lekko przytupnąwszy nogą, mówił:

— Jego to Monaco ustanowił naczelnym dozorcą Leona XIII.

— Jak to, kardynał! — wykrzyknęła hrabina — więc kardynał może być masonem?

— Niestety — rzekł kanonik zamyślony — Loża potężnie nadgryzła Kościół. Pojmuje pani, pani hrabino, że gdyby Kościół sam lepiej umiał się bronić, wszystko to nie byłoby się zdarzyło. Loża nie mogła owładnąć osobą naszego Świętego Ojca inaczej, niż przy współudziale kilku swoich członków, bardzo wysoko postawionych.

— Ależ to okropne!

— Co pani rzec więcej, pani hrabino? Jan Salwator myślał, że jest jeńcem Kościoła, wówczas gdy był jeńcem masonów. Zgadza się dziś pracować nad uwolnieniem naszego Świętego Ojca jedynie o tyle, o ile mu się da równocześnie możliwość ucieczki; może zaś uciec jedynie bardzo daleko, do kraju, skąd wydanie nie jest możliwe. Żąda dwustu tysięcy franków.

Na te słowa Walentyna de Saint-Prix, która od paru chwil chyliła się wstecz i opuszczała ramiona, odrzuciła głowę, wydała słaby jęk i straciła przytomność. Kanonik rzucił się ku niej:

— Niech się pani uspokoi, pani hrabino — rozcierał jej ręce. — Pal sześć! — przytykał jej flakon z solami do nosa. — Na tych dwieście tysięcy franków mamy już sto czterdzieści. — I kiedy hrabina otworzyła jedno oko, dodał: — Księżna de Lectoure subskrybowała tylko pięćdziesiąt tysięcy; pozostaje do wpłacenia sześćdziesiąt.

— Będziecie je mieli — szepnęła prawie niedosłyszalnym głosem hrabina.

— Hrabino, Kościół nie wątpił o tobie.

Wstał, bardzo poważny, prawie uroczysty, odczekał chwilę, po czym rzekł:

— Hrabino de Saint-Prix, mam do twego szlachetnego słowa najpełniejsze zaufanie; ale niech pani pomyśli o niewysłowionych trudnościach, z jakimi może być połączone doręczenie tej sumy inaczej niż z ręki do ręki, z twojej ręki, hrabino, do mojej. Jesteśmy śledzeni. Moja obecność tutaj może wywołać komentarze. Czy jesteśmy kiedykolwiek pewni służby? Pomyśl pani o kandydaturze hrabiego de Baraglioul! Nie trzeba, abym tu zjawił się jeszcze.

I kiedy po tych słowach stał wryty w podłogę nie mówiąc słowa i nie ruszając się, hrabina zrozumiała.

— Ależ, księżę kanoniku, rozumie przecież ksiądz, że ja nie mam przy sobie tak ogromnej sumy. A nawet...

Ksiądz niecierpliwił się lekko; nie śmiała tedy dodać, że trzeba jej będzie zapewne jakiegoś czasu, aby zgromadzić sumę (miała bowiem nadzieję, że nie wyłoży jej sama jedna). Szepnęła:

— Co począć?

Następnie, gdy brew kanonika stawała się coraz groźniejsza:

— Mam na górze trochę klejnotów...

— Och, fe, pani hrabino; klejnoty to są wspomnienia. Czy widzi mnie pani w roli handlarza kamieni? I czy pani myśli, że zechcę ściągnąć na siebie podejrzenia, starając się o najlepszą cenę? Groziłoby mi to, że naraziłbym równocześnie i panią, i nasze dzieło.

Poważny głos księdza stawał się nieznacznie ostrzy i gwałtowny. Głos hrabiny drżał lekko.

— Niech pan zaczeka chwilę, księżę kanoniku, popatrzę, ile mam w biurku.

Wróciła niebawem. Kurczowo zaciśnięta dłoń mięła błękitne banknoty.

— Na szczęście odebrałam właśnie czynsze. Mogę dziś księdzu wręczyć sześć tysięcy pięćset franków.

Kanonik wzruszył ramionami.

— Co pani chce, abym z tym począł?

I z osmuconą wzgardą, szlachetnym gestem odsunął od siebie hrabinę.

— Nie, pani hrabino, nie, nie wezmę tych banknotów. Wezmę je tylko razem z resztą. Ludzie cali pragną całości. Kiedy mi pani będzie mogła wręczyć całą sumę?

— Ile czasu ojciec mi zostawia?... Tydzień?... — pytała hrabina, która zamierzała zrobić zbiórkę.

— Hrabino de Saint-Prix, czyżby się Kościół omylił? Tydzień! Powiem tylko jedno słowo: papież czeka.

Po czym, wznosząc ręce do nieba:

— Jak to, pani masz to olbrzymie szczęście, aby trzymać w rękach oswobodzenie, i ociągasz się! Lękaj się, hrabino, lękaj się, aby Pan, w dniu twego oswobodzenia nie kazał również czekać i męczyć się twojej opieszalej duszy u wrót Raju!

Stawał się groźny, straszliwy; po czym nagle przytknął do ust krucyfiks wiszący u różańca i zatonął w szybkiej modlitwie.

— Choć tyle czasu, abym napisała do Paryża? — jęknęła zrozpaczona hrabina.

— Telegrafuj pani! Niech twój bankier przeleje sześćdziesiąt tysięcy franków do Crédit Foncier w Paryżu, skąd zatelefonują do Crédit Foncier w Pau, aby pani bezzwłocznie przekazano tę sumę. To drobiazg.

— Mam pieniądze na rachunku w Pau — rzekła nieśmiało.

— U bankiera?

— Właśnie w Crédit Foncier.

Wówczas ksiądz oburzył się do reszty.

— Och, pani, czemuż trzeba pani tej okrężnej drogi, aby mi to powiedzieć? Czy to jest owa gorliwość, jaką pani okazujesz? Co powiedziałaaby pani teraz, gdybym odrzucił jej udział?

Potem, chodząc po pokoju, z rękami założonymi w tył i jak gdyby niechętnie usposobiony do wszystkiego, co ona mu powie:

— To jest coś więcej niż opieszałość (tu mlasnął lekko językiem, jakby na wyrażenie swego wstrętu); to prawie dwulicowość.

— Księżę kanoniku, błagam pana...

Przez kilka chwil kanonik wciąż chodził ze zmarszczonymi brwiami, nieugięty. Aż wreszcie:

— Zna pani, wiem o tym, księdza Boudin, z którym jem dziś właśnie śniadanie (wyjął zegarek)... i któremu daję czekać na siebie. Niech pani wystawi czek na jego nazwisko, on podejmie dla mnie sześćdziesiąt tysięcy, które będzie mógł mi natychmiast wręczyć. Kiedy go pani zobaczy, niech mu pani tylko powie, że to było "na kaplicę ekspiacyjną"; to człowiek dyskretny, zna życie i nie będzie pytał o więcej. No i co, na co pani jeszcze czeka?

Hrabina, w tej chwili wpełzająca na kanapie, podniosła się, zawlokła do sekretarzyka, wyjęła podłużny karnet w oliwkowej oprawie i wypełniła kartkę wysokim, spiczastym piśmem.

— Niech mi pani daruje, że panią nieco złążalem przed chwilą, pani hrabino — rzekł łagodniej ksiądz biorąc czek, który mu podała. — Ale gdy takie interesy są w grze!

Po czym, wsuwając czek do kieszeni:

— Byłoby bluźnierstwem dziękować pani, nieprawdaż? bodaj w imieniu Tego, w którego rękach jestem tylko bardzo niegodnym narzędziem.

Zdławił w fularowej chustce krótki szloch, po czym, opanowując się natychmiast, szurnął nogą i mruknął coś szybko w obcym języku.

— Pan jest Włoch? — spytała hrabina.

— Hiszpan! Szczerłość moich uczuć zdradza mnie.

— W każdym razie nie akcent. Doprawdy, mówi pan po francusku tak...

— Jest pani zbyt uprzejma, pani hrabino. Daruje pani, że panią opuszczę tak spiesznie. Dzięki naszej kombinacyjce będę mógł się dostać jeszcze dziś wieczór do Narbony, gdzie kardynał oczekuje mnie z wielką niecierpliwością. Żegnam panią!

Ujął jej ręce, przegiął się wstecz i patrząc bystro na hrabinę, rzucił:

— Żegnaj, hrabino de Saint-Prix.

Potem z palcem na ustach:

— I pamiętaj pani, że jedno twoje słowo może wszystko zgubić.

Zaledwie wyszedł, już hrabina biegła do dzwonka.

— Amelio, powiedz Piotrowi, aby miał powozik w pogotowiu, zaraz po śniadaniu pojedziemy do miasta. Och, jeszcze chwila. Niech Germain wsiądzie na rower i zawiezie natychmiast do pani Fleurissoire list, który ci wręczę.

I schylona nad otwartym jeszcze sekretarzykiem, napisała, co następuje:

Droga pani!

Będę u pani niebawem. Niech mnie pani czeka około drugiej. Mam jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Niech się pani tak urządzi, żebyśmy były same.

Podpisała, zapieczętowała, po czym podała kopertę Amelii.

II

Pani Amedeuszowa Fleurissoire, z domu Péterat, młodsza siostra Weroniki Armand-Dubois i Małgorzaty de Baraglioul, otrzymała dziwaczne imię Arnika. Filibert Péterat, botanik dość sławny za drugiego cesarstwa ze swoich niedoli małżeńskich, przyrzekł sobie już za młodu dać swoim ewentualnym dzieciom imiona kwiatów. Niektórym przyjaciołom wydało się nieco dziwne imię Weroniki, które dał pierwszej córce; nazywając drugą Margeryta, spotkał się z zarzutami, że się cofa, że ustępuje wobec opinii, że wpada w banalność. Za czym, nagle zbuntowany, postanowił obdarzyć swój trzeci produkt imieniem zdecydowanie botanicznym, aby zamknąć usta wszelkiej obmowie.

Niedługo po urodzeniu się Arniki pan Filibert, którego charakter zrobił się cierpki, rozszedł się z żoną, opuścił stolicę i osiedlił się w Pau. Małżonka spędzała zimę w Paryżu, ale w pierwszych dniach wiosny spieszyła do swego rodzinnego miasta, do Tarbes, gdzie gościła dwie starsze córki w starym rodzinnym domu.

Weronika i Margeryta dzieliły rok między Tarbes a Pau. Co do małej Arniki, lekceważonej przez siostry i matkę, trochę głupiotkiej co prawda i bardziej wzruszającej niż ładnej, ta żyła latem i zimą przy ojcu.

Największą radością dziecka było herboryzować z ojcem na wsi; często jednak maniak, ulegając swej zgryźliwej naturze, zostawiał ją, puszczał się sam na olbrzymi spacer, wracał zmęczony i natychmiast po obiedzie pakował się do łóżka, nie darząc córki jałmużną jednego uśmiechu lub słowa. W godzinach natchnienia grał na flecie, powtarzając niezmiennie te same melodie. Przez resztę czasu rysował drobiazgowo portrety kwiatów.

Stara służąca imieniem Rezeda, która się zajmowała kuchnią i gospodarstwem, czuwała nad dzieckiem; nauczyła je nawet tych niewielu rzeczy, które sama umiała. Przy tym trybie Arnika zaledwie umiała czytać mając dziesięć lat. W końcu życzliwe dusze zwróciły na nią uwagę Filiberta: Arnika poszła na pensję do wdowy Semene, która wszczepiała "początki" tuzinowi dziewcząt i kilku bardzo młodym chłopcom.

Arnika Péterat, ufna i bezbronna, nie wyobrażała sobie do tego dnia, że jej imię może kogo śmieszyć. W dniu swego wstąpienia na pensję zyskała nagłe objawienie swojej śmieszności; fala drwin przygięła ją niby mdły wodorost: czerwieniła się, bladła, płakała; a pani Semene, karząc od jednego zamachu całą klasę za niewłaściwe zachowanie się, zdołała w ten sposób niezręcznie zmienić w zawziętość wybryk zrazu niewinny.

Długa, galaretowata, niedokrewna, tępa, Arnika siedziała w klasie ze zwieszonymi ramionami; a kiedy pani Semene wskazała: "Trzecia ławka po lewej, panno Péterat" — klasa, na przekór upomnieniom, wybuchała na nowo śmiechem.

Biedna Arnika! Życie ukazywało się jej jako posępna aleja obsadzona conceptami i drwinkami. Szczęściem, pani Semene nie została nieczuła na jej niedole, i niebawem dziewczynka mogła znaleźć schronienie na łonie wdowy.

Arnika wolała raczej dłużej zostawać na pensji po lekcjach niż wracać do pustego domu, gdzie rzadko zastawała ojca; pani Semene miała córkę, o siedem lat starszą od Arniki, trochę garbatą, ale miłą; w nadziei złapania dla niej męża pani Semene przyjmowała gości w niedzielę wieczorem, a nawet urządzała dwa razy na rok podwieczorki z rycytacjami i skakanką; przychodziły tam, przez wdzięczność, niektóre dawne uczennice w towarzystwie rodziców oraz, z braku czegoś lepszego, paru młodych ludzi bez majątku i bez przyszłości. Arnika brała udział we wszystkich tych zebraniach; kwiat bez blasku, aż nadto dyskretny, który mimo to nie miał zostać nie zauważony.

Kiedy w czternastym roku Arnika straciła ojca, pani Semene przygarnęła sierotę, którą siostry jej, znacznie od Arniki starsze, odwiedzały raczej rzadko. Jednakże w czasie jednej z tych krótkich wizyt, Margeryta spotkała pierwszy raz tego, który w dwa lata później miał zostać jej mężem: Julius de Baraglioul, wówczas liczący dwadzieścia osiem lat, bawił na wsi u swego dziadka, Roberta de Baraglioul, który, jak rzekliśmy wprzód, osiedlił się w okolicach Pau niedługo po aneksji księstwa Parmy przez Francję.

Świetne małżeństwo Margeryty (zresztą panny Péterat nie były bez majątku) zwiększało w olśnionych oczach Arniki dystans do siostry; przeczuwała, że nigdy żaden hrabia, żaden Julius, nie zechce pochylony nad nią oddychać jej zapachem. Zazdrościła siostrze, że zdołała się pozbyć tego niewdzięcznego nazwiska: Péterat. Imię "Margeryta" wydawało się jej urocze. Jakże ładnie brzmiało z owym "de Baraglioul"! Niestety, przy jakim nazwisku imię Arniki przestałoby być śmieszne?

Zmrożona pozytywną stroną życia, dusza jej, niedorozwinięta i obolała, próbowała poezji. Szesnastolatka nosiła po obu stronach wyblakłej twarzy owe spadające pukle, które nazywano *repentirs*, a błękitne jej marzące oczy dziwiły się w sąsiedztwie czarnych włosów. Głos jej, pozbawiony dźwięku, nie miał nic szorstkiego; czytała wiersze i siliła się je pisać. Uważała za poetyczne wszystko, co wrywało ją z życia.

Na wieczorynkach pani Semene bywało dwóch młodych ludzi, związanych od dziecka tkliwą przyjaźnią. Jeden, niezręczny choć niewysoki, nie tyle chudy, ile zapadnięty, z włosami bardziej wyblakłymi niż jasnymi, z hardym nosem, nieśmiałym spojrzeniem, to był Amedeusz Fleurissoire. Drugi, tusty i krępy, o twardych ciemnych włosach i niskim czole, miał, przez osobliwe przyzwyczajenie, głowę stale przekrzywioną na lewo, usta otwarte, a prawą rękę wysuniętą naprzód: oto obraz Gastona Blafaphas. Ojciec Amedeusza był kamieniarzem, dostawcą cmentarnych pomników i żałobnych wieńców. Gaston był synem zamożnego aptekarza.

Jakkolwiek może się to wydać dziwne, nazwisko Blafaphas jest bardzo rozpowszechnione na stokach Pirenejów, mimo iż pisze się w dość różne sposoby. I tak, w jednym miasteczku Sta..., dokąd piszącego te słowa powołał egzamin, tenże mógł oglądać pana Blaphaphas rejenta, pana Blafafaz

fryzjera, pana Blaphaface masarza, którzy, pytani o to, nie poczuwali się do żadnej wspólności pochodzenia i z których każdy patrzył z niejaką wzdargą na nieeleganckie pod względem graficznym nazwisko dwóch innych.

Ale te filologiczne uwagi mogą interesować jedynie szczupłe grono czytelników.)

Czym byliby Fleurissoire i Blafaphas jeden bez drugiego? Trudno to sobie wyobrazić. Na pauzach w liceum widywało się ich zawsze razem; wciąż łajani, pocieszali się nawzajem, krzepili się, dodawali sobie odwagi. Nazywano ich Blafafuzoria.

Przyjaźń ich zdawała się każdemu z nich jedyną arką, oazą w nielitościwej pustyni życia. Żaden z nich nie mógł kosztować radości, iżby nie pragnął jej natychmiast podzielić; lub aby rzecz lepiej, nie było przyjemności dla jednego, o ile jej nie kosztował z drugim.

Mierni uczniowie mimo swojej rozbijającej pilności, zasadniczo oporni wobec wszelkiej kultury, Blafafuzoria byliby stale ostatnimi z klasy, gdyby nie pomoc Eudoksjusza Léwichon, który w zamian za drobne korzyści poprawiał, a nawet odrabiał ich zadania. Ten Léwichon był młodszym synem jednego z wziętych jubilerów w mieście. (Dwadzieścia lat wprzód, w niedługi czas po swoim małżeństwie z jedyną córką jubilera Cohena — w chwili gdy dzięki pomyślnemu stanowi interesów opuścił dolną dzielnicę miasta, aby się osiedlić niedaleko kasyna — jubiler Albert Lévy zapragnął połączyć i stopić dwa nazwiska, tak jak złączył dwie firmy.)

Blafaphas był odporny, ale Fleurissoire był delikatny z natury. W wieku pokwitania twarz Gastona ocieniła się puszką; można by rzec, że soki żywotne kwitną owłosieniem na całym jego ciele; podczas gdy wrażliwszy naskórek Amedeusza buntował się, rozpadał, pączkował, jak gdyby włosy jego męczyły się z wydobyciem się na wierzch. Stary Blafaphas radził środki przeczyszczające, i co poniedziałek Gaston przynosił w teczce flakon syropu przeciwszkorbutowego, który wręczał w sekrecie przyjacielowi. Używali też i pomady.

W tym czasie Amedeusz przeszedł swój pierwszy katar; katar, który mimo łagodnego klimatu Pau nie ustąpił przez całą zimę i zostawił po sobie niepożądane wydelikacenie oskrzeli. Była to dla Gastona sposobność do nowej opieki: zasypywał przyjaciela lukrecją, syropami oraz pastylkami wykrztuśnymi z eukaliptusa, które aptekarz Blafaphas sam wyrabiał wedle recepty starego proboszcza. Amedeusz, łatwo ulegając zaziębieniu, musiał się pogodzić z tym, aby nigdy nie wychodzić bez szalika.

Amedeusz nie miał innej ambicji prócz tej, aby objąć firmę po ojcu. Gaston natomiast, mimo swej niezdarnej miny, nie był pozbawiony inicjatywy, jeszcze w liceum robił drobne wynalazki, co prawda o charakterze raczej rozrywkowym: łapki na muchy, jakaś waga, specjalny zamek do swego pulpitu zawierającego zresztą nie więcej tajemnic niż jego serce. Te pierwsze próby jego wynalazczości, mimo iż tak niewinne, miały doprowadzić Gastona do poważniejszych poszukiwań, które pochłonęły go w przyszłości, a których pierwszym owocem był wynalazek owej "dymochłonnej fajki higienicznej dla palaczy cierpiących na płuca i innych", przez długi czas wystawionej w oknie apteki.

Amedeusz Fleurissoire i Gaston Blafaphas zakochali się równocześnie w Arnice; to było

nieuniknione. Rzeczą godną podziwu jest, iż ta rodząca się miłość, którą natychmiast wyznali sobie nawzajem, nie tylko ich nie rozdzieliła, ale raczej zacieśniła ich związek. To pewna, że Arnika nie dała zrazu żadnemu z nich wielkich przyczyn do zazdrości. Żaden zresztą nie oświadczył się, i nigdy Arnika nie byłaby się domyśliła ich płomieni, mimo drżenia ich głosu, kiedy na niedzielnych wieczorynkach pani Semene, gdzie byli stałymi gośćmi, proponowała im syrop, werwenę lub rumianek. I obaj, wracając wieczorem, sławili jej skromność i wdzięk, niepokoił się jej bladością, dodawali sobie odwagi...

Umówili się, że się oświadczą obaj tego samego wieczora, razem, po czym zdadzą się na jej wybór. Arnika, głęboko niedoświadczona w miłości, podziękowała niebu w zdumieniu i prostocie serca. Prosiła obu wielbicieli, aby jej zostawili czas do namysłu.

Prawdę rzekłszy, nie skłaniała się ku żadnemu z nich; interesowała się nimi jedynie dlatego, że oni interesowali się nią, gdy ona wyrzekła się już nadziei w tej mierze. Przez sześć tygodni, coraz bardziej niezdecydowana, upajała się hołdami swoich symetrycznych zalotników. I podczas gdy oni w swoich nocnych przechadzkach odmierzając wzajem swoje postępy, opowiadali sobie obszernie i bez tajemnic najdrobniejsze słówka, spojrzenia, uśmiechy, jakimi obdarzyła ich Ona, Arnika, samotna w swoim pokoju, pisała na karteczkach, które paliła potem starannie w płomieniu świecy, powtarzając niestrudzenie: "Arnika Blafaphas?... Arnika Fleurissoire?" niezdolna uczynić wyboru między okropnością tych dwóch nazwisk.

Potem nagle, podczas jednego baliku, wybrała Fleurissoire'a; czyż Amedeusz nie nazwał jej Arniką, akcentując przedostatnią zgłoskę w sposób, który brzmiał jej z włoska? Czynił to zresztą nieświadomie, porwany zapewne pianinem panny Semene, które napełniało w tej chwili rytmem atmosferę; ale imię Arnika, jej własne imię, objawiło się jej przez chwilę bogate w nieoczekiwaną melodię, zdolne wyrażać poezję, miłość... Byli oboje sami w buduaru obok salonu, i tak blisko siebie, że kiedy, omdlewając, Arnika skłoniła ciężką od wdzięczności głowę, czoło jej dotknęło ramienia Amedeusza, który — bardzo poważny — ujął wówczas rękę Arniki i ucałował końce jej palców.

Skoro za powrotem Amedeusz oznajmił swoje szczęście przyjacielowi, Gaston wbrew swemu zwyczajowi nie rzekł nic; ale kiedy przechodzili koło latarni, Amedeuszowi zdawało się, że płacze. Mimo całej swojej naiwności, czyż mógł doprawdy przypuszczać, że przyjaciel podzieli aż do tego ostatniego punktu jego szczęście? Zakłopotany, zmartwiony, wziął Blafaphasa w ramiona (ulica była pusta) i przysiągł mu, że mimo ogromu jego miłości przyjaźń jego jest o wiele większa jeszcze; że nie chce, aby przez to małżeństwo przyjaźń ta poniosła jakikolwiek uszczerbek, i że raczej niżby miał narazić Blafaphasa na męki zazdrości, gotów jest przyrzec mu na swoje szczęście, iż nigdy nie skorzysta ze swoich praw małżeńskich.

Ani Blafaphas, ani Fleurissoire nie odznaczali się zbyt bujnym temperamentem: mimo to Gaston, którego własna męskość absorbowała nieco więcej, umilkł i pozwolił Amedeuszowi złożyć ślubowanie.

W niedługi czas po ślubie Amedeusza Gaston, który szukał pociechy w pracy, odkrył Karton Plastyczny. Pierwszym rezultatem wynalazku, który zrazu zdawał się bez znaczenia, było to, że ożywił osłabłą nieco przyjaźń Lévichona dla Blafafuzoriów. Eudoksjusz Lévichon odgadł

natychmiast korzyść, jaką przemysł religijny mógłby wyciągnąć z nowego materiału, który, z niepospolitym wyczuciem koniunktury, ochrzcił od razu: Karton Rzymski*. Stworzono firmę: Blafaphas, Fleurissoire i Léwichon.

Interes puszczonego w ruch z kapitałem sześćdziesięciu tysięcy franków, z których Blafafuzorie subskrybowali skromnie we dwóch dziesięć tysięcy. Léwichon pokrył wspaniałomyślnie pozostałe pięćdziesiąt tysięcy, nie chcąc, aby dwaj przyjaciele mieli się zbyt obciążać. Prawda, że z tych pięćdziesięciu czterdzieści tysięcy pożyczył Fleurissoire, który je podjął z posagu Arniki: płatne w ciągu dziesięciu lat z procentem składanym $4\frac{1}{2}$, co było więcej, niż Arnika spodziewała się kiedykolwiek, i ubezpieczało mająteczek Amedeusza od ryzyka, na jakie ten interes niechybnie był wystawiony. Z drugiej strony Blafafuzorie przynosili kapitał swoich stosunków oraz stosunków państwa Baraglioul, to znaczy, skoro tylko Karton Rzymski wykaże swoją wartość, poparcie wielu wpływowych członków kleru; ci (poza paroma znacznymi zamówieniami) skłonili wiele drobnych parafii, aby się zwracały do firmy F. B. L. dla pokrycia rosnących potrzeb wiernych, ile że doskonalący się smak artystyczny żądał tworców wyborniejszych niż te, które wystarczały dotąd surowej wierze przodków. W związku z tym kilku artystów o talencie uznanym przez Kościół, wciągniętych do współpracy w Kartonie Rzymskim, uzyskało wreszcie to, że ich dzieła zyskały aprobatę jury Salonu. Zostawiając w Pau Blafafuzoriów, Léwichon osiedlił się w Paryżu, gdzie dzięki jego stosunkom firma zyskała niebawem znaczne obroty.

Że hrabina Walentyna de Saint-Prix starała się przez Arnikę zainteresować firmę Blafaphas i Ska w tajemnej sprawie oswobodzenia papieża, cóż może być naturalniejszego? jak również, że wiara w pobożność państwa Fleurissoire dawała jej nadzieję, iż odzyska część swojego wkładu. Niestety, Blafafuzorie, wobec nieznaczonej kwoty włożonej przez nich w początki przedsięwzięcia, mieli bardzo mały udział w zysku: dwie dwunaste z dochodów ujawnionych, a zgoła nic z innych. O czym hrabina nie wiedziała, ile że Arnika — zarówno jak Amedeusz — byli nader wstydlivi w sprawach pieniężnych.

III

— Droga pani! Co się stało? Pani list przeraził mnie.

Hrabina osunęła się na fotel, który jej podsunęła Arnika.

— Och, pani Fleurissoire... och, niech pani pozwoli nazwać się: droga przyjaciółko... Ta zgryzota, która i pani dotyczy, zbliża nas. Och, gdybyś wiedziała!...

— Niech pani mówi! Niech mnie pani nie trzyma dłużej w niepewności.

— Ale to, czego się dowiedziałam i co pani zaraz powiem, musi zostać ściśle między nami.

— Nigdy nie zdradziłam niczyjego zaufania — rzekła boleściwie Arnika, której nikt jeszcze nie powierzył żadnego sekretu.

— Nie uwierzy w to pani.

— Owszem, owszem — wzdychała Arnika.

— Och — jęczała hrabina. — Proszę, czy byłaby pani taka dobra przyrzadzić mi filiżankę czegokolwiek... Czuję, że mi się słabo robi.

— Chce pani werweny? kwiatu lipowego? rumianku?

— Wszystko jedno... Raczej herbaty... Nie chciałam zrazu wierzyć...

— Jest wrząca woda w kuchni. Będzie za chwilę.

I podczas gdy Arnika się krzątała, interesowne oko hrabiny badało salon. Panowała tam rozpaczliwa mierność. Zielone rypsowe krzesła, wiśniowy aksamitny fotel, drugi fotel, na którym siedziała, obity pospolitą materią dywanową, mahoniowy stół i konsolka, przed kominkiem dywanik z wełnianej sznelki, na kominku, po dwóch stronach alabastrowego zegara pod kloszem, dwa wielkie wazony z ażurowego alabastru, także pod kloszem; na stole album z rodzinnymi fotografiami, na konsoli posążek Matki Boskiej z Lourdes (Karton Rzymski, mniejszy model) — wszystko to zniechęcało hrabinę, która czuła, że serce jej omdlewa.

Ale ostatecznie może to było tylko rzekome ubóstwo, skąpstwo...

Arnika wracała z imbrykiem, cukrem i filiżanką na tacy.

— Sprawiam pani wiele kłopotu.

— Och, proszę pani!... Tylko wolałam się tym zająć przedtem, bo potem nie miałabym już siły.

— A więc dobrze! — zaczęła hrabina, skoro Arnika usiadła. — Papież...

— Nie! Niech mi pani nie mówi! Niech mi pani nie mówi! — rzekła równocześnie pani Fleurissoire wyciągając rękę przed siebie; po czym, wydając słaby krzyk, osunęła się wstecz z zamkniętymi oczami.

— Moja droga przyjaciółko! Moja droga, biedna przyjaciółko! — mówiła hrabina klepiąc ją po rękach. — Wiedziałam, że ten sekret będzie ponad twoje siły.

W końcu Arnika otworzyła jedno oko i szepnęła smutno:

— Nie żyje?

Wówczas Walentyna pochylając się ku pani Fleurissoire szepnęła jej do ucha:

— Uwięziony.

Zdumienie ocuciło panią Fleurissoire; za czym pani Walentyna rozpoczęła długie opowiadanie potykając się o daty, gubiąc się w chronologii, ale fakt był faktem, pewny, niewzruszony; Ojciec Święty dostał się w ręce niewiernych: dla uwolnienia go gotowano tajemnie krucjatę, ale aby rzecz doprowadzić szczęśliwie do skutku, trzeba było przede wszystkim dużo pieniędzy.

— Co powie Amedeusz? — jęczała Arnika w osłupieniu.

Miał wrócić aż wieczór, wyszedł na przechadzkę ze swoim przyjacielem panem Blafaphas...

— Zwłaszcza niech mu pani zaleci sekret — powtórzyła wiele razy Walentyna żegnając się z Arniką. — Uściskajmy się, droga, droga przyjaciółko, odwagi! — Zawstydzona Arnika podała hrabinie swoje spocone czoło. — Jutro zajdę, aby się dowiedzieć, co będziecie mogli uczynić. Poradź się pani męża, ale pomyśl, że tu idzie o Kościół!... I rozumie pani dobrze: tylko mężowi! Przymkasz mi to: ani słowa, nieprawdaż, ani słowa.

Hrabina de Saint-Prix zostawiła Arnikę w stanie bliskim omdlenia. Kiedy Amedeusz wrócił, rzekła mu zaraz:

— Mój drogi, dowiedziałam się rzeczy nadzwyczaj smutnej. Biedny Ojciec Święty jest uwięziony.

— Niemożliwe! — odparł Amedeusz, tak jakby powiedział: "Ba!"

Wówczas Arnika, wybuchając płaczem:

— Wiedziałam, wiedziałam, że ty mi nie uwierzysz.

— Ale pozwól, dziecko... — odparł Amedeusz zdejmując zarzutkę, bez której rzadko wychodził z obawy zmian temperatury. — Pomyśl tylko. Toż gdyby ktoś podniósł rękę na Ojca Świętego, wszyscy wiedzieliby o tym. Czytałoby się o tym w dziennikach... I któż by go mógł uwięzić?

— Walentyna powiada, że Loża.

Amedeusz spojrzał na Arnikę myśląc, że oszalała. Jednak rzekł:

— Loża!... Co za Loża?

— Ależ skądże ty chcesz, żebym ja wiedziała? Walentyna przyrzekła nie mówić o tym.

— Kto jej to wszystko naopowiadał?

— Zabroniła mi mówić... Kanonik, który przyszedł do niej na zlecenie jakiegoś kardynała, z

jego biletem...

Arnika nie rozumiała się na sprawach publicznych, toteż z tego, co jej opowiedziała pani de Saint-Prix, zachowała jedynie mętny obraz. Słowa: "jeniec", "uwięzienie", rodziły w jej oczach obrazy mgliste i na wpół romantyczne; słowo "krucjata" działało jej na wyobraźnię, i kiedy Amedeusz, poruszony wreszcie, wspomniał o tym, aby jechać, ujrzała go natychmiast w zbroi i w hełmie, konno...

On chodził teraz wielkimi krokami po pokoju, mówiąc:

— Po pierwsze, nie mamy pieniędzy... I czy ty myślisz, że mnie by to wystarczyło: dać pieniądze? Myślisz, iż przez to, żebym się wyzuł z paru banknotów, mógłbym żyć spokojnie?... Ależ, drogie dziecko, jeżeli to, co mi mówisz, jest prawdą, to jest rzecz straszna, która nie pozwala nam trwać w spokoju. Straszna, rozumiesz?

— Tak, czuję to, straszna... Ale przecież... wytłumacz mi trochę... czemu?

— Och, jeżeli teraz mam ci to tłumaczyć!... — Amedeusz, z czołem w pocie, podniósł rozpaczliwie ręce.

— Nie, nie — odparł — nie pieniądze trzeba dać tutaj, ale samego siebie. Poradzę się Blafaphasa; zobaczymy, co on mi powie.

— Walentyna kazała mi przysiąc, że nie powiem o tym nikomu — wtrąciła nieśmiało Arnika.

— Blafaphas to nie jest "ktoś", zalecimy mu zresztą, aby to zachował tylko dla siebie, absolutnie.

— W jaki sposób chcesz jechać tak, żeby nikt nie wiedział?

— Będą wiedzieli, że jadę, ale nie będą wiedzieli dokąd.

Następnie, obracając się do żony, patetycznym tonem błagał: — Arniko, moja ukochana... pozwól mi jechać.

Szlochała. Teraz ona żądała rady Blafaphasa. Amedeusz miał iść po niego, kiedy przyjaciel zjawił się sam z siebie, zapukawszy wedle zwyczaju najpierw do okna w salonie.

— To najdziwniejsza historia, jaką w życiu słyszałem! — wykrzyknął, skoro go wtajemniczono. — Nie! doprawdy, kto by się spodziewał czegoś podobnego! — I zanim Fleurissoire cokolwiek wspomniał o swoich zamiarach, rzekł stanowczo:

— Mój przyjacielu, mamy tylko jedną rzecz do zrobienia: jechać.

— Widzisz — rzeki Amedeusz — to jego pierwsza myśl.

— Mnie, na nieszczęście, zatrzymuje zdrowie mego biednego ojca (to była druga myśl).

— Ostatecznie, lepiej może, żebym był sam — odparł Amedeusz. — We dwóch zwrócilibyśmy na siebie uwagę.

— Ale czy będziesz wiedział, jak wziąć się do tego?

Wówczas Amedeusz wyprostował się i podniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: “Cóż chcesz, zrobię, co będę mógł!” Blafaphas ciągnął dalej:

— Czy będziesz wiedział, do kogo się zwrócić? Dokąd się udać?... W gruncie rzeczy, co ty tam będziesz robił?

— Najpierw dowiem się, jak naprawdę jest.

— Bo, ostatecznie, gdyby nic z tego wszystkiego nie było prawdą?

— Właśnie, ja nie mogę żyć w niepewności.

I Gaston wykrzyknął natychmiast:

— I ja nie!

— Mężu, mężu, zastanów się jeszcze — próbowała Arnika.

— Już się zastanowiłem: jadę potajemnie, ale jadę.

— Kiedy? Nie jesteś gotowy...

— Dziś wieczór. Cóż ja znów takiego potrzebuję?

— Ale ty nigdy nie podróżowałaś. Nie potrafisz.

— Zobaczysz to, moje dziecko. Opowiem ci moje przygody — mówił z jowialnym uśmiechem, który podnosił mu grdykę.

— Dostaniesz kataru, to pewne.

— Wezmę szalik.

Chodząc przystawał, aby podnieść końcem palca brodę Arniki, tak jak się robi niemowlętom, gdy się je chce pobudzić do uśmiechu. Gaston trzymał się z rezerwą. Amedeusz zbliżył się do niego:

— Liczę na ciebie, że zbadasz rozkład jazdy. Powiesz mi, kiedy jest dobry pociąg do Marsylii, z trzecią klasą. Tak, tak, chcę jechać trzecią. I przygotuj mi szczegółowy wyciąg, z miejscami, gdzie mam się przesiadać; i bufety; aż do granicy; potem już dam sobie jakoś radę, i Bóg zaprowadzi mnie aż do Rzymu. Napiszesz tam do mnie na poste restante.

Ważność misji niebezpiecznie podnosiła temperaturę jego mózgu. Po odejściu Gastona wciąż

chodził po pokoju szepcząc z uczuciem podziwu i tkliwej wdzięczności:

— Że mnie to zostało dane!

Nareszcie miał swoją rację bytu. Och, przez litość, pani Fleurissoire, nie zatrzymuj go, pani! Tak mało jest na ziemi istot, które umiały znaleźć swój cel.

Wszystko, co uzyskała Arnika, to było to, że został jeszcze tę noc. Zwłaszcza iż Gaston zaznaczył na rozkładzie, który przyniósł wieczorem, że pociąg o ósmej rano jest najpraktyczniejszy.

Nazajutrz lało jak z cebra. Amedeusz nie pozwolił Arnice ani Gastonowi odprowadzić się na dworzec. I nikt, nikt nie pożegnał spojrzeniem komicznego podróżnika o rybich oczach, z kołnierzem zasłoniętym wiśniowym fularem. W prawej ręce trzymał szarą płócienną walizę, do której przymocowany był bilet wizytowy, w lewej stary parasol, na ramieniu szal w zieloną i brunatną kratę — i tak uniósł go pociąg ku Marsylii.

IV

W tym czasie ważny kongres socjologiczny powołał do Rzymu hrabiego Juliusa de Baraglioul. Nie był tam może specjalnie wezwany (ile że co do kwestii społecznych miał raczej przekonania niż poglądy), ale skorzystał z tej sposobności celem nawiązania stosunków z paroma znakomitościami. Że zaś droga jego prowadziła przez Mediolan, gdzie, jak wiadomo, za radą ojca Anzelma zamieszkali państwo Armand-Dubois, hrabia skorzystał z tego, aby odwiedzić szwagra.

W tym samym dniu, w którym Fleurissoire opuszczał Pau, Julius dzwonił do drzwi Antyma.

Wprowadzono go do nędznego mieszkania trzypokojowego — jeżeli można liczyć za pokój ciemny stryszek, na którym Weronika sama przyrządzała jakieś jarzyny, ich zwykłą potrawę. Szpetny metalowy reflektor odbijał skąpe światło wnikaające z podwórka. Julius, zatrzymując w ręce kapelusz, który wahał się położyć na wątpliwej ceracie przykrywającej owalny stół, i stojąc, przez wstręt do wygniecionej kanapy, chwycił za ramię Antyma i wykrzyknął:

— Nie możesz przecie tutaj zostać, mój drogi!

— Czemu mnie żałujesz? — rzekł Antym.

Słyszac głosy, nadbiegła Weronika.

— Czy uwierzyłbyś, drogi szwagrze, że on na nic innego nie umie się zdobyć wobec psich figlów i szelmostw, jakich padliśmy ofiarą.

— Kto wam kazał jechać do Mediolanu?

— Ojciec Anzelm; tak czy owak nie mogliśmy zatrzymać naszego mieszkania w Rzymie.

— Na co nam ono było? — rzekł Antym.

— Nie o to chodzi. Ojciec Anzelm przyrzekł ci kompensatę. Czy dowiedział się o waszej nędzy?

— Udaje, że o niej nie wie — rzekła Weronika.

— Trzeba się poskarżyć biskupowi z Tarbes.

— Już Antym to zrobił.

— Cóż biskup powiedział?

— To przezacny człowiek; gorąco umocnił mnie w wierze.

— Ale od czasu jak tutaj jesteś, nie zwracałeś się do nikogo?

— Omal nie rozmawiałem z kardynałem Pazzi, który okazał mi zainteresowanie i do którego niedawno pisałem; przejeżdżał przez Mediolan, ale kazał mi powiedzieć przez lokaja...

— Że atak podagry nie pozwala mu opuszczać pokoju — przerwała Weronika.

— Ależ to okropne! trzeba zawiadomić Rampollę! — wykrzyknął Julius.

— Zawiadomić o czym, drogi szwagrze? To fakt, że jestem w trudnym położeniu, ale na cóż nam więcej? Za czasu swojej pomyślności błądziłem, byłem grzeszny, byłem chory. Teraz jestem uleczony. Niegdyś mogłeś słusznie ubolewać nade mną. Wiesz przecież: fałszywe dobra odwracają od Boga.

— Ale koniec końców należą ci się te fałszywe dobra. Niechże cię Kościół uczy gardzić nimi, ale niech cię ich nie pozbawia.

— Oto rozsądne słowa — rzekła Weronika. — Z jaką ulgą słucham ciebie, drogi bracie. Te abnegacje Antyma doprowadzają mnie do szału, nie ma sposobu namówić go na to, aby się bronił; dał się oskubać jak gąsior, dziękując wszystkim tym, którzy chcieli brać i brali w imię Pańskie.

— Weroniko, przykro mi słuchać, gdy mówisz w ten sposób; wszystko, co się dzieje w imię Pana, jest dobre.

— Jeżeli cię to bawi żyć na barłogu...

— Jak Hiob, mój przyjacielu.

Wówczas Weronika zwracając się do Juliusa:

— Słyszysz go szwagier? I tak jest co dzień; wciąż tylko prawi nam swoje kazania i kiedy ja się dobrze naharowałam chodząc na targ, gotując i sprzątając, szanowny pan cytuje Ewangelię, uważa, że ja się troszczę o rzeczy zbyteczne, i każe mi się zapatrywać na lilie polne.

— Pomagam ci, ile mogę, droga żono — rzekł seraficznym głosem Antym — nieraz proponowałam ci, skoro teraz mogę chodzić, że pójdę na targ albo sprzątnę za ciebie.

— To nie jest robota męska. Pisz sobie dalej swoje kazania, tylko postaraj się, aby ci za nie lepiej płacili.

Po czym, wciąż coraz bardziej podrażnionym tonem (ona, niegdyś tak uśmiechnięta!), dodała:

— Czy to nie wstyd! kiedy się pomyśli, ile on zarabiał w "Dépeche" swymi bezbożnictwami! I z tych paru groszy, jakie mu płaci dzisiaj "Pielgrzym" za jego litanie, jeszcze potrafi oddać trzy czwarte biednym.

— Więc to jest kompletny święty!... — krzyknął Julius przerażony.

— Och! niemożliwy jest ze swoją świętością!... O, masz, czy wiesz, co to jest takiego? — Weronika pobiegła w ciemny kąt, skąd wywlekła kojec: — To są dwa szczury, którym pan uczony wykłuł swojego czasu oczy.

— Och, Weroniko, czemu do tego powracasz? Karmiłaś je wówczas, kiedy ja na nich eksperymentowałam; i ja ci to wymawiałem... Tak, Juliusie, za czasu moich zbrodni przez ciekawość naukową oślepiłem te biedne zwierzęta; troszczę się o nie teraz, to całkiem naturalne.

— Chciałbym tylko, aby Kościół uważał również za naturalne zrobić dla ciebie to, co ty robisz dla tych szczurów, oślepiwszy cię tak samo.

— Oślepiwszy, powiadasz! I ty to mówisz w ten sposób? Oświeciwszy, bracie, oświeciwszy.

— Mówię o rzeczach konkretnych. Stan, w którym cię zostawiają, jest dla mnie czymś niedopuszczalnym. Kościół przyjął wobec ciebie zobowiązania. Trzebaż, aby ich dopełnił; dla swego honoru i dla naszej wiary.

Po czym zwracając się do Weroniki: — Jeżeliście nic nie uzyskali, zwróćcie się jeszcze wyżej, wciąż wyżej. Mówiłem o Rampolli? Co Rampolla! Myślę o suplice do samego papieża; do papieża, któremu nie jest tajne twoje nawrócenie. Takie pogwałcenie sprawiedliwości warte jest, aby się o nim dowiedział. Zaraz jutro wracam do Rzymu.

— Zostaniesz u nas na obiedzie — zaryzykowała nieśmiało Weronika.

— Darujcie mi, mam żołądek nie bardzo... (tu Julius, który miał paznokcie bardzo wypielegnowane, zauważył krótkie, kwadratowe końce palców Antyma) wracając z Rzymu odwiedzę was na dłużej i pomówię z tobą, drogi Antymie, o nowej książce, którą przygotowuję.

— Odczytałem w tych dniach na nowo "Dech wyżyn" i wydało mi się to lepsze niż z początku.

— Tym gorzej, drogi Antymie! To chybiona książka: wytłumaczę ci czemu, kiedy będziesz w stanie mnie wysłuchać i ocenić szczególne myśli, które mnie oblegają. Za wiele byłoby mówić. Dosyć na dzisiaj.

Pożegnał państwa Armand-Dubois, kazać im być dobrej myśli.

KSIEGA CZWARTA

TYSIĄCNOGI

Amedeusz Fleurissoire opuścił Pau mając w kieszeni pięćset franków, które niezawodnie miały wystarczyć na jego podróż, mimo ekstra kosztów, w jakie wpędzi go z pewnością chytrą Loży. Gdyby wreszcie ta suma nie wystarczyła, gdyby musiał przedłużyć pobyt, ucieknie się do Blafaphasa, który miał do jego dyspozycji małą rezerwę.

Nikt w Pau nie miał wiedzieć, dokąd on się udaje; wziął tedy bilet tylko do Marsylii. Z Marsylii do Rzymu bilet trzeciej klasy kosztował tylko trzydzieści osiem franków czterdzieści centymów i zostawiał mu swobodę zatrzymywania się w drodze, z czego myślał skorzystać, aby uczynić zadość nie ciekawości obcych miejsc, która nigdy nie była u niego zbyt silna, ile swojej despotycznej potrzebie snu. Lękał się ponad wszystko bezsenności; że zaś ważne było dla Kościoła, aby przybył do Rzymu pełen sił, nie żałował sobie dwudniowego opóźnienia i kosztów hotelu... Cóż to znaczyło w porównaniu z nocą w wagonie, niechybnie bezsenną, a przy tym niezdrową, z przyczyny wyziewów innych podróżnych, a już gdyby któremu z nich przyszła chęć odświeżenia powietrza, otwarcia okna, katar byłby gotowy... Miał tedy nocować pierwszej nocy w Marsylii, drugiej w Genui, w którymś z owych hoteli niezbyt kownych, ale wygodnych, łatwych do znalezienia w sąsiedztwie dworca; do Rzymu miał przybyć dopiero trzeciego dnia wieczór. Zresztą, bawiła go ta podróż i to, że podróżuje wreszcie sam; do czterdziestego siódmego roku żył dotąd wciąż pod kuratelą, eskortowany zawsze przez żonę albo przez przyjaciela Blafaphasa. Wtulony w kąt wagonu, uśmiechał się bezmyślnie w nieświadomym oczekiwaniu przygód.

Wszystko szło dobrze aż do Marsylii. Drugiego dnia Amedeusz popełnił fatalną omyłkę. Pochłonięty lekturą Baedekera środkowych Włoch, którego właśnie kupił, zmylił pociąg i pomknął prosto do Lyonu; spostrzegł się aż w Arles, w samej chwili odjazdu, i zajechał aż do Tarascon; musiał odrobić całą tę drogę, potem wziąć pociąg wieczorny, który go zawiózł do Tulonu. Wolał to, niż spędzić drugą noc w Marsylii, gdzie go dręczyły pluskwy.

Pokój nie wyglądał wszelako źle, wychodził na Cannebiere, ani, u kata, łóżko, w którym wyciągnął się z całym zaufaniem, złożywszy ubranie, zrobiwszy rachunki i odmówiwszy pacierz. Upadał ze snu i usnął natychmiast.

Pluskwy mają szczególne obyczaje; czekają, aż świeca zgaśnie, i skoro tylko zrobi się ciemno, wyłazą. Nie kierują się przypadkiem: zmierzają prosto do karku, który przekładają nad inne części ciała; czasami kierują się ku przegubom u rąk, rzadziej dają pierwszeństwo kostkom. Nie bardzo wiadomo czemu, wstrzykują pod skórę śpiącego delikatny, piekący olejek, którego działanie wzmacnia się rozpaczliwie za najłżejszym potarciem...

Swędzenie, które obudziło Amedeusza, było tak żywe, że zapalił świecę i pobiegł do lustra obejrzeć pod dolną szczęką rozlaną czerwoność, usianą białymi punkcikami; ale świeca świeciła lichy, zwierciadło było mętne, wzrok przyćmiony sennością... Położył się z powrotem, wciąż trąc; zgasił świecę na nowo, zapalił w pięć minut potem, gdy pieczenie stało się nie do zniesienia; skoczył do toalety, zmoczył chustkę w dzbanku i przyłożył ją na przekrwione miejsce; czerwoność, wciąż rozleglejsza, sięgała już obojczyka. Amedeusz myślał, że jest chory, i pomodlił się; po czym zgasił znów świecę. Ulga, jaką mu przyniósł chłodny kompres, była zbyt krótka, aby pozwolić pacjentowi usnąć z powrotem; do okropności pokrzywki przyłączyła się teraz dokuczliwość mokrego kołnierza u koszuli, którą zwilżał również łzami. Naraz podskoczył ze zgrozy: pluskwy! to są pluskwy!... Zdziwił się, że mu to wcześniej nie przyszło do głowy; ale znał te owady jedynie z nazwy; w jakiż sposób miał połączyć skutek określonego ukąszenia z tym mętym pieczeniem? Wyskoczył z łóżka, po raz trzeci zapalił świecę.

Nerwowość i doktryna — skojarzone razem — podsunęły mu, jak wielu ludziom, fałszywe pojęcie o pluskwach. Złodowaciały wstrętem, zaczął od szukania ich na sobie; nie znalazł nic; pomyślał, że się omylił, znów sądził, że jest chory. Również nic na prześcieradle; ale zanim się położył z powrotem, przyszła mu ochota podnieść wałek pod poduszką. Ujrzał wówczas trzy maleńkie czarniawe pastylki, które szybko się schowały w fałdzie prześcieradła. To były one!

Postawiwszy świecę na łóżku, zaczął je tropić; rozchylił fałd, ujrzał ich pięć. Nie mając serca zgnieść ich na paznokciu, wrzucił pluskwy do nocnika i osikał je. Przez kilka chwil patrzył, jak się miotają, zadowolony, okrutny, i na chwilę uczuł nieco ulgi. Położył się znowu, zgasił świecę.

Prawie natychmiast swędzenie zdwoiło się; nowe pluskwy, obecnie na karku. Zrozpaczony, zapalił znowu światło; wstał, zdjął tym razem koszulę, aby obejrzeć swobodnie kołnierz. Wreszcie rozpoznał na szwie biegnące, niedostrzegalne różowe punkciki, zgniółł je na płótnie, gdzie zostawiły ślad krwi. Plugawe bydlęta, takie małe, trudno mu było uwierzyć, żeby to już były pluskwy! Ale wkrótce potem, kiedy na nowo uchylił wałek, odkrył jedną olbrzymią: z pewnością matkę; za czym, ośmielony, podniecony, niemal ubawiony, zdjął wałek, odsunął prześcieradła i zaczął szukać metodycznie. Teraz zdawało mu się, że je widzi wszędzie: ale w sumie złapał tylko cztery; położył się i zdołał zaznać godziny spokoju.

Potem pieczenie wróciło. Puścił się jeszcze na polowanie; w końcu, zrozpaczony, dał za wygraną i spostrzegł, że pieczenie — skoro nie dotykał — uśmierzało się ostatecznie dość szybko. O świcie ostatnie pluskwy, nasycone, opuściły go. Spał głębokim snem, kiedy posługacz obudził go na pociąg.

W Tulonie były pchły.

Bez wątpienia przyniósł je z wagonu. Przez całą noc drapał się, obracał i kręcił się nie mogąc

zasnąć. Czuł je, biegały mu po nogach, łaskotały mu łądzwie, przyprawiały go o gorączkę. Ponieważ miał skórę delikatną, tworzyły się od ukąszeń wypukłe guzki, które Amedeusz zaogniał drapiąc się z niejaką rozkoszą. Zapalał kilka razy światło; wstawał, zdejmował koszulę, kładł ją z powrotem, nie zdoławszy zabić ani jednej. Ledwie je spostrzegł na chwilę, wymykały się; nawet kiedy zdołał je pochwycić, kiedy je brał za nieżywe, trzymając je spłaszczone na palcu, znów wzdymały się w jednej chwili, odbijały się, skoro tylko uczuły się wolne, i skakały jak wprzody. Doszedł do tego, że żałował pluskiew. Wściekał się i w emocjach tego daremnego polowania do reszty zniweczył sen.

Przez cały następny dzień nocne guzki swędziały go, podczas gdy nowe łaskotanie świadczyło, że wciąż jest terenem eksploatacji. Nadmierne gorąco wzmogło jeszcze jego męczarnię. Wagon pełen był robotników, którzy pili, palili, pluli, czkali i jedli salami woniejące tak silnie, że Fleurissoire kilka razy omal nie zaczął wymiotować. Nie śmiał wszakże opuścić tego przedziału przed granicą, z obawy, aby robotnicy widząc, że się przesiada, nie pomyśleli, że go krępują; w przedziale, do którego następnie przeszedł, obfita mamka przewijała swoje niemowlę. Starał się spać, ale przeszkadzał mu w tym kapelusz. Był to płaski kapelusz z białej słomki, z czarną wstążką, z rodzaju tych, które pospolicie nazywają się *windhorsty*. Kiedy Fleurissoire włożył kapelusz zwyczajnie, sztywny brzeg odpychał mu głowę od ściany. Jeżeli chcąc się oprzeć, podniósł nieco kapelusz, ściana strącała mu go do reszty; kiedy, przeciwnie, przeginał kapelusz w tył, brzeg wciskał się między ścianę a kark i kapelusz sterczał mu prostopadle nad czołem. Spróbował w końcu zdjąć go całkiem i przykryć sobie głowę fularem, który z obawy przed światłem opuścił sobie na oczy. Przynajmniej był zaopatrzony na noc: kupił rano w Tulonie puszkę proszku na owady i, choćby miał zapłacić drogo, nie wahał się zajechać tego wieczora do najlepszego hotelu; bo gdyby tej nocy znów nie spał, w jakimż stanie prostracji przybędzie do Rzymu? Stałby się wówczas łupem najlichszego masona.

Przed dworcem w Genui stały omnibusy głównych hoteli; udał się wprost do jednego z najbogatszych, nie dając się zastraszyć sztywności lokaja, który pochwycił jego mizerną walizę; ale Amedeusz nie chciał się z nią rozstać, nie pozwolił jej umieścić na dachu omnibusu, żądał, aby ją złożono obok niego na ławce. W przedsionku dodał mu otuchy portier mówiący po francusku; za czym, nie poprzestając na żądaniu bardzo dobrego pokoju, spytał o cenę tych, które mu proponowano, z intencją niezgodzenia się na żaden poniżej dwunastu franków.

Siedemnastofrankowy pokój, na który się zdecydował, obejrzawszy wprzód kilka, był obszerny, czysty, dyskretnie wykwintny; łóżko wystawało na pokój, łóżko mosiężne, czyste, z pewnością nie zamieszkałe, dla którego proszek perski byłby zniewagą. W rodzaju olbrzymiej szafy ukryta była toaleta. Dwa szerokie okna otwierały się na ogród; wychylony w mrok, Amedeusz długo patrzył na niewyraźne i ciemne listowie, pozwalając ciepłemu powietrzu koić z wolna jego gorączkę i skłaniać go do snu. Nad łóżkiem tiulowa zasłona spadała z trzech stron niby mgła: sznureczki podobne do sznurów u żagla unosiły ją z przodu wdzięczną krzywizną. Fleurissoire poznał to, co się nazywa moskitierą — czym nigdy dotąd nie przyszło mu na myśl się posłużyć.

Po ablucjach wyciągnął się z rozkoszą na świeżym prześcieradle. Zostawił okno otwarte; nie całkiem oczywiście, z obawy kataru i zapalenia ocz, ale jedno skrzydło uchylone, tak aby powiew wietrzyku nie szedł wprost na niego; zrobił rachunek, odmówił pacierz, po czym zgasił światło. (Oświetlenie było elektryczne, gasiło się przekręcając śrubkę.)

Fleurissoire miał usnąć, kiedy delikatne bzykanie przypomniało mu ostrożność, której był

zaniedbał, mianowicie, aby nie otwierać okna aż po zgaszeniu światła, bo światło przyciąga mustyki. Przypomniawszy sobie także, że czytał gdzieś podziękowanie Bogu za to, iż obdarzył skrzydlatego owada specjalną muzyką, zdolną ostrzec śpiącego w chwili, gdy mu grozi ukąszenie. Po czym spuścił dokoła siebie nieprzepuszczalny muślin. "O ileż to jest lepsze — myślał sobie usypiając — niż te małe stożki z suszonego ziela, które pod dziwną nazwą fidybusa sprzedaje stary Blafaphas; zapala się je na metalowej podstawie, żarzą się produkując mnogość narkotycznego dymu, ale nim porażą moskity, nieomal zatruwają śpiącego. Fidybus! Co za komiczna nazwa! Fidybus..." Już usypiał, kiedy nagle uczuł żywe ukłucie w lewym skrzydle nosa. Sięgnął ręką i podczas gdy delikatnie macał palący obrzęk skóry — drugie ukłucie w rękę. Potem drwiące brzęczenie koło ucha... Okropność! Zamknął wroga w twierdzy! Sięgnął do wyłącznika i zapalił światło.

Tak! Moskit był tuż, usadowiony w samym szczycie moskitiery. Będąc nieco dalekowidzem, Amedeusz widział go bardzo dobrze, niedorzecznie cieniutkiego, wspartego na czterech pałkach, długiego i jakby zwiniętego; bezczelnik! Amedeusz stanął na łóżku. Ale jak rozgnieść owada o tkaninę umykającą się palcom, mglistą? Mniejsza: zadał dłonią cios tak szybki, tak silny, że myślał, iż zakatrupił moskita. Z pewnością ma już dość! Amedeusz poszukał oczami trupa, nie zobaczył nic, ale uczuł nowe ukłucie w łydkę.

Wówczas, aby ochronić bodaj to, co się da, wrócił do łóżka; potem przetrwał może kwadrans, ogłupiały, nie śmiejąc zgasić. Po czym, mimo wszystko uspokojony, nie słysząc już wroga, zgasił. I zaraz muzyka rozpoczęła się na nowo.

Wówczas wydobyl ramię, trzymając rękę blisko twarzy; i kiedy mu się zdawało, że czuje moskita siedzącego na czole lub policzku, aplikował szerokiego klapsa. Ale zaraz potem słyszał na nowo śpiew owada.

Następnie powziął myśl, aby sobie przykryć głowę fularem, co bardzo ograniczyło rozkosz oddychania, ale nie zapobiegło ukąszeniu w brodę.

Wówczas moskit, zapewne syty, uspokoił się; przynajmniej Amedeusz, zmorzony snem, przestał go słyszeć, zdjął fular i spał gorączkowo; drapał się we śnie. Nazajutrz rano nos jego, z natury orli, podobny był do nosa pijanicy; guzek na łydce spęczniał jak karbunkuł, a guz na brodzie przybrał wygląd wulkaniczny — co zalecił uwadze balwierza, kiedy przed opuszczeniem Genui dał się ogolić, aby przybyć w należytej formie do Rzymu.

Kiedy w Rzymie rozglądał się przed dworcem z walizką w ręce, tak zmęczony, tak zdezorientowany, tak stropiony, że nie mógł się zdecydować na nic i znalazł siłę zaledwie na to, aby odpychać usługi portierów, Fleurissoire miał to szczęście, iż trafił na *facchino* mówiącego po francusku. Battistino był to młodzieniec rodem z Marsylii, jeszcze prawie bezwąsy, z żywymi oczyma, który poznając w Amedeuszu krajana ofiarował się pokierować nim i odnieść jego walizę.

Przez cały czas podróży Fleurissoire wertował Baedekera. Jakiś instynkt, jakieś przeczucie, wewnętrzny głos odwróciły prawie natychmiast jego zbożną troskę od Watykanu, aby ją skupić na zamku Świętego Anioła, dawnym Mauzoleum Hadriana. Owa słynna kaźń, którą podziemny korytarz łączy podobno z Watykanem, kryła niegdyś w swoich sekretnych lochach niejednego znamienitego więźnia.

Patrzył na plan. "Gdzieś tu trzeba się starać ulokować" — rozstrzygnął kładąc palec wskazujący na wybrzeżu di Tordinona, na wprost zamku Świętego Anioła. I, jakby przez opatrnościowy zbieg okoliczności, tam właśnie zamierzał go prowadzić Battistino; nie na samo wybrzeże, które, ściśle mówiąc, jest właściwie ulicą, ale tuż obok: na via dei Vecchierelli, to znaczy Małych Staruszków, trzecia ulica, idąc od ponte Umberto, wychodząca na plant kolejowy. Battistino znał tam spokojny dom (z okien trzeciego piętra, wychylając się nieco, można widzieć mauzoleum), gdzie bardzo uczynne panie mówią wszystkimi językami, a jedna w szczególności po francusku.

— Jeżeli pan jest zmęczony, można wziąć fiakra, to daleko... Tak, dziś jest trochę chłodniej, deszcz padał cały dzień; trochę spaceru po długiej jeździe dobrze robi... Nie, waliza nie jest bardzo ciężka, chętnie zaniosę ją na samo miejsce... Pierwszy raz w Rzymie! Pan przybywa może z Tuluzy?... Nie, z Pau; powinienem być zgadnąć z akcentu.

Tak rozmawiając, wędrowali. Szli przez via Viminale; potem przez via Agostino Depretis, która schodzi się z Viminale koło Pincio; potem przez via Nazionale dotarli do Corso, które minęli; stamtąd wędrowali przez labirynt uliczek bez nazwy. Waliza nie była tak ciężka, aby miała przeszkodzić chłopcu dobrze wyciągać nogi, tak że Fleurissoire ledwie mógł mu nadążyć. Dreptał za Battistinem, wyczerpany zmęczeniem, topiąc się od gorąca.

— Jesteśmy — rzekł wreszcie Battistino, wówczas gdy Amedeusz miał odmówić dalszej wędrowki.

Ulica lub raczej uliczka dei Vecchierelli była tak wąska i ciemna, że Fleurissoire wahał się w nią zapuścić. Tymczasem Battistino wszedł do drugiego domu po prawej, którego brama była o kilka metrów od rogu wybrzeża; w tej samej chwili Fleurissoire ujrzał wychodzącego stamtąd *bersagliere*; elegancki mundur, który go już uderzył na granicy, uspokoił go; miał bowiem zaufanie do armii. Postąpił kilka kroków. Jakaś dama zjawiała się w progu, widocznie gospodyni zajazdu; uśmiechnęła się doń życzliwie. Miała czarny atlasowy fartuszek, bransoletki, błękitną wstążkę z mory dokoła szyi; włosy czarne jak heban, wysoko upięte, podnosił ogromny szylkretowy grzebień.

— Twoja waliza jest na trzecim piętrze — rzekła do Amedeusza, który w owym tykaniu widział włoski obyczaj lub niedostateczną znajomość francuskiego.

— *Grazia* — odparł uśmiechając się wzajem. *Grazia*. To znaczy: dziękuję, jedyne włoskie słowo, które umiał i które przez grzeczność zżeńszczył, ile że dziękował damie.

Wszedł odsapując i nabierając odwagi na każdym zakręcie, bo był zmęczony, a niechlujstwo schodów pomnażało jego rozpacz. Przystanki były co dziesięć stopni, schody wahały się, kluczyły, zakręcały się po trzy razy, zanim odrobiły piętro. W pierwszej sionce, na suficie, na wprost wejścia wisiała klatka z kanarkiem, widoczna z ulicy. W drugiej sionce parszywy kot włóczył skórę sztokfisz, którą gotował się połknąć. Na trzecią sionkę wychodził ustęp, którego otwarte drzwi pozwoliły oglądać, obok sedesu, wysoki gliniany wazon, z którego kielicha wystawała rękojeść szczotki. W tej sionce Amedeusz nie zatrzymał się.

Na pierwszym piętrze kinkiet gazolinowy kopcił obok szerokich oszklonych drzwi, na których wypisane wytartymi głoskami widniało słowo *Salone*; ale pokój był ciemny; przez szybę Amedeusz z trudem rozróżnił na przeciwległej ścianie lustro w złoconej ramie.

Dochodził do siódmej kondygnacji, kiedy nowy wojskowy, tym razem artylerzysta, wychodząc z pokoju na drugim piętrze, potrącił go schodząc bardzo szybko; potem przeszedł mamrocząc ze śmiechem jakieś włoskie przeprosiny i doprowadziwszy go do równowagi: Fleurissoire bowiem wydawał się pijany i ze zmęczenia ledwie się trzymał na nogach. Uspokojony pierwszym mundurem, uczuł się raczej zaniepokojony drugim.

“Ci wojskowi będą mi tu hałasowali — pomyślał. — Szczęściem, mój pokój jest na trzecim piętrze, wolę ich mieć pod sobą”.

Zaledwie minął drugie piętro, kiedy kobieta w rozwartym peniuarze, z rozplecionymi włosami, nadbiegłszy z głębi korytarza zawołała na niego.

“Bierze mnie za kogoś innego” — powiedział sobie i przyśpieszył kroku, odwracając oczy, aby nie zawstydzić damy tym, że ją ujrzał tak skąpo odzianą.

Na trzecie piętro przybył mocno zdyszany i zastał tam Battistina rozmawiającego po włosku z kobietą nieokreślonego wieku, która przypominała mu bardzo, ale w mniej tłustym wydaniu, kucharkę Blafaphasów.

— Pańska waliza jest pod szesnastym, trzecie drzwi. Niech pan uważa idąc, wiadro stoi w korytarzu.

— Wystawiłam je na zewnątrz, bo cieknie — wyjaśniła kobieta po francusku.

Drzwi szesnastego numeru były otwarte; na stole zapalona świeca oświecała pokój i rzucała nieco blasku na korytarz, gdzie pod drzwiami piętnastego numeru, dokoła metalowego wiadra, błyszczała na podłodze kałuża, którą Fleurissoire okroczył. Czuć było ostry zapach. Waliza znajdowała się w widocznym miejscu na krześle. Ledwie Amedeusz znalazł się w dusznej atmosferze pokoju, uczuł, że mu się w głowie kręci; rzucił na łóżko parasol, szal i kapelusz, po czym osunął się na fotel. Czoło jego ociekało potem; myślał, że zemdleje.

— To pani Karola, która mówi po francusku — rzekł Battistino.

Oboje weszli do pokoju.

— Otwórzcie trochę okno — westchnął Fleurissoire, niezdolny wstać.

— Och, jak jemu gorąco — mówiła Karola wycierając mu bladą i spoconą twarz uperfumowaną chusteczką, którą wyjęła zza gorsu.

— Trzeba go przysunąć do okna.

Podnosząc we dwoje fotel, w którym wpółzemdlony Amedeusz pozwalał się bezwolnie kołysać, dali mu możność oddychania, w miejsce wyziewów korytarza, urozmaiconymi zapachami ulicy. Jednakże chłód ocucił go. Szukając w kamizelce, wyjął pięciolirowy świstek, który przygotował dla Battistina.

— Dziękuję ci bardzo. A teraz, zostaw mnie.

Facchino wyszedł.

— Nie powinieneś był mu dawać tyle — rzekła Karola.

Amedeusz przyjmował tykanie jako zwyczaj włoski; myślał już tylko o tym, aby się położyć, ale Karola nie zdawała się gotować do odejścia: za czym, przez grzeczność, podtrzymał rozmowę.

— Mówi pani po francusku jak rodowita Francuzka.

— Nic w tym dziwnego, jestem z Paryża. A pan?

— Ja jestem z Południa.

— Odgadłam to. Widząc cię, powiedziałam sobie: ten pan musi być z prowincji. Czy pierwszy raz jest pan we Włoszech?

— Pierwszy.

— Przybywa pan dla interesów?

— Tak.

— To ładne miasto Rzym. Dużo jest do oglądania.

— Tak... Ale dziś wieczór jestem trochę zmęczony — bąknął; po czym, jakby dla usprawiedliwienia się, dodał: — Jestem od trzech dni w podróży.

— To długo jak na tę odległość.

— I nie spałem od trzech nocy.

Na te słowa pani Karola, z ową nagłą poufałością, która wciąż zdumiewała Amedeusza, uszczypnęła go w podbródek.

— Ladaco! — rzekła.

Ten gest sprowadził trochę krwi do twarzy Amedeusza, który, pragnąc natychmiast uchylić krzywdzące posądzenie opowiedział obszernie o pchłach, pluskwach i mustykach.

— Tutaj nie będziesz miał niczego podobnego. Widzisz, jak tu czysto.

— Tak, mam nadzieję, że będę dobrze spał.

Ale ona wciąż nie odchodziła. Podniósł się z trudem z fotela, przytknął rękę do guzików kamizelki, mówiąc nieśmiało:

— Myślę, że już się położę.

Pani Karola zrozumiała zakłopotanie Amedeusza.

— Widzę, że chcesz, abym cię zostawiła trochę — rzekła taktownie.

Skoro tylko wyszła, Fleurissoire zamknął drzwi na klucz, wyjął z walizy nocną koszulę i położył się do łóżka. Ale widocznie zamek nie chwycił, bo jeszcze nie zdmuchnął świecy, a już głowa Karoli ukazała się w uchylonych drzwiach, za łóżkiem, tuż koło łóżka, uśmiechnięta...

W godzinę później, kiedy się opamiętał, Karola leżała koło niego, w jego ramionach, całkiem naga.

Wyswobodził spod niej lewe ramię, które mu ścierpło, po czym odsunął się. Spała. Słaby blask przenikający z alkowy napełniał pokój; nie było słycać innego odgłosu, jak tylko równy oddech tej kobiety. Wówczas Amedeusz Fleurissoire, który czuł w ciele i w duszy szczególną omdlałość, wysunął z prześcieradeł chude nogi i usiadłszy na rogu łóżka zapłakał.

Tak jak przed chwilą pot, tak teraz łzy spłukiwały jego twarz i mieszały się z kurzem wagonu; ciekły cicho, bez przestanku, małym strumykiem z głębi niego, niby z ukrytego źródła. Myślał o Arnice, o Blafaphasie, niestety! Och, gdyby go mogli widzieć! Nigdy już nie ośmieli się teraz zająć dawnego miejsca wśród nich... Następnie myślał o swojej dostojnej misji, teraz skompromitowanej; jęczał półgłosem:

— Przepadło! Nie jestem już godny... Och! Przepadło! Przepadło bez ratunku.

Cudzoziemski akcent tych jego westchnień obudził Karolę. Klęcząc obecnie przed łóżkiem Amedeusz bił się raz po raz w piersi; zdumiona Karola słyszała, jak szczęka zębami i jak wśród szlochów powtarza:

— Ratunku! Ratunku! Kościół się wali...

W końcu nie mogła wytrzymać:

— Co się z tobą dzieje, biedny stary! Oszalałeś?

Obrócił się do niej:

— Proszę pani, pani Karolo, niech mnie pani zostawi... Muszę koniecznie zostać sam. Zobaczę się z panią jutro rano.

I ponieważ ostatecznie miał żal tylko do siebie, ucałował ją tkliwie w ramię:

— Och, pani nie wie nawet, jakie to straszne, to, cośmy zrobili. Nie, nie. Nie wie pani. Nie będzie pani mogła nigdy wiedzieć.

III

Pod pompatyczną nazwą "Krucjata dla oswobodzenia papieża" hultajska impreza rozszerzała na niejednen departament Francji swoje mroczne odnogi. Protos — fałszywy kanonik Virmontal — nie był jej jedynym agentem, tak samo jak hrabina de Saint-Prix nie była jedyną ofiarą. I gdyby nawet wszyscy agenci złożyli dowody tej zręczności, nie wszystkie ofiary okazywały tę samą bierność. Nawet Protos, eks-przyjaciel Lafcadia, musiał się po tej operacji przytępić, żył w ciągłej obawie, aby prawdziwy kler nie dowiedział się o sprawie, i na osłanianie sobie tyłów musiał zużywać tyleż zręczności, co na posuwanie się naprzód; ale był pomysłowy i, co więcej, miał cudownych sojuszników. Od jednego do drugiego krańca, w bandzie zwanej bandą Tysięcnogów, panowała zdumiewająca harmonia i dyscyplina.

Uprowadzony tegoż wieczora przez Battistina o zjawieniu się cudzoziemca i dosyć zaniepokojony wiadomością, że on przybywa z Pau, nazajutrz już o siódmej rano Protos był u Karoli. Jeszcze spała.

Informacje, jakie uzyskał od niej, jej mętna opowieść o wypadkach nocnych, o lęku pielgrzyma (tak nazywała Amedeusza), o jego zakłęciach, łzach, nie zostawiły mu wątpliwości. Stanowczo jego orędzie w Pau wydało owoce, ale niezupełnie ten rodzaj owoców, jakiego mógł pragnąć Protos. Trzeba było mieć oczy otwarte na tego naiwnego krzyżowca, który przez swoją niezręczność mógłby trafić na ślad.

— No, przepuść mnie — rzekł nagle do Karoli.

To zdanie mogłoby się wydać dziwne, bo Karola wciąż była w łóżku; ale rzeczy dziwne nie

powstrzymywały Protosa. Oparł się kolanem o łóżko, drugim okraczył dziewczynę i zrobił tak zręczną piruetę, że odsuwając nieco mebel znalazł się nagle między łóżkiem a ścianą. Z pewnością Karola musiała być przyzwyczajona do tego manewru, bo spytała po prostu:

— Co ty chcesz robić?

— Księdza — odparł Protos niemniej po prostu.

— Wyjdiesz tą stroną?

Protos zawahał się chwilę, po czym rzekł:

— Masz słuszność, to naturalniej.

To mówiąc schylił się, otworzył tajemne drzwiczki ukryte w tapecie i tak niskie, że łóżko zasłaniało je całkowicie. W chwili gdy przechodził przez drzwi, Karola chwyciła go za ramię.

— Słuchaj — rzekła z odcieniem powagi — ja nie chcę, żebyś jemu zrobił co złego.

— Przecież ci mówię, że się przebieram za księdza. Skoro znikł, Karola wstała i zaczęła się ubierać. Nie bardzo wiem, co myśleć o Karoli Venitequa. Ten okrzyk, który wydała, każe mi przypuszczać, że jej serce nie było jeszcze zbyt skażone. Czasami w samym łonie ohydy zjawiają się nagle osobliwe delikatności uczuć, tak jak błękitny kwiat wyrasta na kupie gnoju. Bezwzględnie posłuszna i oddana, Karola, jak wiele innych kobiet, potrzebowała kierownika. Porzucona przez Lafcadia, puściła się natychmiast w poszukiwanie pierwszego kochanka, Protosa — na złość, z żalu, przez zemstę. Poznała na nowo ciężkie godziny; bo Protos, ledwie ją odnalazł, znów uczynił z niej swoją rzecz. Protos lubił panować.

Inny człowiek niż Protos byłby mógł podnieść, uratować tę kobietę. Ale przede wszystkim trzeba by tego chcieć. Można by rzec przeciwnie, że Protos silił się ją spodlić. Widzieliśmy, jakich haniebnych usług żądał od niej ten bandyta; zdawało się po prawdzie, że dziewczyna poddaje się bez zbytniego oporu; ale kiedy dusza się buntuje przeciw nikczemności swego losu, często pierwsze jej drgnienia pozostają niepostrzeżone dla niej samej, dopiero w blasku miłości ujawnia się tajemny bunt. Czy Karola zakochała się w Amedeuszu? Byłoby lekkomyślnie twierdzić to; ale ta czystość przemówiła do jej zepsucia i krzyk, który przytoczyłem, niewątpliwie trysnął z serca.

Profos wrócił. Nie zmienił stroju. Trzymał w ręku pakiet ubrań, który położył na krześle.

— I co? — rzekła.

— Zastanowiłem się. Muszę najpierw przejść na pocztę i przejrzeć jego listy. Przebiorę się aż w południe. Daj mi lusterko.

Zbliżył się do okna i pochylony nad swoim odbiciem przyprawił sobie parę kasztanowatych wąsów, przyciętych nad wargą i ledwie trochę jaśniejszych niż jego włosy.

— Zawołaj Battistina.

Karola ubierała się. Pociągnęła sznurek koło drzwi.

— Mówiłem ci już, że nie chcę widzieć u ciebie tych spinek. To zwraca uwagę.

— Wiesz przecie, kto mi je dał.

— Właśnie.

— Jesteś zazdrosny, ty?

— Głupiaś!

W tej chwili Battistino zapukał i wszedł.

— Masz! Staraj się wspiąć o szczebel wyżej na drabinie społecznej — rzekł Protos pokazując na krzesło marynarkę, kołnierzyk i krawat, które przyniósł z przyległego pokoju. — Będziesz towarzyszył twemu klientowi na miasto. Zabiorę ci go aż wieczór. Do tego czasu nie trać go z oka.

Amedeusz poszedł do spowiedzi do kościoła Saint-Louis-des-Francais; wolał tam niż u Świętego Piotra, którego ogrom go przytłaczał. Battistino towarzyszył mu, następnie zaprowadził go na pocztę. Jak można było się spodziewać, Tysiącnogi miał tam zauszników. Bilet wizytowy przymocowany do walizy zdradził Battistinowi nazwisko Amedeusza Fleurissoire; oznajmił je Protosowi, ten zaś nie miał najmniejszych trudności z tym, aby dzięki uczynnemu urzędnikowi podjąć list od Arniki, ani też żadnego skrupułu z tym, aby go przeczytać.

— To ciekawe! — wykrzyknął Fleurissoire, kiedy w godzinę później przybył się upomnieć o swoją pocztę — to ciekawe! Rzekłby ktoś, że otwierano kopertę.

— Tutaj zdarza się to często — rzekł z flegmą Battistino.

Szczęściem, ostrożna Arnika pozwalała sobie jedynie na wielce dyskretne aluzje. List był zresztą krótki; zalecał po prostu, z porady księdza Mure, aby się udać do Neapolu i zobaczyć z kardynałem San-Felice S. B. — “zanim się cokolwiek przedsięwzięmie”. Trudno było o określenie bardziej mgliste, a tym samym mniej kompromitujące.

Przed Mauzoleum Hadriana, zwanym zamkiem Świętego Anioła, Fleurissoire doznał przykrego zawodu. Olbrzymia masa budynku wznosiła się na wewnętrznym dziedzińcu, wzbronionym publiczności; tam mogły wchodzić jedynie osoby zaopatrzone w bilety wstępu. Było nawet w przepisach, że powinien im towarzyszyć strażnik...

Niewątpliwie, te wygórowane ostrożności potwierdzały podejrzenia Amedeusza; ale równocześnie pozwalały mu zmierzyć szaloną trudność przedsięwzięcia. Pozbywszy się Battistina, błądził tedy po wybrzeżu prawie że pustym o tej wieczornej godzinie, wzdłuż muru, który bronił przystępu do zamku. Posępny i zniechęcony krążył dokoła zwodzonego mostu, po czym oddalał się aż do brzegów Tybru i starał się poprzez pierwsze obwarowanie dojrzeć nieco więcej.

Nie zwrócił dotąd uwagi na księdza (jest ich w Rzymie tyłu!), siedzącego opodal na ławce; ów zaś, na pozór zatopiony w brewiarzu, obserwował go od dawna. Godny ksiądz miał bujne srebrne włosy, a jego młoda i świeża cera, dowód czystego życia, tworzyła kontrast z tym znamieniem starości. Po samej twarzy można by poznać księdza, a po pewnej dystynkcji, która ją cechowała, księdza francuskiego. Kiedy Fleurissoire przechodził po raz trzeci koło ławki, nagle ksiądz wstał, podszedł doń i głosem, który zarywał łkaniem, szepnął:

— Jak to! Ja nie jestem sam! Jak to! I pan go także szuka!

To mówiąc ukrył twarz w dłoniach, gdzie jego łkania, zbyt długo powściągane, wybuchły. Potem nagle, opamiętując się:

— Niebaczny! Niebaczny! Skryj swoje łzy! Zdław swoje westchnienia!... — I chwytając Amedeusza za ramię: — Nie stójmy tu, drogi panie, śledzą nas. Już to wzruszenie, któremu nie mogłem się obronić, zwróciło uwagę.

Amedeusz szedł za nim zdumiony.

— Ale jak — zdołał wreszcie wyjąkać — ale jak mógł pan zgadnąć, po co ja tutaj jestem?

— Dałoby niebo, abym ja jeden mógł to zgadnąć! Pański niepokój, smutne spojrzenie, jakim pan badał te miejsca, czyż mogły ujść uwagi tego, który od trzech tygodni krąży koło tych murów dniem i nocą! Ach, panie! Skoro tylko pana ujrzałem, jakieś przeczucie, jakieś ostrzeżenie z góry dały mi poznać w nim bratnią duszę... Uwaga, ktoś idzie. Na miłość nieba, niech pan udaje zupełną swobodę.

Handlarz jarzyn zbliżył się z przeciwnej strony. Natychmiast, jakby ciągnąc dalej rozmowę, nie zmieniając tonu, ale żywiej, ksiądz mówił:

— Oto czemu Wirginia, tak cenione przez pewnych palaczy, zapalają się jedynie od świecy, skoro z nich wyjąć cienką słomkę, której celem jest stworzyć przez całą długość cygara mały korytarzyk, którym może krążyć dym. Wirginia, które nie ciągnie dobrze, jest do wyrzucenia. Widywałem wybrednych palaczy, proszę pana, którzy zapalili sześć sztuk z rzędu, zanim trafili na jedną możliwą...

Skoro tamten ich minął, wrócił do poprzedniego toku rozmowy:

— Widział pan, jak on na nas patrzył? Trzeba było za wszelką cenę zmylić trop.

— Jak to! — wykrzyknął Fleurissoire oszołomiony — czy podobna, aby ten pospolity przekupień był również jednym z tych, przed którymi trzeba nam się strzec?

— Proszę pana, nie śmiałybym tego twierdzić, ale przypuszczam. Okolice zamku są szczególnie nadzorowane; agenci specjalnej policji węszą tutaj bez ustanku. Aby nie budzić podejrzeń, zjawiają się pod najróżniejszymi przebraniami. Ci ludzie są tacy sprytni, tacy sprytni, a my tacy łatwowierni, tacy pełni ufności! Ale gdybym panu powiedział, że omal wszystkiego nie naraziłem, nie dość strzegąc się *facchino* o niewinnym wyglądzie, któremu pozwoliłem w dniu przybycia zanieść mój skromny bagaż z dworca do pewnego mieszkania, gdzie stanąłem! Mówił po francusku i mimo że od dziecka mówię biegle po włosku, pan sam doznałby z pewnością tego samego wzruszenia, któremu nie mogłem się obronić, słysząc w cudzoziemskim kraju język ojczysty... Otóż ten *facchino*...

— Należał do nich?

— Należał. Mogłem mniej więcej przekonać się o tym. Na szczęście, bardzo mało mówiłem.

— Przyprawia mnie pan o drzenie — rzekł Fleurissoire — i ja także w dniu mego przybycia, to znaczy wczoraj wieczór, wpadłem w ręce przewodnika, który mówił po francusku, a któremu powierzyłem swoją walizę.

— Wielkie nieba! — rzekł ksiądz przerażony — czy miał może na imię Battistino?

— Battistino, to on! — jęknął Amedeusz, który uczył, że kolana się pod nim uginają.

— Nieszczęsny! I coś mu pan powiedział?

Ksiądz ścisnął go za ramię.

— Nic, co bym sobie mógł przypomnieć.

— Niech pan sobie przypomni! Niech pan sobie przypomni, na imię nieba!...

— Nie, doprawdy — bełkotał Amedeusz przerażony — nie zdaje mi się, abym mu coś powiedział.

— Może pan coś zdradził swoim zachowaniem się?

— Nic, nic, doprawdy, upewniam pana. Ale dobrze ksiądz robi, że mnie ksiądz ostrzega.

— Do jakiego hotelu pana zaprowadził?

— Nie mieszkam w hotelu, wziąłem umeblowany pokój.

— Pal sześć! Wreszcie, gdzie pan stanął?

— W małej uliczce, której ksiądz z pewnością nie może znać — bredził Fleurissoire nadzwyczaj zmieszany. — Mniejsza o to, nie zostanę tam.

— Niech pan dobrze uważa: jeżeli pan opuści ten dom zbyt prędko, będzie wyglądało, że się pan boi.

— Tak, może. Ma ksiądz rację, lepiej byłoby nie wyprowadzać się od razu.

— Ale jakże ja dziękuję niebu, że pana sprowadziło do Rzymu właśnie dziś! Jeden dzień później, a nie spotkałbym pana. Jutro, nie później niż jutro, muszę jechać do Neapolu widzieć się z ważną i świętą osobistością, która w tajemnicy bardzo się zajmuje tą sprawą.

— Byłżeby to kardynał San-Felice? — spytał Fleurissoire drżąc ze wzruszenia.

Zdumiony ksiądz cofnął się dwa kroki w tył.

— Skąd pan to wie? — Po czym, zbliżając się: — Ale czemu ja się dziwię? On jeden w Neapolu jest wtajemniczony w to, co nas zaprzęta.

— Ksiądz... zna go dobrze?

— Czy go znam! Ach, drogi panie, to jemu zawdzięczam... Ale mniejsza. Pan miał zamiar go odwiedzić?

— Bez wątpienia, jeżeli trzeba.

— To najlepszy człowiek... (Nagłym ruchem otarł kącik oka.) Oczywiście, pan wie, gdzie go znaleźć.

— Byle kto potrafi mnie objaśnić, przypuszczam. W Neapolu każdy go zna.

— Z pewnością! Ale nie ma pan chyba zamiaru wtajemniczać całego Neapolu w swoją wizytę. Nie podobna zresztą, aby pana powiadomiono o jego udziale w... tym, co wiemy, i aby może powierzono panu jakieś poselstwo, nie pouczywszy pana równocześnie o sposobie dostania się do kardynała.

— Daruje pan... — rzekł nieśmiało Fleurissoire, któremu Arnika nie przesłała żadnej w tej mierze wskazówki.

— Jak to! Pan miał zamiar po prostu tak udać się do niego? Może do konsystorza! — ksiądz zaczął się śmiać. — I wygarnąć mu wszystko bez ogródek!

— Wyznaję, że...

— Ale czy pan wie, drogi panie — odparł tamten surowym tonem — czy pan wie, że pan

narażał go na to, że jego samego mogą uwięzić?

Ksiądz zdradzał niezadowolenie tak żywe, że Fleurissoire nie śmiał mówić.

— Sprawa tak poważna, powierzona ludziom tak lekkomyślnym! — mrucał Protos, który wyjął z kieszeni koniec różańca, potem schował go, potem przeżegnał się gorączkowo, potem zwracając się do towarzysza, rzekł:

— Ależ wreszcie, proszę pana, kto pana prosił o to, aby się pan mieszał w tę sprawę? Od kogo ma pan instrukcje?

— Przepraszam, ojcze, nie dostałem instrukcyj od nikogo, jestem biedna dusza pełna niepokoju, która szuka na własną rękę.

Te pokorne słowa rozbroiły widocznie księdza; wyciągnął do Amedeusza rękę.

— Mówiłem do pana szorstko... ale bo też otaczają nas takie niebezpieczeństwa! — Po czym, po krótkim wahaniu: — Ot, wiesz pan! Czy chce pan jechać ze mną jutro? Pójdziemy razem do mego przyjaciela... — I podnosząc oczy do nieba dodał skupionym tonem: — Tak, śmiem go nazwać swoim przyjacielem. Siądźmy na chwilę na tej ławce. Napiszę słówko, które podpiszemy obaj, uprzedzimy go o swojej wizycie. Skoro wrzucimy na poczcie przed szóstą (przed osiemnastą, jak oni tu mówią), dostanie jutro rano i będzie gotów przyjąć nas koło południa; nawet z pewnością będziemy z nim mogli zjeść śniadanie.

Siedli. Protos wyjął z kieszeni notatnik i na czystej kartce papieru zaczął pod osłupiałym wzrokiem Amedeusza:

Mój stary...

Po czym, ubawiony zdumieniem towarzysza, uśmiechnął się bardzo spokojnie:

— Zatem pan, gdyby panu pozwolić, byłby napisał jako do kardynała?

I przyjaźniejszym tonem raczył objaśnić Amedeusza. Raz na tydzień kardynał San-Felice opuszcza potajemnie konsystorz w stroju prostego księdza, staje się kapelanem Bardolotti, udaje się na stoki Vomero i w skromnej willi przyjmuje paru bliskich oraz sekretne listy, jakie wtajemniczeni adresują doń pod tym fałszywym nazwiskiem. Ale nawet pod tym grubym przebraniem nie czuje się bezpieczny; nie jest bardzo pewny, czy owych listów, które dochodzą doń przez pocztę, ktoś nie otwiera, toteż błaga, aby nie pisać w liście nic podejrzanego, aby w tonie nic nie zdradziło jego dostojeństwa, nie oddychało w najlżejszej mierze szacunkiem.

Teraz, kiedy już znał sekret, Amedeusz uśmiechnął się również.

— *Mój stary...* No i co, cóż my powiemy temu kochanemu chłopu? — żartował ksiądz, wahające trzymając ołówek. — *A! Przywożę ci tego zucha.* (Owszem, owszem, zostaw pan; ja wiem, jakiego tonu trzeba!) *Wyjmij butelczynę falerna albo dmie, jutro przybędziemy wydoić je razem. Pofiglujemy sobie.* O, niech pan też podpisze.

— Lepiej byłoby może, żebym nie kładł prawdziwego nazwiska.

— Pańskie nazwisko nie ma tu znaczenia — rzekł Protos, który obok nazwiska Fleurissoire napisał: *Cave*.

— Och, bardzo sprytnie!

— Co? To pana dziwi, że ja podpisuję tym nazwiskiem: *Cave*? Pan masz w głowie tylko lochy Watykanu. Dowiedz się, dobry panie Fleurissoire, że *cave* to jest słowo łacińskie, które znaczy: strzeż się!

Wszystko to było powiedziane tonem tak despotycznym i niezwykłym, że biedny Amedeusz uczył dreszcz w krzyżach. Trwało to tylko chwilę, ksiądz Cave już odzyskał poprzednią uprzejmość. Podając Amedeuszowi kopertę, na której napisał sekretny adres kardynała, rzekł:

— Zechce pan sam wrzucić na pocztę, to będzie rozropniej; listy księży otwierają. A teraz, rozstańmy się: nie trzeba, aby nas widziano razem. Umówimy się, że się spotkamy jutro rano w pociągu do Neapolu siódma trzydzieści. Trzecia klasa, nieprawdaż? Oczywiście, ja nie będę w tym stroju (co za pomysł!). Odnajdzie mnie pan jako prostego kalabryjskiego wieśniaka. (To z przyczyny moich włosów, których nie chciałbym musieć strzyc.) Do widzenia! Do widzenia!

Oddalił się dając znaki ręką.

— Błogosławione niech będzie niebo, że mi dało spotkać tego zacnego księdza — szeptał oddalając się Fleurissoire. — Bez niego cóż bym począł!

A Protos odchodząc mruczał:

— Damy ci kardynała!... Ta bestia, gdyby go zostawić samemu sobie, gotów byłby trafić do prawdziwego!

Ponieważ Fleurissoire skarżył się na zmęczenie, Karola pozwoliła mu tej nocy spać, mimo sympatii, jaką dlań żywiła, oraz miłosiernej tkliwości, jaka ją przejęła od chwili, gdy jej Amedeusz wyznał swój brak doświadczenia w sprawach miłości. Spał bodaj tyle, ile mu pozwoliło nieznośne swędzenie całego ciała od mnogości ukąszeń tak pcheł, jak moskitów.

— Źle robisz, że się drapiesz! — rzekła doń nazajutrz rano. — Drażnisz skórę. Och, jakie to rozognione! — I dotykała pryszczę na brodzie. Potem, kiedy Fleurissoire gotował się do wyjścia: — Masz, weź to na pamiątkę ode mnie — i wpięła w mankiety "pielgrzyma" owe dziwaczne klejnoty,

które gniewały Protosa. Amedeusz przyrzekł wrócić tegoż samego wieczora, a najpóźniej nazajutrz.

— Przysięgasz mi, że mu nie zrobisz nic złego — mówiła Karola w chwilę później do Protosa, kiedy już przebrany przechodził przez tajne drzwiczki; i ponieważ już było późno — ile że czekał ze zjawieniem się, aż Fleurissoire wyjdzie — musiał jechać fiakrem na dworzec.

W swojej nowej postaci, w kamizeli, w ciemnych portkach, w sandałach zasznurowanych na niebieskich pończochach, w rudym kapeluszu z płaskim rondem, trzeba przyznać, że wyglądał mniej na księdza, ile na skończonego bandytę z Abruzzów.

Fleurissoire, przechadzający się koło pociągu, wahał się, czy ma go poznać, kiedy go ujrzał, jak się zbliża z palcem na ustach niby święty Piotr męczennik, a potem przechodzi udając, że nic nie widzi, i znika w wagonie na przedzie. Ale po chwili zjawił się w drzwiach wagonu i patrząc w kierunku Amedeusza z przymrużonym okiem, dał mu lekki znak, aby się zbliżył; kiedy zaś ów gotował się wsiąść, szepnął:

— Zechciej się pan upewnić, czy nie ma nikogo obok.

Nie było nikogo, a przedział był na samym końcu wagonu.

— Szedłem za panem z daleka przez ulicę, ale nie chciałem do pana podchodzić z obawy, aby nas nie ujrzano razem.

— Jakim cudem nie widziałem pana? — odrzekł Fleurissoire. — Odwracałem się kilka razy, właśnie aby się upewnić, czy ktoś nie idzie za mną. Pańskie wczorajsze słowa pogrzyły mnie w takim niepokojem! Widzę wszędzie szpiegów.

— Poznać to, niestety, aż nadto. Czy pan myśli, że to jest naturalne obracać się co dwadzieścia kroków?

— Jak to, doprawdy wyglądałem na...

— Człowieka, który coś podejrzewa. Niestety, powiedzmy otwarcie: który coś podejrzewa. Mina kompromitująca w najwyższym stopniu.

— Iz tym wszystkim nawet nie zdołałem zauważyć, że pan szedł za mną!... W zamian za to, od czasu naszej rozmowy, każdy spotkany przechodzień wydaje mi się jakiś niepewny. Niepokoję się, kiedy na mnie patrzą, a kiedy nie patrzą, mam wrażenie, iż oni umyślnie udają, że mnie nie widzą. Nie zdawałem sobie sprawy, jak rzadko usprawiedliwiona jest obecność człowieka na ulicy. Nie ma ani czterech ludzi na dwunastu spotkanych, których zatrudnienie byłoby w oczy. Och, muszę przyznać, że pan mi zabił tęgiego ówieka! Rozumie pan: dla duszy raczej wierzącej, jak moja, nieufność nie jest rzeczą łatwą: trzeba się jej uczyć...

— Ba, nauczy się pan, i to rychło: zobaczy pan, po pewnym upływie czasu to się staje przyzwyczajeniem. Niestety, musiałem nabrać tego przyzwyczajenia... najważniejsze jest zachować wesołą minę. A, dla pańskiej nauki: kiedy pan się boisz, że ktoś idzie za tobą, nie odwracaj się pan: po prostu upuść na ziemię laskę albo parasol (wedle tego, jaka jest pogoda), albo też chustkę i

podnosząc przedmiot ze spuszczoną głową, spojrzysz między nogami za siebie naturalnym ruchem. Radzę panu ćwiczyć się w tym. Ale niech mi pan powie, jak się panu wydają w tym stroju? Boję się, że ksiądz prześwieca miejscami.

— Niech się pan uspokoi — rzekł naiwnie Fleurissoire — nikt prócz mnie, jestem pewny, nie zgadłby, kim pan jest. — Po czym, patrząc nań życzliwie, z głową nieco pochyloną: — Oczywiście, przyglądając się bacznie, odnajduję pod pańskim przebraniem coś duchownego; wyczuwam pod jowialnością pańskiego tonu niepokój, który dręczy nas obu; ale jakiegoż panowania nad sobą trzeba, aby go okazać tak mało! Co do mnie, widzę to dobrze, muszę bardzo jeszcze pracować; pańskie rady...

— Co za oryginalne spinki pan ma — przerwał ubawiony Protos poznając na Amedeuszu spinki Karoli.

— To podarek — odparł tamten rumieniąc się. Był straszliwy upał.

Protos wyglądając oknem rzekł:

— Monte Cassino. Widzi pan tam, na górze, słynny klasztor?

— Owszem, widzę — odparł Fleurissoire z roztargnieniem.

— Nie jest pan, jak uważam, zbyt wrażliwy na pejzaże.

— Ależ tak, ależ tak — zarzekał się Fleurissoire — jestem wrażliwy. Ale jak pan chce, żebym się czymś interesował, dopóki będzie trwał mój niepokój? To tak, jak te zabytki w Rzymie; nic nie widziałem, nie próbowałem nawet coś zobaczyć.

— Jak ja pana rozumiem! — rzekł Protos. — I ja tak samo. Mówiłem panu, od czasu jak jestem w Rzymie, spędziłem czas między Watykanem a zamkiem Świętego Anioła.

— To szkoda... Ale pan już znał Rzym. Tak rozmawiali nasi podróżni.

W Caserte wysiedli, każdy na swoją rękę poszedł zjeść nieco wędliny i napić się czegoś.

— Tak samo w Neapolu — rzekł Protos — kiedy się zbliżymy do jego willi, rozdzielimy się, jeśli pan pozwoli. Pan będzie szedł za mną z dala; że zaś będzie mi trzeba nieco czasu — zwłaszcza o ile nie będzie sam, aby mu wytłumaczyć, kto pan jest i w jakim celu przybywasz, wejdzie pan aż w kwadrans po mnie.

— Skorzystam z tego, aby się ogolić. Nie miałem czasu rano.

Tramwaj zawiózł ich na piazza Dante.

— A teraz rozstańmy się — rzekł Protos. — Droga jest jeszcze dosyć długa, ale to lepiej. Idź pan o pięćdziesiąt kroków z tyłu i nie patrz cały czas na mnie tak, jakbyś się bał mnie zgubić; nie odwracaj się również, ściągnąłbyś na siebie szpicla. Miej minę wesołą.

Ruszył przodem. Fleurissoire ze spuszczoneymi oczami szedł za nim. Ulica była wąska i stroma, słońce piekło, pot lał się z niego, kipiący tłum popychał, ryczał, gestykulował, śpiewał, oszołamiał Amedeusza. Przed katarynką tańczyło dwoje dzieci. Dokoła wielkiego oskubanego indora, którego podnosił w górę jakiś linoskoczek, zorganizowano doraźną loterię po dwa soldy bilet. Dla większej naturalności Protos przechodząc wziął bilet i znikł w tłumie; nie mogąc się precyzyjnie przycisnąć, Fleurissoire myślał przez chwilę na dobre, że zgubił towarzysza, potem odnalazł go minawszy ciżbę i ujrzał go, jak szedł wolnymi krokami pod górę, unosząc pod pachą indora.

W końcu domy stawały się rzadsze, niższe, ulice mniej ludne. Protos zwolnił kroku. Zatrzymał się przed kramem balwierza i zwróciwszy się do Amedeusza, mrugnął; po czym, o dwadzieścia kroków dalej, zatrzymał się znów przed niską bramą i zadzwonił.

Wystawa balwierza nie była zbyt pociągająca, ale wskazując ten sklep ksiądz Cave miał z pewnością swoje racje; Fleurissoire musiałby zresztą wracać spory kawał wstecz, aby znaleźć innego golarza, z pewnością budzącego nie więcej zaufania. Z powodu szalonego upału drzwi były otwarte, grube perkalowe firanki zatrzymywały muchy i przepuszczały powietrze; podnosiło się je, aby wejść; Fleurissoire wszedł.

Rzecz jasna, że musiał być doświadczonym człowiekiem balwierz, który namydliwszy Amedeusza, ostrożnie rogiem ręcznika odgarnął pianę i wydobył na światło zaczerwieniony pryszczyk, wskazany mu nieśmiało przez klienta. O senności, o upalne odrętwienie tego małego, spokojnego kramiku! Z głową wstecz, na wpeł leżąc w skórzanym fotelu, Amedeusz wypoczywał. Och, zapomnieć bodaj na krótką chwilę, nie myśleć już o papieżu, o mustykach, o Karoli! Myśleć, że się jest w Pau, przy Arnice; myśleć, że się jest gdzie indziej, nie wiedzieć już, gdzie się jest!... Zamknął oczy; po czym, otwierając je trochę, widział na ścianie, niby we śnie, na wprost siebie, kobietę z rozpuszczonymi włosami, poczętą z neapolitańskiego morza i wynoszącą z głębi wód, wraz z rozkosznym uczuciem chłodu, błyszczący flakon płynu na porost włosów. Pod tym anonsem inne flakony stały na marmurowej płycie rzędem obok laseczki fiksatuaru, puszkę do pudru, kleszczy do wyrywania zębów, grzebienia, lancetu, słoika pomady. Dalej słoje, w którym pływało leniwo parę pijawek; drugi słoje, który zawierał zwoje tasiemca; trzeci wreszcie bez przykrywki, do połowy napełniony gęstą substancją; na przezroczystym kryształce tego słoja widniała etykieta z fantazyjnym napisem wielkimi literami: Antyseptyk.

Teraz balwierz — aby dopełnić w całej doskonałości swego dzieła — rozpościł na nowo na ogolonej już twarzy tłustą pianę i ostrzem drugiej brzytwy, którą przeciągnął na swojej wilgotnej dłoni, wygalał. Amedeusz nie myślał już o tym, że go oczekiwano, nie myślał, że trzeba iść, zasypiał... Naraz jakiś Sycylijczyk wszedł do sklepu, mącąc donośnym głosem ten spokój; balwierz, wdawszy się w rozmowę, zaczął golić z roztargnieniem i szerokim pociągnięciem brzytwy, trach! przeciął pryszczyk.

Amedeusz wydał krzyk, sięgnął ręką do ranki, gdzie perliła się kropla krwi.

— *Niente! Niente!* — rzekł balwierz przytrzymując mu rękę; po czym sięgnął do szuflady, wyjął spory kawał żółtej waty, którą zmaczał w antyseptyku i przyłożył na bolesne miejsce.

Nie troszcząc się już o to, czy zwraca uwagę przechodniów, dokąd pobiegł Fleurissoire

wracając ku miastu? Do pierwszej napotkanej apteki: wchodzi, pokazuje ranę. Mistrz sztuki aptekarskiej, zielonkawy starzec o niezdrowym wyglądzie, uśmiecha się wyjmując ze szkatułki krążek kitajki, przeciąga po nim swoim szerokim językiem, i...

Wypadając ze sklepu Fleurissoire splunął ze wstrętu, zerwał lepką kitajkę i ściskając w dwóch palcach pryszcz, wycisnął zeń możliwie najwięcej krwi. Po czym, zwilżywszy chustkę śliną (tym razem własną śliną), potarł pryszcz. Potem spojrzął na zegarek, przestraszył się, pobiegł pędem i dotarł do drzwi kardynała, pocąc się, sapiąc, krwawiąc, z twarzą nabiegłą krwią i z kwadransem opóźnienia.

vi

Protos przyjął go z palcem na ustach:

— Nie jesteśmy sami — rzekł szybko. — Dopóki będzie służba, nic, co by mogło zwrócić uwagę; wszyscy mówią po francusku; ani słowa, ani gestu, który by mógł coś zdradzić; zwłaszcza nie częstuj go “kardynałem”; przyjmuje cię tu kapelan Ciro Bardolotti. Ja nie jestem “ksiądz Cave”, jestem po prostu “Cave”. Zrozumiano? — I nagle, zmieniając ton, bardzo silnym głosem, klepiąc go po ramieniu: — To on, do kroćset! Amedeusz! No i co, mój stary, można powiedzieć, żeś się nie śpieszył zbytnio ze swoim ogoleniem. Jeszcze kilka minut, a *per Baccho*, siedlibyśmy do stołu bez ciebie. Indor, który się obraca na rożnie, już się rumieni jak zachodzące słońce. — Po czym, cicho: — Ach, drogi panie, jak mi jest ciężko udawać! Mam taki ucisk serca... — Po czym, z hałasem: — Co ja widzę, skaleczyli cię, krwawisz! Dorino! Biegnij do spichrza, przynieś pajęczyny, to cudowne na rany...

Tak błaznując popychał Amedeusza przez sień do ogrodu tworzącego terasę, gdzie w altanie narządzano ucztę.

— Drogi Bardolotti, przedstawiam panu mego kuzyna pana de la Fleurissoire, tęgiego zucha, o którym panu wspominałem.

— Bądź pozdrowiony, gościu — rzekł Bardolotti z szerokim gestem, ale nie wstając z fotela; po czym, pokazując bosc nogi zanurzone w waniencie z czystą wodą: — Kąpiel nożna przydaje apetytu i odciąga krew od głowy.

Był to mały i otyły człowieczek, którego wygolona twarz nie zdradzała płci ani wieku. Miał na sobie alpagowe ubranie. Nic w jego postaci nie zwiastowało wysokiego dygnitarza; trzeba było być bardzo bystrym albo uświadomionym jak Fleurissoire, aby pod tą jowialną miną odkryć dyskretne namaszczenie kardynała. Opierał się łokciem o stół i wachlował się niedbale spiczastym kapeluszem, zrobionym z gazety.

— Och, jestem bardzo szczęśliwy!... Och, jakież miły ogród!... — bąknął Fleurissoire, zakłopotany tą rozmową bez treści.

— Dosyć moczenia! — krzyknął kardynał. — Hej tam! Zabierzcie tę wanienkę! Assunta!

Podbiegła młoda służąca, zwinna i pulchna, wzięła wanienkę i wypróżniła ją na grządki; piersi jej, tryskające ze stanika, drżały pod koszulą; śmiała się i kręciła koło Protosa, a Fleurissoire onieśmielony był połyskiem jej nagich ramion. Dorino położył *fioschi* na stole. Słońce igrało w liściach winnych, łechcąc mieniącym się światłem półmiski na stole, nakrytym bez obrusa.

— Jesteśmy tu bez ceremonii — rzekł Bardolotti kładąc na głowę gazetę. — Rozumie mnie pan w pół słowa, drogi panie.

Despotycznym tonem, skandując sylaby i uderzając pięścią w stół, ksiądz Cave powtórzył z kolei:

— Jesteśmy tu bez ceremonii.

Fleurissoire zmrużył sprytnie oko. Czy rozumie w pół słowa! Oczywiście, nie trzeba mu tego powtarzać; ale na próżno szukał jakiegoś zdania, które mogłoby zarazem i nic nie mówić, i wszystko znaczyć.

— Mów pan! Mów pan! — szeptał Protos. — Rób pan kalambury: oni doskonale rozumieją po francusku.

— No, siadajcie — rzekł Ciro. — Drogi Cave, wypaprosz ten kawon i podziel go na tureckie półksiężyce. Czy pan należy do tych, panie de la Fleurissoire, którzy wolą pretensjonalne melony północy, melony cukrowe, preskoty, kantalupy, od naszych soczystych melonów italskich?

— Nic się nie równa z tym, którego widzę, jestem tego pewny; ale niech mi pan pozwoli się wstrzymać, trochę mi niewyraźnie na sercu — rzekł Amedeusz, który wzdrygał się od wstrętu na wspomnienie aptekarza.

— W takim razie chociaż fig! Dorino zerwał je świeżo.

— Daruje mi pan, też nie.

— Niedobrze! Bardzo niedobrze! Rób pan kalambury — szepnął mu Protos; po czym głośno: — Opłuczmy pańskie serduszko winem i przygotujmy je na przyjęcie indyczki. Assunta, nalej naszemu miłemu gościowi.

Amedeusz musiał się trącić i pić więcej, niż był przyzwyczajony. Upał i zmęczenie sprawiły, że niebawem zakręciło mu się w głowie. Żartował z mniejszym wysiłkiem. Protos kazał mu śpiewać; głos miał nikły, ale obudził nim zachwyty: Assunta chciała go uściskać. Jednakże z głębi jego obolałej wiary wznosił się nieokreślony lęk, śmiał się, aby nie płakać. Podziwiał tę swobodę księdza Cave, jego naturalność... Któż inny niż Fleurissoire i niż kardynał mógłby przypuścić, że on udaje? Bardolotti zresztą w talencie udawania, w panowaniu nad sobą nie ustępował w niczym księdzu:

śmiał się i klaskał, i szturchał lubieżnie Dorina, kiedy Cave, trzymając Assuntę leżącą w jego ramionach, przyciskał się twarzą do niej; a kiedy Fleurissoire, nachylony do księdza Cave, ze ściśniętym sercem szeptał: — Jak pan musi cierpieć! — Cave ujmował za plecami Assunty jego dłoń i ścisnął ją nic nie mówiąc, odwracając twarz, z oczami wzniesionymi ku niebu. Po czym, wstając nagle, Cave klasnął w ręce:

— Dość! Niech nas zostawią samych! Nie! Sprzątniecie później. Zmykajcie stąd! *Via! Via!*

Upewnił się, że Dorino ani Assunta nie podsłuchują, i wrócił z twarzą nagle spoważniałą, podczas gdy kardynał, przeciągając ręką po twarzy, stał z niej nagle świecką i sztuczną wesołość.

— Widzi pan, panie de la Fleurissoire, widzi pan, mój synu, do czego jesteśmy zmuszeni. Och, ta komedia! Ta haniebna komedia!

— Kaze nam — dodał Protos — znieawidzić nawet najuczciwszą zabawę i najniewinniejszą wesołość.

— Bóg ci to policzy, drogi księże Cave — podjął kardynał zwracając się do Protosa — Bóg cię nagrodzi, żeś mi pomógł wychylić ten kielich.

I jako symbol dokończył swojej szklanki, podczas gdy na jego rysach malował się najboleśniejszy wstręt.

— Jak to! — wykrzyknął Fleurissoire nachylając się ku niemu. — czy to możliwe, aby nawet w tym ustroniu i pod tą przybraną szatą Wasza Eminencja musiała...

— Mój synu, mów mi po prostu pan.

— Niech Eminencja daruje; między sobą...

— Drzę nawet będąc sam...

— Czy Eminencja nie może dobierać sobie służby?

— Wybierają ją za mnie; i ci dwaj, których pan widział...

— Och, gdybym mu powiedział — przerwał Protos — dokąd oni zanoszą natychmiast każde nasze słóweczko?

— Czy możliwe, żeby w konsystorzu...

— Cyt! Bez wielkich słów! To pachnie dla nas stryczkiem. Nie zapominaj pan, że mówisz do kapelana Ciro Bardolotti.

— Jestem na ich łasce — jęczał Ciro.

I Protos, pochylając się przez stół, o który wsparty był łokciami:

— Gdybym mu powiedział, że pana nie zostawiają samego ani na godzinę we dnie ani w nocy!

— Tak, jakkolwiek bym się przebrał — odparł rzekomy kardynał — nigdy nie jestem pewny, czy jakaś tajna policja nie depce mi po piętach.

— Jak to! Wiedzą tutaj, kim pan jest?

— Nie rozumie pan — rzekł Protos. — Jest pan — mówię to w obliczu Boga — jedynym bodaj, który może się chlubić stwierdzeniem pewnego podobieństwa pomiędzy kardynałem San-Felice a skromnym kapelanem Bardolotti. Ale niech pan to zrozumie: każdy z nich dwu ma innych wrogów, i podczas gdy kardynał musi się bronić przed masonami, kapelan Bardolotti śledzony jest przez...

— Jezuitów!... — przerwał rozpaczliwie kapelan.

— Tego mu jeszcze nie mówiłem — dodał Protos.

— A! Jeżeli mamy i jezuitów przeciw sobie! — zaszlochał Fleurissoire. — Ale kto by to przypuszczał? Jezuitów! Czy pan jest pewny?

— Zastanów się pan trochę; wówczas wyda ci się to zupełnie naturalne. Zrozum pan, że ta nowa polityka Stolicy Apostolskiej, z gruntu pojednawcza, ustępliwa, musi się im podobać i że ostatnie encykliki są im bardzo na rękę. Może nie wiedzą, iż papież, który je wydaje, nie jest prawdziwy, ale byliby w rozpacz, gdyby się zmienił.

— Jeżeli pana dobrze rozumiem — podjął Fleurissoire — jezuiti byliby w tej sprawie sprzymierzeńcami masonów.

— Skąd pan to wziął?

— Ależ to, co pan Bardolotti zdradził mi w tej chwili...

— Niechże go pan nie pomawia o gadanie głupstw.

— Daruje pan, ja się tak mało rozumiem na polityce.

— Dlatego niech pan nie szuka więcej, niż się panu mówi. Dwa wielkie stronnictwa stoją naprzeciw siebie: Loża i Towarzystwo Jezusowe; że zaś my, będący w tajemnicy, nie możemy bez zdradzenia się żądać poparcia ani od jednego, ani od drugiego, mamy ich wszystkich przeciw sobie.

— Hę! Co pan o tym myśli? — spytał kardynał.

Fleurissoire nie myślał już nic: był kompletnie oszołomiony.

— Wszystkich przeciw sobie — podjął Protos — tak jest zawsze, kiedy się posiada prawdę.

— Och, jakież byłem szczęśliwy, kiedy nie wiedziałem nic! — jęknął Fleurissoire. — Ach,

nigdy już teraz nie będę mógł nie wiedzieć!

— On panu nie powiedział jeszcze wszystkiego — ciągnął Protos, lekko dotykając jego ramienia. — Przygotuj się pan na najstraszliwsze!... — Po czym, nachylając się, z cicha: — Mimo wszystkich ostrożności tajemnica przesiąkła; korzysta z niej paru spryciarzy; ci w pobożnych departamentach zbierają składki po domach i wciąż w imię Krucjaty zbierają dla siebie pieniądze, które powinny przypaść nam.

— Ależ to okropne!

— Dodaj pan do tego, że tym samym dyskredytują i nas i rzucają na nas podejrzenie, zmuszając nas do zdwojonej czujności i oględności.

— Ot, niech pan czyta — rzekł Protos podając Amedeuszowi numer "Croix" — to przedwczorajszy numer. Ta prosta notatka wiele mówi!

Nie mogliśmy zanadto ostrzec — czytał Fleurissoire — pobożnych dusz przed akcją fałszywych księży, a zwłaszcza pewnego pseudokanonika, który podaje się za piastuna tajemnej misji i który, nadużywając łatwowierności, wyciąga pieniądze na cel, który się zowie Krucjatą dla oswobodzenia papieża. Sama nazwa tego przedsięwzięcia zdradza całą nedorzecznosc.

Fleurissoire uczuł, że mu się ziemia chwieje pod stopami.

— Komuż teraz zaufać! Ależ, gdybym panom znów ja powiedział, że to może z przyczyny tego szalbierza — chcę powiedzieć, fałszywego kanonika — jestem tutaj z wami!

Ksiądz Cave spojrział poważnie na kardynała, po czym uderzając pięścią w stół, krzyknął:

— Ha! Domyślałem się tego.

— Wszystko każe mi się obawiać — ciągnął Fleurissoire — że osoba, która mnie wtajemniczyła w sprawę, sama padła ofiarą działań tego bandyty.

— To by mnie nie dziwiło — rzekł Protos.

— Widzi pan teraz — podjął Bardolotti — jak bardzo nasze położenie jest trudne, między hultajami, którzy obejmują naszą rolę, a policją, która chcąc ich pochwycić, łatwo może nas wziąć za nich.

— To znaczy — jęknął Fleurissoire — że człowiek nie wie już, czego się trzymać; wszędzie widzę same niebezpieczeństwa.

— Zdziwi może potem pana nadmiar naszych ostrożności? — rzekł Bardolotti.

— I zrozumie pan — ciągnął Protos — że nie wahaliśmy się chwilami przybrać liberii grzechu i udać niejaką ochotę wobec najgrzeszniejszych uciech.

— Ach! — westchnął Fleurissoire — panowie przynajmniej ograniczacie się do komedii; jeżeli udajecie grzech, to dla ukrycia swoich cnót. Ale ja...

Ponieważ opary wina mieszały się z mgłami smutku, a czkawka pijaństwa z łkaniem, Fleurissoire, pochylony w stronę Protosa, zaczął zwracać śniadanie, a potem mętnie opowiedział wieczór z Karolą i stratę swego dziewictwa. Bardolotti i ksiądz Cave z trudem powstrzymywali się, aby nie parsknąć śmiechem.

— Ale, mój synu, wyświadałeś się? — spytał pieczołowicie kardynał.

— Nazajutrz rano.

— Ksiądz dał ci rozgrzeszenie?

— O wiele za łatwo. I właśnie to mnie dręczy... Ale czy mogłem mu wyznać, że nie ma do czynienia ze zwykłym pielgrzymem? Czy mogłem zdradzić, co mnie przywiodło do tego miasta?... Nie, nie! Już przepadło: ta wzniosła misja wymagała sługi bez skazy. Upadłem!

I na nowo chwycił go szloch; bijąc się w piersi, powtarzał: "Nie jestem już godny! Nie jestem już godny!" — po czym znów rozpoczynał swoją *mélopée*: — Och, wy, którzy mnie słuchacie teraz i którzy znacie moją rozpacz, sądzcie mnie, potępcie mnie, skażcie mnie... Powiedzcie mi, jaka nadzwyczajna pokuta obmyje mnie z tej niezmiernej zbrodni? Jaka kara?

Protos i Bardolotti patrzyli na siebie. W końcu rzekomy kardynał, wstając, zaczął klepać Amedeusza po ramieniu.

— No, no, mój synu. Nie trzeba się tak poddawać. Więc dobrze, tak, zgrzeszyłeś. Ale cóż, u diabła, i tak jesteś nam potrzebny. (Jesteś cały upačkany, weź tę serwetkę, otrzyj się!) Mimo to rozumiem twoje cierpienie i skoro odwołujesz się do nas, wskażemy ci sposób pokuty. (Źle to robisz. Pozwól, niech ci pomogę.)

— Och, niech pan sobie nie zadaje trudu. Dziękuję! Dziękuję — mamrotał Fleurissoire, a Bardolotti, czyszcząc go, ciągnął:

— Bądź co bądź rozumiem twoje skrupuły i aby je uszanować, dam ci na początek cichą funkcję, która da ci sposobność podniesienia się, wystawiając twoje poświęcenie na próbę.

— Oto właśnie, czego pragnę.

— Słuchaj, księżu Cave, czy masz przy sobie ten niewielki czek?

Protos wydobył papier z kieszeni kurtki.

— Śledzeni bez ustanku — ciągnął kardynał — doznajemy często niejakich trudności w tym,

aby podjąć kwoty z ofiar, które nam posyłają niekiedy dobre dusze, wezwane do tego potajemnie. Szpiegowani równocześnie przez masonów i przez jezuitów, przez policję i przez bandytów, nie możemy sobie pozwolić na to, aby nas widziano, jak podejmujemy czeki lub przekazy przy okienku pocztowym lub w banku, gdzieby nas ktoś mógł poznać. Filuty, o których mówił przed chwilą ksiądz Cave, zdołały tak zdyskredytować nasze koletki! (Tymczasem Protos bębnił niecierpliwie palcami po stole.) Krótko mówiąc, oto skromny czek na sześć tysięcy franków, który zechcesz, drogi synu, podjąć w naszym zastępstwie; wystawiony jest na Credito Commerciale w Rzymie przez księżnę de Ponte-Cavallo; mimo że skierowany jest do arcybiskupstwa, imię okaziciela zostawiono przez ostrożność in blanco, tak iż może go podjąć każdy; podpiszesz go bez skrupułu swoim prawdziwym nazwiskiem, które nie obudzi podejrzeń. Uważaj dobrze, aby ci nie ukradziono czeku ani... Co tobie, drogi Cave? Wydajesz mi się nerwowy.

— Jedź pan dalej.

— Ani sumy, którą mi pan odniesie... Kiedy? Jedzie pan do Rzymu dziś w nocy, będzie pan mógł wrócić tu jutro wieczór, pośpiesznym o szóstej; o dziesiątej jest pan znów w Neapolu. Zastanie mnie pan na peronie, będę czekał na pana. Następnie postaramy się obmyślić panu jakieś donioślejsze zadanie... Nie, synu, nie całuj mnie w rękę, widzisz przecie, że nie mam pierścienia.

Dotknął czoła kornie pochylonego Amedeusza; Protos ujął go za ramię i potrząsnął nim lekko:

— No, wypij pan szklaneczkę, zanim się puścisz w drogę. Żałuję, że nie mogę ci towarzyszyć do Rzymu, ale różne zadania zatrzymują mnie tutaj; lepiej zresztą, aby nas nie widziano razem. Do widzenia. Uściskajmy się, drogi Fleurissoire. Niech cię Bóg strzeże, a ja mu dziękuję, że mi dał sposobność poznania cię.

Odprowadził Amedeusza do bramy i na rozstanie rzekł jeszcze:

— I cóż, drogi panie, co pan myśli o kardynale? Czy nie jest przykro patrzeć, co zrobiło prześladowanie z tej szlachetnej inteligencji?

Po czym zwracając się do swego kompana:

— Idioto! to bardzo sprytne, to, coś wymyślił! Kazać podpisywać czek ciemiedze, który nie ma nawet paszportu i którego będę musiał mieć na oku.

Ale Bardolotti, ciężki od senności, skłonił głowę na stół mrucząc:

— Trzeba zatrudniać starców.

Protos przeszedł do jednego z pokojów w willi, aby zdjąć perukę i strój wieśniaczy; wkrótce potem zjawił się odmłodzony o trzydzieści lat, w charakterze urzędnika z magazynu lub z banku, o wyglądzie nader skromnym. Nie miał zbyt wiele czasu, aby złapać pociąg, który miał również unieść Amedeusza; jakoż odjechał nie żegnając się z Bardolottim, który spał.

Fleurissoire przybył do Rzymu i na via dei Vecchierelli tegoż wieczora. Był bardzo znużony i wyprosił u Karoli, aby mu dała spać.

Nazajutrz, tuż po przebudzeniu, pryszcz wydał mu się przy obmacywaniu jakiś dziwny: zbadał go w lustrze i stwierdził, że żółtawa łuska pokrywa skaleczenie; całość miała niedobry wygląd. Usłyszawszy w tej chwili Karolę krążącą po schodach, zawołał ją i poprosił, aby zbadała chore miejsce. Pociągnęła Amedeusza do okna i oznajmiła od pierwszego rzutu oka:

— To nie jest to, co ty myślisz.

Prawdę mówiąc, Amedeusz nie myślał specjalnie o tym, ale wysiłek Karoli, aby go uspokoić, przeciwnie, zaniepokoił go. Bo ostatecznie, z chwilą gdy ona twierdzi, że to nie jest to, to znaczyło, że mogłoby być to? Ostatecznie, czy ona jest pewna, że to nie jest to? A to, żeby to było to, to mu się wydawało całkiem naturalne, bo ostatecznie zgrzeszył; zasłużył, aby to było to. Tak powinno być. Dreszcz przebiegł mu wzdłuż pleców.

— Jakaś ty to sobie zrobił? — spytała.

Och, cóż znaczy przygodny powód: zacięcie brzytwą albo ślina aptekarza: czyż mógł jej wyznać przyczynę głębszą, tę, która zesłała nań tę karę? I czyżby ją zrozumiała? Z pewnością śmiałyby się z niego... Kiedy ponowiła pytanie, odrzekł:

— To u fryzjera.

— Powinien byś coś przyłożyć na to. Troskliwość jej usunęła ostatnie wątpliwości; to, co mu powiedziała zrazu, było jedynie dla uspokojenia go; i już Amedeusz widział swoją twarz i ciało zjedzone wrzodami, przedmiot ohydy dla Arniki; oczy jego napełniły się łzami...

— Więc ty myślisz... że...

— Ależ nie, kotuśku, nie trzeba się tak przejmować; wyglądasz jak karawaniarz. Po pierwsze, gdyby to było to, jeszcze by nie można nic wiedzieć.

— Owszem, owszem... Och, słusznie mnie to spotyka! Słusznie mnie to spotyka!... — powtarzał.

Rozczuliła się.

— A potem, to nigdy się tak nie zaczyna; chcesz, żebym zawołała naszą panią, żeby ci powiedziała...? Nie? Więc słuchaj, powinien byś wyjść na miasto, rozerwać się, wypić kieliszek marsali. — Przez chwilę milczała. W końcu, nie mogąc wytrzymać: — Słuchaj — rzekła — mam z

tobą pomówić o rzeczach poważnych. Czyś ty nie spotkał wczoraj jakiegoś księdza z siwymi włosami?

Jak ona mogła o tym wiedzieć? Zdumiony Fleurissoire spytał:

— Czemu?

— No bo... — Wahala się jeszcze; popatrzyła na niego, ujrzała, że pobladł, i ciągnęła jednym tchem: — No więc, miej się przed nim na baczości. Wierz mi, moja ptaszyno, on cię oskubie. Nie powinna bym ci tego mówić, ale... miej się przed nim na baczości.

Amedeusz gotował się wyjść, do głębi wstrząśnięty ostatnimi jej słowami; był już na schodach, kiedy go zawołała:

— A zwłaszcza, jeśli go zobaczysz, nie mów mu, że ja ci coś mówiłam. Bo to byłoby tak, jakbyś mnie chciał zabić.

Życie stawało się stanowczo zbyt skomplikowane dla Amedeusza. W dodatku nogi miał zimne, czoło rozpalone, całkowity chaos w głowie. Jak teraz zgadnąć, czy sam ksiądz Cave nie jest po prostu nabieraczem?... W takim razie może i kardynał?... Ale przecie ten czek! Wyjął papier z kieszeni, obmacał go, upewnił się o jego rzeczywistości. Nie, nie, to nie było możliwe. Karola musiała się mylić. A potem, co ona może wiedzieć o tajemniczych sprawach, które kazały biednemu Cave prowadzić podwójną grę? Bez wątpienia, trzeba w tym widzieć raczej jakąś nędzną zemstę Battistina, przed którym właśnie dobry ksiądz kazał mu się strzec... Mniejsza! Będzie miał odtąd oczy jeszcze szerzej otwarte: będzie się strzegł księdza Cave, tak jak już się strzegł Battistina; a kto wie, może i Karola jest...?

“Oto — powiadał sobie — zarazem następstwo i dowód tego pierwszego błędu, tego zachwiania się Stolicy Apostolskiej; naraz wszystko się wali. Komu ufać, jeśli nie papieżowi? a z chwilą gdy się chwieje ten kamień węgielny, na którym spoczywał Kościół, nic nie zasługuje na to, aby było prawdą.”

Amedeusz szedł spiesznie drobnymi krokami w kierunku poczty, spodziewał się zastać jakieś uczciwe nowiny z domu, na których mogłoby wreszcie wytchnąć jego znużone zaufanie. Lekka mgła poranna i obfite światło, w którym każdy przedmiot zmieniał się w opar i tracił swą realność, wzmagaly jeszcze jego zamęt; posuwał się jak we śnie, wątpiąc o trwałości ziemi, murów, o rzeczywistym istnieniu przechodniów, których mijał; wątpiąc zwłaszcza o swojej obecności w Rzymie... Szczypał się wówczas, aby się wyrwać ze złego snu, aby się odnaleźć w Pau, w swoim łóżku, koło Arniki, która już wstała i która, swoim zwyczajem, pochyłona nad nim, miała go wreszcie spytać: “ Czy dobrze spałeś, mój drogi?”

Na poczcie urzędnik poznał go i nie robił trudności z oddaniem nowego listu od małżonki.

...Dowiaduję się od Walentyny de Saint-Prix — pisała Arnika — że Julius jest także w

Rzymie z powodu jakiegoś kongresu. Jak ja się cieszę na myśl, że ty go możesz spotkać! Na nieszczęście, Walentyna nie mogła mi podać jego adresu. Przypuszcza, że stanął w Grand Hotelu, ale nie jest pewna. Wie tylko, że ma być przyjęty w Watykanie we czwartek rano: napisał zawczasu do kardynała Pazzi, aby uzyskać audiencję. Przybywa z Mediolanu, gdzie widział Antyma, który jest bardzo nieszczęśliwy, ponieważ nie może otrzymać tego, co mu Kościół przyrzekł po jego sprawie; dlatego Julius chce się udać do Ojca Świętego, aby prosić o sprawiedliwość, bo oczywiście on nie wie nic jeszcze. Opowie ci swoją wizytę, wówczas będziesz go mógł oświecić.

Mam nadzieję, że uważasz na siebie w razie niepogody i że się nie męczysz zbyt. Gaston zachodzi do mnie co dzień, brakuje nam ciebie bardzo. Jaka ja będę rada, kiedy już zapowiesz swój powrót... Etc.

Po czym, skreślone w poprzek ołówkiem na czwartej stronie, kilka słów Blafaphasa:

Jeżeli będziesz w Neapolu, powinien byś się wywiedzieć, w jaki sposób oni robią dziurkę w makaronie. Jestem na drodze nowego odkrycia.

Serce Amedeusza zalała promienna radość, pomieszana z niejakim zakłopotaniem: ów czwartek, dzień audiencji, to było właśnie dziś. Nie śmiał oddać rzeczy do prania i zabraknie mu bielizny. Przynajmniej obawiał się tego. Włożył tego rana wczorajszy kołnierzyk, który wydał mu się nagle nie dość czysty, z chwilą gdy się dowiedział, że może spotkać Juliusa. To mu zmało radość zrodzoną z tej możliwości. O tym, aby wrócić na ulicę dei Vecchierelli, ani myśleć, o ile chciał spotkać szwagra tuż po audiencji; a to go mniej onieśmiało niż odwiedzić go w Grand Hotelu. Tyle bodaj zrobił, że odwrócił mankiety; co się tyczy kołnierzyka, zasłonił go fularem, co dawało poza tym tę korzyść, iż skrywało prawie zupełnie jego pryszcz.

Ale co znaczyły te drobiazgi? Faktem było, że Fleurissoire uczuł się niezmiernie skrzepiony tym listem i że perspektywa odzyskania kontaktu ze swymi bliskimi, ze swoim poprzednim życiem, spędziła nagle na ich właściwe miejsce potwory spłodzone wyobraźnią podróżnika. Karola, ksiądz Cave, kardynał, wszystko to bujało przed nim niby sen przzerwany nagle pianiem koguta. Po co on opuścił Pau? Co znaczyła ta niedorzeczna bajka, która zmała jego szczęście? Do kata! Jest papież; i za kilka chwil Julius będzie mógł oświadczyć: "Widziałem go!" Jest papież — i to wystarczy. Czy Bóg mógł uprawnić tę potworną substytucję, w którą on, Fleurissoire, z pewnością nie byłby uwierzył bez tej głupiej pychy, żadnej odegrać jakąś rolę w tej sprawie?

Amedeusz szedł spiesznymi drobnymi krokami, ledwie mógł się powstrzymać, aby nie zacząć biec. Odzyskiwał wreszcie zaufanie, podczas gdy wszystko dokoła niego odzyskiwało uspokajającą wagę, miarę, naturalną pozycję i wiarygodną rzeczywistość. Trzymał w ręce swój słomkowy kapelusz; kiedy przybył przed bazylikę, ogarnęło go tak szlachetne upojenie, że zaczął od obchodzenia wkoło fontanny po prawej; przechodząc pod wietrzykiem wodotrysku, wystawiał czoło

na wilgoć, uśmiechał się do tęczy.

Naraz zatrzymał się. Tuż koło niego, siedzący na podmurowaniu czwartego filara kolumnady, czyż to nie był Julius? Fleurissoire wahał się jeszcze: o ile bowiem strój tej osobistości był przyzwoity, o tyle jej zachowanie się było mniej przyzwoite: hrabia de Baraglioul zawiesił kapelusz z czarnej słomki tuż obok siebie na zakrzywionym dziobie laski, wetkniętej między kamienie, i zgoła nie troszcząc się o dostojność miejsca, z prawą nogą opartą na lewym kolanie, niby jaki prorok z Sykstyny, trzymał na prawym kolanie kajet; chwilami, opuszczając nagle na karty papieru wysoko podniesiony ołówek, pisał, tak wyłącznie wsłuchany w dyktat nagłego natchnienia, że Amedeusz byłby mógł tuż przy nim fikać koziołki, a Julius nie spostrzegłby tego. Pisząc mówił; szmer fontanny pokrywał dźwięk jego słów, ale widać było, że wargi się poruszają.

Amedeusz zbliżył się okrążając dyskretnie filar. Kiedy miał trącić szwagra w ramię, Julius wygłosił te słowa:

— A w takim razie cóż nas to obchodzi! — Zapisał te słowa u dołu stronicy w karnecie, po czym schował ołówek i wstając nagle uderzył nosem w Amedeusza.

— Na Ojca Świętego, co ty tu robisz?

Amedeusz, drżąc ze wzruszenia, bełkotał niezdolny nic powiedzieć; ścisnął konwulsyjnie rękę Juliusa w obu dłoniach. Tymczasem Julius przyglądał mu się.

— Mój biedny Amedeuszu, jak ty wyglądasz!

Stanowczo opatrność lichu spowinowaciła Juliusa: z dwóch szwagrów, którzy mu zostali, jeden kroił na bigota, drugi był nedorajdą. Od niespełna trzech lat, przez które nie widział Amedeusza, uważał, że szwagier postarzał się więcej niż o dwanaście lat: policzki mu zapadły, grdyka wystąpiła na wierzch; amarantowy fular podkreślił jeszcze jego bladość, podbródek jego drżał, wypukłe oczy toczyły się w sposób, który miał być patetyczny, a był tylko pocieszny. Ze swojej wczorajszej podróży Fleurissoire przywiózł tajemniczą chrypkę, tak iż słowa jego szły jakby z daleka. Pochłonięty swoją myślą, rzekł:

— Zatem widziałeś go?

— Kogo? — zapytał Julius pochłonięty znowuż swoją.

Owo "kogo" zabrzmiało w Amedeuszu niby dzwon pogrzebowy, niby bluźnierstwo. Dodał dyskretnie:

— Sądziłem, że wychodzisz z Watykanu?

— W istocie, daruj mi: już o tym nie myślałem.. Gdybyś wiedział, co mi się zdarzyło!

Oczy jego błyszczały; zdawało się, że wytryśnie z samego siebie.

— Och, proszę — błagał Fleurissoire — powiesz mi to później; mów mi najpierw o swojej

wizycie. Tak pragnąłbym wiedzieć...

— To cię interesuje?

— Niebawem zrozumiesz do jakiego stopnia. Mów, mów, błagam!

— No więc cóż, jest tak! — zaczął Julius ujmując za ramię Amedeusza i ciągnąc go daleko od Świętego Piotra. — Słyszałeś może, w jakiej nędzy pograżyło naszego Antyma jego nawrócenie: na próżno oczekuje jeszcze tego, co mu przyrzekł Kościół w nagrodę tego, co mu wydarli masoni. Wykierowano Antyma, trzeba to przyznać... Mój drogi, weźmiesz całą tę rzecz, jak zechcesz; co do mnie, uważam ją za kompletną farsę; ale bez tego nie orientowałbym się może równie jasno w tym, co nas zajmuje dzisiaj i o czym pilno mi z tobą pomówić. Oto problem: "istota niekonsekwentna", to wiele powiedziane... i z pewnością ta pozorna niekonsekwencja kryje konsekwencję subtelniejszą i ukrytą; najważniejsze jest, aby to, co owej istocie każe działać, nie było już jedynie prostą grą interesu lub — jak wy powiadacie zazwyczaj — aby nie podlegała interesownym motywom.

— Niedobrze cię rozumiem — rzekł Amedeusz.

— To prawda: wybac mi, oddaliłem się od swojej wizyty. Postanowiłem tedy wziąć w ręce sprawę Antyma... Och, mój drogi, gdybyś był widział jego mieszkanie w Mediolanie! "Nie możesz tutaj zostać" — rzekłem mu natychmiast. I kiedy myślę o tej nieszczęśliwej Weronice! Ale on kieruje się na ascetę, na kapucyna; nie pozwala, aby go żałować, ani zwłaszcza, aby obwiniać kler! "Mój drogi — rzekłem mu jeszcze — godzę się, że wysoki kler może nie jest winny, ale w takim razie nie jest dobrze poinformowany. Pozwól, abym go oświecił".

— Sądziłem, że kardynał Pazzi... — wtrącił Fleurissoire.

— Owszem. To się nie udało. Rozumiesz, ci wysocy dygnitarze, każdy boi się zaangażować; aby poruszyć sprawę, trzeba było kogoś, kto by nie był zainteresowany; na przykład mnie. Bo podziwiam sposób, w jaki się robią odkrycia, i to odkrycia najważniejsze: można by przypuszczać, że to nagłe objawienie, a w gruncie nie przestawało się o tym myśleć. W ten sposób od dawna już niepokoiłem się zarazem nadmiarem logiki moich figur i ich niedostateczną determinacją.

— Obawiam się — rzekł łagodnie Amedeusz — że ty się znów oddalasz...

— Bynajmniej — odparł Julius — to ty nie idziesz za moją myślą. Krótko mówiąc, postanowiłem przedłożyć suplikę samemu Ojcu Świętemu i zniosłem mu ją dziś rano.

— No i co? powiedz prędko: widziałeś go?

— Mój drogi Amedeuszu, jeżeli będziesz wciąż przerywał... Otóż nie wyobrażasz sobie, jak go jest trudno zobaczyć.

— Myślę! — rzekł Amedeusz.

— Co powiadasz?

— Zaraz, powiem później.

— Przed wszystkim musiałem się całkowicie wyrzec zamiaru wręczenia papieżowi supliki. Trzymałem ją w ręku — ot, taki sobie skromny rulonik papieru; ale już w drugim przedpokoju (albo w trzecim, nie pamiętam dobrze) wielki drab, ubrany czarno i czerwono, zabrał mi ją grzecznie.

Amedeus zaczął się cicho śmiać, jak ktoś dobrze poinformowany, który wie to, co wie.

— W następnym przedpokoju odebrano mi kapelusz, który położono na stole. W piątym i szóstym, gdzie czekałem długo w towarzystwie dwóch dam i trzech prałatów, jakiś szambelan przyszedł po mnie i zaprowadził mnie do sąsiedniej sali, gdzie, skorośmy się znaleźli w obliczu Ojca Świętego (nie zdałem sobie od razu sprawy, że siedzi na czymś w rodzaju tronu, pod baldachimem), skłonił mnie, abym przypadł do ziemi, co też uczyniłem, tak że odtąd już nie widziałem papieża.

— Nie byłeś przecież tak długo pochylony ani z twarzą tak nisko, abyś nie mógł...

— Mój drogi Amedeuszu, dobrze ci mówić; czy nie wiesz, do jakiego stopnia oślepią nas szacunek? I poza tym, że nie śmiałem podnieść głowy, jakiś majordomus, mający w ręce coś w rodzaju linijki, za każdym razem, kiedym zaczynał mówić o Antymie, uderzał mnie lekko po karku, co sprawiało, że się pochylałem na nowo.

— Ale przynajmniej ON mówił do ciebie.

— Tak, o mojej książce, przyznając się, że jej nie czytał.

— Mój drogi Juliusie — podjął Amedeus po chwili milczenia — to, co mi mówisz, jest rzeczą niezmiernie wagi. Tak więc, nie widziałeś go, i z całego opowiadania wnoszę, że jest niezmiernie trudno widzieć go. Ach, wszystko to potwierdza, niestety, najokrutniejsze obawy. Juliusie, muszę ci powiedzieć teraz... ale chodź tędy, ta ulica taka ludna...

Pociągnął szwagra w opustoszałe prawie *vicolo*; Julius, raczej rozbawiony, dał się prowadzić.

— To, co ci zwierzę, jest tak poważne... Zwłaszcza nic nie zdradzaj twarzą. Niech się wydaje, że rozmawiamy o rzeczach obojętnych, ale przygotuj się usłyszeć coś strasznego. Juliusie, drogi Juliusie, ten, którego widziałeś dziś rano...

— Którego nie widziałem, chcesz powiedzieć.

— Właśnie... nie jest prawdziwy.

— Jak powiadasz?

— Powiadam, że nie mogłeś widzieć papieża dla tej potwornej przyczyny, że... wiem to z tajnego i pewnego źródła, prawdziwy papież jest skonfiskowany.

Ta zdumiewająca rewelacja wywarła na Juliusie efekt zgoła nieoczekiwany: puścił nagle ramię Amedeusza i biegnąc przodem na przełaj przez *vicolo*, krzyczał:

— Och, nie! Och, nie! Coś takiego, doprawdy, ha! ha! ha!

Po czym zbliżając się do Amedeusza, wołał:

— Jak to! Osiągam z wielkim trudem tyle, że sobie wybijam z głowy to wszystko; przekonywam się, że nie można z tej strony niczego oczekiwać, niczego się spodziewać, niczego przypuszczać; że Antyma wystrychnięto na dudka, że nas wszystkich wystrychnięto na dudków, że to są po prostu aptekarze i że nie pozostaje nic, tylko się uśmieć z tego wszystkiego. Więc tak! Wyzwalam się; i ledwom się pocieszył, ty mi powiadasz: Stop! Jest *maldonne*, zaczynaj na nowo! Och, nie, do kroćset; och, nie, nigdy! Mam dość, wystarczy. Jeżeli ten nie jest prawdziwy, trudno, tym gorzej.

Fleurissoire osłupiał.

— Ależ... — powiadał — Kościół... — Żałował, że chrypka nie pozwala mu rozwinąć wymowy. — Ale jeżeli sam Kościół oszukano?

Julius stanął bokiem do szwagra, na wpół zatarasowując mu drogę, po czym, niezwykłym u siebie, drwiącym i stanowczym głosem rzekł:

— Więc co? I co-cię-to-ob-cho-dzi?

Wówczas Amedeusza przeszła wątpliwość; wątpliwość nowa, poczwarna, okrutna i mglista, lęgnąca się na dnie jego niepokoju: Julius, sam Julius, ten Julius, z którym mówi, Julius, którego się czepiało jego oczekiwanie i jego zwątpienie; ten Julius również nie jest prawdziwym Julusem.

— Jak to, i ty tak mówisz, ty, na którego liczyłem, ty, Julius, hrabia de Baraglioul, którego pisma...

— Nie mów mi o moich pismach, proszę cię. To, co mi o nich powiedział dziś rano twój papież — prawdziwy czy fałszywy — całkowicie mi wystarcza. I mam pewną nadzieję, że dzięki memu odkryciu następne będą lepsze. Bo pilno mi pomówić z tobą o rzeczach serio. Zjesz ze mną śniadanie, prawda?

— Chętnie, ale pożegnam cię wcześniej. Czekają mnie dziś wieczór w Neapolu, w sprawach, o których ci opowiem. Nie prowadzisz mnie do Grand Hotelu, mam nadzieję.

— Nie, pójdziemy do Colony.

Julius również nie miał ochoty, aby go widziano w Grand Hotelu w towarzystwie takiego łachmana jak Fleurissoire: ów zaś, czując się blady i zmieniony, cierpiał już od pełnego światła, w którym posadził go szwagier przy stoliku restauracyjnym, wprost siebie i pod swoim badawczym spojrzeniem. Gdyby jeszcze to spojrzenie szukało jego oczu; ale nie, czuł, jak się ono kieruje poprzez wiśniowy fular ku wstydliwemu miejscu na szyi, gdzie kwitła podejrzana krostka. I podczas gdy garson podawał przystawki, Baraglioul rzekł:

— Powinieneś brać siarczane kąpiele.

— To nie to, co przypuszczasz — zaprotestował Fleurissoire.

— Tym lepiej — rzekł Baraglioul, który zresztą nic nie przypuszczał — udzieliłem ci tej rady ot, mimochodem. — Po czym, przechylając się w tył, rozpoczął profesorskim tonem:

— Zatem, drogi Amedeuszu, jest tak. Uważam, że od czasu La Rochefoucaulda i drepcąc w jego ślady weszliśmy na fałszywą drogę; że własna korzyść nie zawsze powoduje człowiekiem: że bywają postęпки bezinteresowne...

— Spodziewam się! — przerwał naiwnie Fleurissoire.

— Nie rozum mnie tak szybko, proszę cię o to. Przez bezinteresowne rozumiem: bezcelowe. I że zło, to, co się nazywa zło, może być równie bezcelowe jak dobro.

— Ależ w takim razie, po co je robić?

— Właśnie! Przez zbytek, przez potrzebę ekspansji, dla zabawy. Bo ja twierdzę, że dusze najbezinteresowniejsze nie są koniecznie najlepsze — w katolickim znaczeniu słowa; przeciwnie, z punktu widzenia katolickiego dusza najlepiej urobiona jest ta, która najlepiej prowadzi swoje rachunki.

— I która zawsze czuje się dłużnikiem Boga — dodał z namaszczeniem Fleurissoire, który starał się utrzymać na wysokości.

Przerywania szwagra wyraźnie drażniły Juliusa; wydawały mu się głupkowate.

— Niewątpliwie, wzgarda dla tego, co może być użyteczne — podjął — jest oznaką pewnej arystokracji ducha... Skoro zatem dusza wyzwoli się z katechizmu, z układności, z rachuby, mamyż przyjąć duszę, która zupełnie nie prowadzi rachunków?

Baraglioul czekał przytwierdzenia, ale Fleurissoire wykrzyknął gwałtownie:

— Nie, nie! Po tysiąc razy nie; nie przyjmujemy!

Po czym, przestraszony nagle dźwiękiem własnego głosu, pochylił się ku szwagrowi:

— Mówmy ciszej, słuchają nas.

— Ba! Kogóż chcesz, aby interesowało to, co my mówimy?

— Och, mój drogi, widzę, że ty nie wiesz, co tu są za ludzie w tym kraju. Co do mnie, zaczynam ich poznawać. Od czterech dni, jak żyję tutaj, brnę z przygody w przygodę! Siłą zaszczepili mi, przysięgam ci, ostrożność, której nie miałem z natury. Człowiek musi tu mieć się wciąż na baczności.

— Wyobrażasz sobie to wszystko.

— Chciałbym, niestety, żeby to wszystko istniało tylko w moim mózgu. Ale cóż chcesz? Kiedy fałsz zajmie miejsce prawdy, prawda musi się ukrywać. Dźwigając misję, o której ci zaraz powiem, skoro dostanę się między Łożę a Towarzystwo Jezusowe — zginąłem. Jestem podejrzany dla wszystkich i sam wszystko podejrzewam. Ale gdybym ci wyznał, że przed chwilą, w obliczu drwin, któreś przeciwstawił mojej zgryzocie, mogłem wątpić, czy ja mówię z prawdziwym Julusem, a nie raczej z jakimś faksymile ciebie samego... Ale gdybym ci powiedział, że dziś rano, nim cię spotkałem, mogłem wątpić o swoim własnym istnieniu; wątpić, że jestem tutaj, w Rzymie, a nie, że po prostu śnię, iż jestem tutaj, a za chwilę obudzę się w Pau, spokojnie leżąc obok Arniki, w otoczeniu zwykłych sprzętów.

— Mój drogi, ty masz gorączkę.

Fleurissoire chwycił go za rękę i patetycznym głosem rzekł:

— Gorączkę! Dobrześ powiedział: mam gorączkę. Gorączkę, której się nie da uleczyć i której nie chcę uleczyć. Gorączkę, wyznaję, na którą liczyłem i u ciebie, skoro się dowiesz o tym, com ci zwierzył; gorączkę, której spodziewałem się udzielić ci, iżbyśmy wspólnie płonęli, bracie mój... Ale nie! Czuję w tej chwili, iż samotnie zapuszczam się w mroczną ścieżkę, którą krocę, którą powinienem kroczyć; a to, coś mi powiedział, tym bardziej mnie utwierdza... Powiedz, Juliusie, byłaby to prawda? Zatem nie widzi się GO? Nie ma już sposobu go ujrzyć?...

— Mój drogi — odparł Julius wyzwalając się z uścisku zgorączkowanego Amedeusza, kładąc jemu znowu rękę na ramieniu. — Mój drogi, wyznam ci coś, czego nie śmiałem powiedzieć ci przed chwilą. Kiedym się znalazł w obliczu Ojca Świętego... wiesz!... ogarnęła mnie dziwna dystrakcja.

— Dystrakcja! — wykrzyknął Fleurissoire ogłuszony.

— Tak. Nagle schwyciłem się na tym, że myślę o czym innym.

— Mam wierzyć w to, co mi mówisz?

— Bo właśnie wówczas nawiedziło mnie moje objawienie. “Ależ — powiadałem sobie idąc za pierwotną myślą — ale, jeżeli przyjmiemy możliwość złego uczynku, zbrodni popełnionych bezinteresownie, tym samym stają się one nie do wykrycia, a ten, kto je popełni, bezkarny”.

— Jak to! Ty do tego wracasz? — jęknął rozpaczliwie Amedeusz.

— Bo pobudka, motyw zbrodni, to jest pętla, którą się łapie zbrodniarza. A jeżeli, gdy sędzia będzie twierdził: *Is fecit cui prodest...** tyś skończył prawo, nieprawdaż?

— Przepraszam cię — rzekł Amedeusz, któremu pot wystąpił na czoło.

Ale w tej chwili nagle dialog urwał się; służący przyniósł na talerzu kopertę, na której widniało nazwisko pana Fleurissoire. Zdumiony Fleurissoire otworzył kopertę i na zawartym w niej bilecie przeczytał te słowa:

Nie ma pan ani minuty do stracenia. Pociąg do Neapolu jedzie o trzeciej. Niech pan poprosi pana de Baraglioul, aby panu towarzyszył do Credito Commerciale, gdzie go znajdą i gdzie będzie mógł zaświadczyć o pańskiej tożsamości.

Cave

— No i co, co ci mówiłem? — rzekł Amedeusz z cicha, raczej z uczuciem satysfakcji.

— W istocie, to jest dość osobliwe. Skąd, u diabła zna moje nazwisko? I to, że jestem w stosunkach z Credito Commerciale?

— Ci ludzie wiedzą wszystko, powiadam ci.

— Ton tego bileciku nie podoba mi się. Ten, kto go pisał, mógłby bodaj przeprosić, że nam przerywa.

— Po co? On wie, że moja misja jest przed wszystkim innym. Chodzi o podjęcie czeku... Nie, niepodobna o tym mówić tutaj; sam widzisz, że nas śledzą. — Po czym, dobywając zegarka: — W istocie, ledwo mamy czas.

Zadzwonił na garsona.

— Zostaw, zostaw — rzekł Julius — to ja cię prosiłem. Bank nie jest daleko, w razie potrzeby weźmiemy fiakra. Nie denerwuj się... A chciałbym ci jeszcze powiedzieć: jeżeli jedziesz dziś wieczór do Neapolu, weź ten bilet okrężny. Jest na moje nazwisko, ale cóż to znaczy. (Julius lubił być uczynny.) Wziąłem go nieoględnie w Paryżu, myśląc, że zajadę dalej na południe. Ale zatrzymuje mnie tutaj kongres. Jak długo myślisz tam zostać?

— Jak najkrócej. Spodziewam się być z powrotem pojutrze.

— Będę cię więc czekał z obiadem.

W Credito Commerciale, dzięki rekomendacji hrabiego de Baraglioul, bez trudności wręczono Amedeuszowi w zamian za czek sześć banknotów, które wsunął w kieszeń na piersiach. Podczas tego opowiedział naprędce szwagrowi historię czeku, kardynała i księdza; Baraglioul, który odprowadził go na sam dworzec, słuchał z roztargnieniem.

Po drodze Fleurissoire wstąpił do sklepu z bielizną, aby kupić kołnierzyk; ale nie włożył go zaraz, nie chcąc zanadto dać czekać Juliusowi, który został przed sklepem.

— Nie bierzesz kufierka? — spytał Julius, kiedy szwagier wyszedł.

Zapewne Fleurissoire byłby chętnie wstąpił, aby wziąć pled i przybory toaletowe, ale jak przyznać się Baraglioulowi do via dei Vecchierelli!...

— Och, na jedną noc!... — rzekł swobodnie. — Zresztą, nie ma już czasu, aby wstąpić do mego hotelu.

— Prawda, gdzieś ty zajechał?

— Za Koloseum — odparł tamten na los szczęścia. To było tak, jakby kto powiedział: "Nad rzeką."

Julius przypatrzył mu się jeszcze raz.

— Dziwna z ciebie figura!

Czy w istocie wyglądał tak dziwnie? Fleurissoire otarł sobie czoło. Przybywszy na dworzec, przechadzali się chwilę w milczeniu.

— No, trzeba się nam rozstać — rzekł Baraglioul podając mu rękę.

— Czy nie... nie pojechałbyś ze mną? — bąknął nieśmiało Fleurissoire. — Nie wiem sam dlaczego, ale jakoś mi niewyraźnie jechać tak samemu.

— Dojechałeś przecie sam do Rzymu. Cóż by ci się mogło zdarzyć? Daruj mi, że cię pożegnam przed peronem, ale widok odjeżdżającego pociągu przyprawia mnie o niewymowny smutek. Bądź zdrow! Dobrej podróży! I jutro odnieś mi do hotelu mój powrotny bilet.

KSIĘGA PIĄTA

LAFCADIO

— There is only one remedy! One thing alone can cure us from being ourselves!...

— Yes: strictly speaking, the question is not how to get cured, but how to live.

*joseph conrad, « lord jim » **

I

Kiedy za pośrednictwem Juliusa i w obecności rejenta Lafcadio wszedł w posiadanie czterdziestu tysięcy funtów renty, które nieboszczyk hrabia Justus Agenor de Baraglioul mu zapisał, wielką jego troską było to, aby nic nie pokazać po sobie.

“Może na złotym naczyniu — powiedział sobie — ale będziesz jadł te same potrawy”.

Nie brał tego w rachubę albo nie wiedział jeszcze, że odtąd zmieni się dlań smak potraw. Lub przynajmniej że, skoro znajdował jednaką przyjemność w tym, aby walczyć z apetytem, co aby się poddawać łakomstwu, teraz, kiedy go już nie przyciska potrzeba, opór jego słabnie. Mówmy bez przenośni: będąc arystokratą z natury, Lafcadio nie pozwolił konieczności narzucić mu żadnego gestu, na który by sobie pozwolił teraz, przez koncept, dla igraszki, czyniąc sobie zabawę z tego, aby przełożyć przyjemność nad interes.

Stosując się do woli hrabiego, nie przywdział więc żałoby. Upokarzający zawód czekał Lafcadio u dostawców margrabiego de Gesvres, jego ostatniego wuja, kiedy się zjawił, aby skompletować swoją garderobę. Ponieważ się powołał na margrabiego, krawiec wydobyl kilka rachunków, które margrabia zaniedbał zapłacić. Lafcadio miał wstręt do naciągania: natychmiast udał, że właśnie przychodzi uregulować te rachunki, i zapłacił gotówką swoje nowe ubrania. To samo powtórzyło się u szewca. Co się tyczy bielizny, Lafcadio uznał za bezpieczniejsze zwrócić się do innego magazynu.

“Paradny ten wujaszek de Gesvres! Gdybym tylko miał jego adres! Zrobiłoby mi przyjemność posłać mu pokwitowane rachunki — pomyślał Lafcadio. — To by mi zyskało jego pogardę; ale jestem Baraglioul i odtąd, hultaju margrabio, wyrzucam cię z mego serca!”

Nic go nie zatrzymywało w Paryżu ani nigdzie; jadąc przez Włochy bez pośpiechu, dążył do Brindisi, skąd zamierzał wsiąść na jakiś statek Lloyd, idący na Jawę.

Siedząc sam w wagonie unoszącym go z Rzymu, Lafcadio narzucił mimo gorąca na kolana miękką pled herbacianego koloru, na którym z przyjemnością przyglądał się rękom swoim odzianym

w popielate rękawiczki. Przez miękką i włochatą materię ubrania oddychał dobrobytem wszystkimi porami; szyja poruszała się swobodnie w kołnierzyku dość wysokim, ale pół miękkim, z którego zwisał wąski, brązowy fular na koszulę w zakładki. Czuł się dobrze w swojej skórze, dobrze w swoim ubraniu, dobrze w swoich trzewikach — gibkich mokasynach, zrobionych z tego samego zamszu co rękawiczki; w tym miękkim więzieniu noga jego napinała się, prężyła, czuła, że żyje. Spuszczony na oczy kastorowy kapelusz odcinał go od krajobrazu; pykał z jałowcowej fajeczki, dając swobodny bieg myślom. Myślał:

“Ta stara, która mi pokazywała nad głową błękitną chmurkę, mówiąc: «Będzie deszcz, ale nie dzisiaj!...» — ta stara, której worek wziętem na ramiona (przez kaprys Lafcadio szedł cztery dni pieszo przez Apeniny, od Bolonii do Florencji, nocując w Covigliajo) i którą uściskałem na szczycie zbocza... oto coś z tego, co proboszcz z Covigliajo nazwał: dobre uczynki. Byłbym ją równie dobrze udusił — ręką, która nie zadrży — kiedym uczułem tę brudną, pomarszczoną skórę pod moimi palcami... Och, jak ona głaskała mój rękaw, aby strzepnąć kurz, powiadając: “Figlio mio! Carino!” Skąd mi się wzięła ta intensywna radość, kiedy później, cały jeszcze spocony, w cieniu wielkiego kasztana, ale nie paląc, wyciągnąłem się na mchu? Czułem, że mam objęcie dość szerokie, aby ucisnąć całą ludzkość; lub zadławić ją może... Jakże to niewiele, życie ludzkie! I jak łatwo naraziłbym swoje, gdyby się nadarzyła okazja ryzyka, przygody!... Nie mogę przecież zostać alpinistą albo lotnikiem... Co by mi poradził ten hemoroidalny Julius?... Szkoda, że on jest taki obraźliwy! Tak bym lubił mieć brata.

Biedny Julius! Tylu ludzi pisze, a tak mało ludzi czyta! To fakt: czyta się coraz to mniej... o ile mam sądzić po sobie... To się skończy katastrofą, jakąś piękną, straszliwą katastrofą: cisną wszelki druk do wody, i będzie cud, jeżeli najlepsze nie połączy się na dnie z najgorszym.

Ciekawe byłoby wiedzieć, co by powiedziała stara, gdybym ją zaczął dusić... Człowiek wyobraża sobie, «co by się stało, gdyby», ale zawsze zostanie mała szparka, przez którą przedostaje się nieprzewidziane. Nic się nie dzieje nigdy zupełnie tak, jakby się przypuszczało... To właśnie skłania mnie do działania... Robi się tak mało!... Niech będzie wszystko, co może być — w ten sposób tłumaczę sobie Stworzenie... Roz-kochany w tym, co by mogło być... Gdybym był Państwem, kazałbym się zamknąć.

Niezbyt olśniewająca owa korespondencja pana Gasparda Flamand, którą odebrałem jako własną na poste restante w Bolonii. Nic, co by warte było trudu odsyłania mu jej.

Boże! Jak mało spotyka się ludzi, których walizy miałyby się ochotę splądrować!... A jednak jak mało jest ludzi, u których takim a takim słowem lub gestem nie wywołałoby się jakiejś dziwacznej reakcji!... Ładna kolekcja marionetek: ale, na honor! nitki są zanadto widoczne. Spotyka się na ulicach samych chłystków lub gburów. Czy to jest godne przyzwoitego człowieka, pytam się ciebie, Lafcadio, brać całą tę farsę poważnie?... Ech, pakujemy manatki, jest czas! Jazda do nowego świata; opuścimy Europę zostawiając ślad bosej pięty na ziemi!... Jeżeli jest jeszcze gdzie na Borneo, w głębi lasów, jakiś zapóźniony antropopitek, pójdziemy tam obliczać zasoby możebnej ludzkości!...

Byłbym chętnie zobaczył Protosa. Zapewne puścił się do Ameryki. Cenił, jak twierdził, jedynie barbarzyńców z Chicago... Nie dosyć lubieżne, jak na mój smak, te wilki: ja mam naturę kocią.

Mniejsza.

Proboszcz z Covigliajo, poczciwina, nie miał zbytniej ochoty deprawować dzieciaka, z którym rozmawiał. Z pewnością poczuwał się do opieki nad nim. Chętnie bym się z nim stowarzyszył; nie z proboszczem, do kata, ale z malcem... Jakie piękne oczy wlepił we mnie! Oczy, które szukały równie niespokojnie mojego spojrzenia jak moje oczy jego; ale odwracałem je natychmiast... Był ledwie o jakie pięć lat młodszy ode mnie. Czternaście do szesnastu lat, nie więcej... Czym ja byłem w tym wieku? *Stripling* pełen pożądliwości, którego lubiłbym spotkać dziś; sądzę, że bardzo bym się sobie podobał... W pierwszym okresie Faby bardzo się wstydził swojego feblika do mnie: dobrze zrobił, że się wypowiedział mojej matce; ulżyło mu to. Ale jak mnie drażniła jego powściągliwość!... Uśmieliśmy się później w Aurčs, kiedy mu to opowiedziałem w namiocie... Doprawdy, chętnie bym go ujrzał dzisiaj; szkoda, że umarł. Mniejsza.

Faktem jest, że starałem się zrazić do siebie proboszcza. Szukałem, co by mu powiedzieć przykrego, i wszystko, co mówiłem, było urocze... Jakże mi jest trudno nie być czarującym! Nie mogę przecie walać sobie twarzy łupką orzecha, jak mi radziła Karola, ani też zacząć jeść czosnek!... Och, nie myślmy już o tej biednej dziewczynie! Jej zawdzięczam najmizerniejsze z moich uciech... Och! Skąd się bierze ten dziwny starzec?"

Przez drzwiczki, wychodzące na korytarz, zjawił się Amedeusz Fleurissoire.

Fleurissoire jechał sam w przedziale aż do stacji Frosinone. Na tym przystanku wsiadł do wagonu Włoch w średnim wieku; usiadł niedaleko niego i zaczął mu się przyglądać z ponurą miną, która rychło skłoniła Amedeusza do odwrotu.

W sąsiednim przedziale, wręcz przeciwnie, młody wdzięk Lafcadio pociągał go.

"Och, jaki miły chłopiec, prawie dziecko jeszcze! — pomyślał. — Pewnie jedzie na wakacje. Jaki on dobrze ubrany! Co za niewinne oczy. Jakież to będzie wytchnienie móc się wyzbyć swojej nieufności! Gdyby umiał po francusku, chętnie bym się z nim wdał w rozmowę..."

Usiadł na wprost Lafcadio, w kącie koło okna. Lafcadio podniósł nieco rondo kapelusza i zaczął mu się przyglądać martwym, na pozór obojętnym okiem.

"Cóż może być wspólnego pomiędzy tą szpetną małpą a mną? — myślał. — Co on robi za filuterne miny. Czego on się tak do mnie uśmiecha? Czy to możliwe, aby istniały kobiety skłonne pieścić starców?... Bardzo by się z pewnością zdumiał dowiadując się, że ja umiem płynnie czytać, pisane albo drukowane, na wywrót albo pod światło, w lustrze albo na bibule; trzy miesiące studiów i dwa lata ćwiczenia, i to przez miłość sztuki! Cadio, mój chłopcze, oto nastęrcza się problem: zahaczyć się o ten los. Ale jak?... Mam! Poczęstuję go pastylką miętową. Przyjmie czy nie, zobaczymy w każdym razie, w jakim języku".

— *Grazio!grazio!*— podziękował Fleurissoire.

"Nic się nie da zrobić z tym tapirem. Śpijmy!" — powiada do siebie Lafcadio i, nasuwając kapelusz na oczy, próbuje zmienić w sen pewne wspomnienie swojej młodości:

Widzi samego siebie, z czasów gdy go nazywano Cadio, w zapadłym zamku w Karpatach, gdzie mieszkali przez dwa sezony w towarzystwie Włocha Baldi i księcia Włodzimierza Biełkowskiego. Pokój Lafcadio jest na końcu korytarza, dopiero pierwszy rok śpi z dala od matki... Widzi mosiężną klamkę u drzwi, w kształcie głowy lwa, przybitą grubym gwoździem... Och, jakże dokładna jest pamięć jego wrażeń!... Jednej nocy zbudzono go z głębokiego snu; zdaje mu się, że śni jeszcze, widząc przy łóżku wujka Włodzimierza, który mu się wydaje jeszcze olbrzymszy niż zwykle, istny koszmar, w obszernym rudym kaftanie, z obwisłymi wąsami, w dziwacznej szlafmicy, sterczącej niby czapka perska i przedłużającej go w nieskończoność. Trzyma w ręce ślełą latarkę, którą stawia na stole przy łóżku, obok zegarka Cadia. Pierwszą myślą Cadia było, że matka jego umarła albo zachorowała; już ma pytać Biełkowskiego, kiedy ten kładzie palec na ustach i daje mu znak, aby wstał. Dzieciak kładzie szybko kąpielowy płaszcz, który wuj wziął z krzesła i podał mu, wciąż ze zmarszczonymi brwiami i z miną wcale nie do żartów. Ale Cadio ma tak wielkie zaufanie do Władi, że nie boi się ani przez chwilę; wzuwa pantofle i idzie za nim, bardzo zaintrygowany jego zachowaniem się i jak zawsze gotów do zabawy.

Wychodzą na korytarz: Włodzimierz posuwa się wolno, tajemniczo, trzymając daleko przed sobą latarnię; rzekłby ktoś, że oni dopełniają jakiegoś obrządku albo idą z procesją. Cadio chwieje się trochę, bo jeszcze jest pijany od snów, ale niebawem ciekawość rozjaśniła jego mózg. Zatrzymują się chwilę pod drzwiami matki, nadstawiając ucha; żadnego szmeru, dom śpi. Przybywszy do sieni, słyszą chrapanie służącego, którego izdebka ma drzwi w pobliżu strychu. Schodzą. Władi miękko stawia nogi na stopniach; za najmniejszym skrzypnięciem odwraca się z miną tak wściekłą, że Cadio ledwie się może wstrzymać od śmiechu. Pokazuje specjalnie jeden stopień, dając znak, aby go przebyć, tak poważnie, jakby groziło jakieś niebezpieczeństwo. Cadio nie psuje swojej przyjemności pytaniem, czy te ostrożności są potrzebne; wchodzi w styl i sunąc koło poręczy przebywa stopień... Władi bawi go tak szalenie, że poszedłby za nim w ogień.

Kiedy znaleźli się na parterze, na przedostatnim stopniu, siadają obaj, aby wytchnąć przez chwilę. Władi potrząsa głową i wydaje lekkie westchnienie nosem, jak gdyby mówiąc: "Och! to się nam udało!" Idą dalej. Cóż za ostrożność pod drzwiami salonu! Latarnia, którą teraz trzyma Cadio, oświetla pokój tak dziwacznie, że dzieciak zaledwie może go poznać; wydaje mu się olbrzymi; trochę księżycy wślizguje się przez szczelinę okiennicy; wszystko kąpie się w nadprzyrodzonym spokoju; rzekłbyś, staw, w który ma się rzucić potajemnie jastrzębia; i poznaje dobrze i na swoim miejscu każdą rzecz, ale po raz pierwszy rozumie ich dziwność.

Władi zbliża się do fortepianu, otwiera go, muska końcem palców parę klawiszy, które odpowiadają bardzo słabo. Naraz wieko wymyka się i spadając robi straszliwy hałas. (Lafcadio wzdyga się jeszcze na myśl o tym.) Władi rzuca się ku latarni, którą ściemnia, potem pada na fotel; Cadio wślizguje się pod stół; i obaj siedzą długo w ciemności, bez ruchu, nasłuchując... ale nic; nic nie ruszyło się w domu; w oddali pies szczeka do księżycy. Wówczas powoli, pomału Władi robi trochę światła.

W sali jadalnej z jaką on miną przekręca klucz u kredensu! Dziecko wie dobrze, że to tylko zabawa, ale wuj zdaje się w nią wierzyć. Wciąga nosem, jak gdyby dla zwietrzenia, gdzie najlepiej pachnie; bierze butelkę tokaju, nalewa dwa małe kieliszki, w których ledwie można umoczyć biszkopt; trąca się, z palcem na ustach; kryształ dźwięczy leciutko... Po zakończeniu nocnej uczy

Wladi stara się wszystko doprowadzić do porządku, płucze z Cadiem kieliszki w wiaderku, wyciera je, zamyka butelkę, zamyka puszkę z biszkoptami, strzepuje starannie okruchy, patrzy ostatni raz, czy wszystko w szafie jest na swoim miejscu... Ani widu, ani słychu.

Wladi odprowadza Cadia do jego pokoju i żegna go głębokim ukłonem. Cadio podejmuje swój sen tam, gdzie go pozostawił, i spyta sam siebie nazajutrz, czy mu się to wszystko nie śniło.

Szczególna zabawa dla dziecka! Co by o tym myślał Julius?...

Lafcadio, mimo że z zamkniętymi oczami, nie śpi; nie może zasnąć.

"Ten starowina, którego czuję obok, myśli, że ja śpię. Gdybym rozchylił oczy, ujrzałbym, jak on patrzy na mnie... Protos twierdzi, iż bardzo trudno jest udawać, że się śpi, równocześnie dając baczenie; twierdzi że zawsze potrafi rozpoznać udany sen po tym lekkim drganiu powiek... które powściągam w tej chwili. Sam Protos złapałby się."

Tymczasem słońce zaszło; już bladły ostatnie promienie jego chwały, którą Fleurissoire oglądał ze wzruszeniem. Naraz, na sklepionym suficie wagonu, zabłysła w lampie elektryczność; światło zbyt brutalne przy tym łagodnym zmierzchu; równocześnie, z obawy, aby blask nie zmaćcił snu sąsiada, Fleurissoire zakręcił wyłącznik, co nie spowodowało całkowitej ciemności, ale odprowadziło prąd głównej lampy do niebieskiej lampki nocnej. Na gust Amedeusza, ta niebieska ampulka dawała jeszcze za wiele światła; zakręcił jeszcze raz, lampka zgasła, ale natychmiast zapaliły się dwa boczne kinkiety, dokuczliwsze od środkowej lampy; jeszcze jeden ruch, i lampka nocna zapłonęła znowu; poprzestał na tym.

"Czy on skończy raz bawić się z tym światłem? — myślał Lafcadio zniecierpliwiony. — Co on teraz robi? (Nie, nie podniosę powiek.) Stoi. Czyżby go nęciła moja walizka? Brawo! Stwierdza, że jest otwarta. Po to, aby zaraz zgubić klucz, czy warto było kazać robić w Mediolanie skomplikowany zamek, który musiano rozbijać w Bolonii! Kłódkę przynajmniej da się zastąpić... Niechże mnie czarci porwą; on zdejmuje marynarkę? Spójrzmyż, co on robi".

Nie zwracając uwagi na walizkę Lafcadia, Fleurissoire, całkowicie pochłonięty swoim nowym kołnierzykiem, zdjął marynarkę, aby go móc łatwiej zapiąć; nakrochmalony perkal, sztywny jak karton, opierał się wszystkim jego wysiłkom.

"Nie ma miny zbyt radosnej — powiadał sobie Lafcadio. — Musi cierpieć na jakąś fistułę albo na inne sekretne cierpienie. Mamż mu pomóc? Nie da sobie rady sam."

Nareszcie! Kołnierz przepuścił w końcu spinkę. Wówczas Fleurissoire wziął krawat z poduszki, na której położył go obok kapelusza, marynarki i mankietów, i zbliżywszy się do drzwi, starał się odróżnić w szybie — niby Narcyz w fali — swoje odbicie od krajobrazu.

"Ciemno mu".

Lafcadio zapalił światło. Pociąg jechał wzdłuż skarpy, którą widać było przez szyby, oświetloną światłem tryskającym z każdego przedziału: tworzyło to szereg jasnych kwadratów, które tańczyły wzdłuż toru, zmieniając kształt wedle każdej odmiany terenu. Pośród jednego z nich widać było drgający nikły cień Amedeusza; inne kwadraty były puste.

“Kto by zobaczył? — myślał Lafcadio. — Mam tutaj, tuż pod ręką, ten podwójny zamek, który mogę z łatwością przekręcić; te drzwi, które, otworzone nagle pozwoliłyby mi runąć; wystarczyłoby lekkie pchnięcie; spadłby w ciemność jak martwy kłoc, nie usłyszano by nawet krzyku... A jutro, w drogę na wyspy!... Któż by wiedział?”

Włożywszy krawat — mały gotowy motylek — Fleurissoire wziął jeden mankiet i wsuwał go na prawą rękę; czyniąc to, oglądał ze swojego miejsca jedną z czterech fotografii, które zdobiły przedział, jakiś nadmorski pałac.

“Zbrodnia bez motywu — myślał dalej Lafcadio — cóż za kłopot dla policji! Zresztą, na tej przekłętej skarpie ktokolwiek z sąsiedniego przedziału może zauważyć otwieranie drzwiczek i widzieć koziołkujący cień Chińczyka. Przynajmniej firanki od korytarza są zasunięte... Zresztą, nie tyle wypadków jestem ciekawy, ile samego siebie. Niejeden, który uważa się za zdecydowanego na wszystko, w obliczu czynu cofnie się... Jakże daleko jest od wyobrażenia do faktu! I tak samo nie ma się prawa poprawienia ruchu jak w szachach. Ba, gdyby obliczyć wszelkie ryzyko, gra straciłaby swój urok!... A skarpa się kończy. Jesteśmy na moście, zdaje się; jakaś rzeka...”

Na tle szyby, obecnie czarnej, obrazy odbijały się wyraźniej. Fleurissoire pochylił się, aby sprawdzić położenie krawata.

“Tu, pod moją ręką, ten podwójny rygiel chodzi, dalibóg! jeszcze łatwiej, niżbym przypuszczał. Roztargniony jest, patrzy daleko przed siebie... Jeżeli zdołam nie spiesząc się doliczyć do dwunastu, zanim ujrzę we wsi jakieś światło, tapir jest ocalony. Zaczynam: raz, dwa, trzy, cztery (wolno, wolno!), pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć... Dziesięć, światło!...”

II

Fleurissoire nie wydał krzyku. Pchnięty przez Lafcadię w obliczu rozwartej nagle przed nim przepaści, zrobił szeroki gest, aby się czegoś chwycić. Lewą ręką chwycił się gładkiej ramy drzwiczek, podczas gdy — na wpół odwrócony — zarzucił prawą rękę ponad Lafcadiem daleko wstecz, miotając pod ławkę, w kąt wagonu, drugi mankiet, który właśnie wkładał.

Lafcadio uczył, że mu na kark spada ohydny szpon; spuścił głowę i pchnął drugi raz, niecierpliwiej niż poprzednio: paznokcie przeorały mu szyję; Fleurissoire zdołał się już tylko ucześcić

kastorowego kapelusza, który pochwycił rozpaczliwie i który uniósł z sobą padając.

— A teraz zimnej krwi — rzekł sobie Lafcadio. — Nie trzaskać drzwiami, mógłby ktoś usłyszeć obok.

Z wysiłkiem przyciągnął drzwiczki ku sobie, pod wiatr, potem zamknął je cicho.

“Zostawił mi swój wstrętny płaski kapelusz, który za chwilę kopnięciem nogi miałem wysłać za nim; ale zabrał mi mój, niech mu służy. Bardzo przezornie usunąłem z niego inicjały!... Ale została firma magazynu, w którym nie zamawia się co dzień kastorowych kapeluszy... Tym gorzej, *pièce touchée*... Niech myślą, że to wypadek... Nie, skoro zamknąłem drzwiczki... Zatrzymać pociąg?... Ech, ech! Cadio, bez poprawek; wszystko jest tak, jak chciałeś.

Dowód, że całkowicie panuję nad sobą: sprawdzę najpierw spokojnie, co przedstawia fotografia, którą ten stary oglądał przed chwilą... Miramar! Nie mam najmniejszej ochoty zwiedzać tego... Duszno tutaj”.

Otworzył okno.

“Bydlę podrapało mnie. Krwawię... Bardzo boli. Trzeba trochę wody; toaleta jest na końcu korytarza na lewo. Weźmy drugą chustkę”.

Ściągnął z siatki walizę i otworzył ją na ławce, w miejscu, gdzie poprzednio siedział.

Jeśli się z kim minę w korytarzu: spokój!... Nie, serce mi już nie bije. Idźmyż... A, jego marynarka; mogę ją schować łatwo pod moją. Papiery w kieszeni: będę miał zajęcie na resztę drogi”.

Była to biedna wysłużona marynarka, brunatnego koloru, z rzadkiego, szorstkiego i pospolitego sukna. Nie bez obrzydzenia Lafcadio zawiesił ją na wieszaku w ciasnej toalecie, gdzie się zamknął: po czym, pochylony nad miednicą, zaczął się oglądać w lustrze.

Szyja była w dwóch miejscach dość brzydko porysowana; wąska, czerwona smuga szła od karku i kończyła się nad lewym uchem; druga, krótsza — proste zadrapanie — dwa centymetry ponad tamtą, szła prosto do ucha, które naderwała trochę. Krwawiło, ale mniej, niżby się mógł obawiać; ból, którego nie czuł zrazu, odezwał się dość żywo. Zmaczał chustkę, zmył krew, po czym wyprał chustkę.

“Nie powalałem sobie kołnierzyka — pomyślał poprawiając odzież — wszystko dobrze”.

Miał wyjść; w tej chwili lokomotywa wydała gwizd; sznur świateł przemknął za matową szybą klozetu. Była to Kapua. Wysiąść na tej stacji, tak bliskiej wypadku, i pobiec w ciemność po swój kapelusz... ta myśl olśniła go. Żałował bardzo swojego kapelusza, miękkiego, lekkiego, jedwabistego, ciepłego i chłodnego zarazem, nie gniotącego się, o tak dyskretnej elegancji. Ale ponad wszystko brzydził się niezdecydowaniem i zachował od wielu lat, niby talizman, kość od triktraka, którą swego czasu darował mu Baldi; nosił ją zawsze przy sobie, miał ją w kieszeni kamizelki:

Jeżeli wyrzucę sześć — rzekł wyjmując kostkę — wysiadam".

Wyrzucił pięć.

“Wysiadam i tak. Prędko! Marynarka denata!... A teraz, moja waliza”.

Pobiegł do przedziału.

Och! Wobec dziwności faktu, jakże wykrzyknik wydaje się bezużyteczny! Im bardziej zdumiewające jest wydarzenie, tym prostsza będzie moja opowieść. Powiem tedy po prostu: kiedy Lafcadio wrócił do przedziału po walizę, walizy już nie było.

Sądził zrazu, że się pomylił, wyszedł na korytarz... Ależ tak! Tutaj był przed chwilą. Oto widok Miramar... A więc... Skoczył do okna i zdawało mu się, że śni: na peronie, niedaleko jeszcze od wagonu, waliza jego oddalała się spokojnie w towarzystwie rosnącego jegomościa, który unosił ją z wolna.

Lafcadio chciał skoczyć za nim; gest, który uczynił, aby otworzyć drzwiczki, stracił do jego nóg brązową marynarkę,

“O, do licha! O, do licha! Jeszcze trochę, a byłbym wpadł!... Bądź co bądź, ten filut byłby szedł trochę szybciej, gdyby przypuszczał, że ja go mogę gonić. Czyżby widział?...”

Kiedy się pochylał naprzód, kropla krwi spłynęła mu po twarzy.

“Bierz lichu walizę! Kostka dobrze powiedziała: nie powinienem wysiadać tutaj”.

Zamknął drzwi i usiadł z powrotem.

“Nie mam żadnych papierów w walizie, a bielizna nie jest znaczona; cóż ryzykuję?... Mniejsza: trzeba siadać na statek możliwie najszybciej; to będzie może trochę mniej zabawnie, ale z pewnością o wiele rozsądniej”.

Tymczasem pociąg ruszył.

“Nie tyle walizy żałuję... ile kapelusza, który byłbym chciał odzyskać. Nie myślmy już o tym”.

Nabił nową fajeczkę, zapalił, po czym, zapuszczając rękę w kieszeń drugiej marynarki, wyjął naraz list Arniki, karnet agencji Cooka i żółtą kopertę, którą otworzył.

“Trzy, cztery, pięć, sześć tysięcy! To nie interesuje uczciwego człowieka”. Włożył z powrotem banknoty do koperty, a kopertę w kieszeń marynarki.

Ale kiedy w chwilę później obejrzał karnet Cooka, Lafcadio zdumiał się. Na pierwszej karcie widniało nazwisko Julius Baraglioul”.

“Czy ja oszalałem? — pomyślał. — Co za związek z Juliusem?... Bilet skradziony?... Nie,

niemożliwe. Pożyczony, bez żadnej wątpliwości. Narobiłem może bigosu, ci starcy są bardziej poplątani, niż się przypuszcza..."

Następnie, drżąc z ciekawości, otworzył list Arniki. Wypadek stawał się zbyt dziwny; Lafcadio zaledwie mógł przykuć swoją uwagę; zapewne, nie zdołał ustalić pokrewieństwa czy stosunków między Juliusem a tym starym, ale zrozumiał bodaj jedno: że Julius jest w Rzymie. Natychmiast powziął decyzję: ogarnęła go gwałtowna chęć ujrzenia brata, szalona ciekawość stania się świadkiem oddziaływania całej przygody na ten spokojny i logiczny umysł.

"Postanowione! Dziś wieczór nocuję w Neapolu, odbieram bagaż i jutro wracam pierwszym pociągiem do Rzymu. To będzie z pewnością mniej rozsądne, ale może trochę zabawniejsze".

III

W Neapolu Lafcadio stanął w hotelu koło stacji; wziął ze sobą bagaż, ponieważ podróżni zajeżdżający bez bagaży są podejrzani, a jemu zależało na tym, aby nie ściągać uwagi; potem pobiegł kupić sobie parę przedmiotów toaletowych, których mu brakowało, oraz kapelusz mogący zastąpić ohydny kapelusz słomkowy (za ciasny zresztą na jego głowę), który mu zostawił w spadku Fleurissoire. Chciał również kupić rewolwer, ale musiał odłożyć ten sprawunek do jutra, już zamykano sklepy.

Pociąg, którym chciał jechać nazajutrz, odjeżdżał wcześniej; przybywało się do Rzymu na śniadanie...

Zamiarem jego było odszukać Juliusa, dopiero kiedy pisma zaczęły mówić o zbrodni. "Zbrodnia". To słowo wydawało mu się raczej dziwne; a już zupełnie niewłaściwe, w odniesieniu do niego, słowo "zbrodniarz". Wolał już "awanturnik", słowo równie podatne jak jego kastorowy kapelusz, którego rondo mógł wyginać wedle ochoty.

Poranne pisma nie pisały jeszcze o wypadku. *Lafcadio* oczekiwał z niecierpliwością wieczornych; pilno mu było zobaczyć Juliusa i czuć, że rozpoczyna się partia; na razie, w oczekiwaniu, nudził się niby dziecko bawiące się w chowanego, które nie chce oczywiście, aby je znaleziono, ale chce bodaj, aby go szukano. Był to mętny stan, którego nie znał jeszcze; i ludzie, o których ocierał się na ulicy, wydawali mu się dziwnie płascy, niemili i wstrętli.

Z nadejściem wieczoru kupił "Corriere" u chłopca na Corso; potem wszedł do restauracji, ale jakby na przekór i aby zaostrzyć swoją ciekawość, zmusił się najpierw do spożycia obiadu, zostawiając gazetę złożoną obok siebie na stole; potem wyszedł i znowuż na Corso, zatrzymując się przed oświetloną wystawą, rozwinął gazetę. Ujrzał na drugiej stronie słowa stanowiące tytuł kroniki:

ZBRODNIA, SAMOBÓJSTWO... CZY WYPADEK

Potem odczytał te słowa, które podajemy w przekładzie:

Na stacji w Neapolu funkcjonariusze kolejowi znaleźli w wagonie pierwszej klasy pociągu przybyłego z Rzymu ciemną męską marynarkę. W kieszeni marynarki otwarta żółta koperta zawierała sześć banknotów po tysiąc franków; żadnego innego papieru, który by pozwolił utożsamić właściciela marynarki. Jeżeli zachodzi zbrodnia, niełatwo wytłumaczyć fakt, że tak znaczna suma pozostała w ubraniu ofiary; zdaje się to wskazywać co najmniej, że zbrodnia nie miała za pobudkę kradzieży.

Żadnych śladów walki nie dało się stwierdzić w wagonie; ale odnaleziono pod ławką mankiet z podwójnym guzikiem wyobrażającym dwie kocie głowy, połączone z sobą połączonym łańcuszkiem i wycięte w półprzezroczystym agacie, z rodzaju, który jubilerzy nazywają "pierre de lune".

Zarządzono energiczne poszukiwania wzdłuż toru.

Lafcadio zmiął dziennik.

Co! Teraz spinki Karoli! Ten starzec to istny dom schadzek.

Obrócił stronicę i ujrzał pod "Ostatnią chwilą":

NAJŚWIEŻSZE

TRUP PRZY TORZE

Nie czytając dalej, Lafcadio pobiegł do Grand Hotelu.

Włożył do koperty bilet, gdzie pod swoim nazwiskiem — Lafcadio Wluiki — nakreślił te słowa: "zapytuje, czy hrabia Julius de Baraglioul nie potrzebuje sekretarza".

Po czym kazał oddać.

Lokaj przyszedł do Lafcadio do hallu i powiodłszy go przez korytarze wprowadził do pokoju hrabiego.

Na pierwszy rzut oka Lafcadio ujrzał w kącie pokoju porzucony egzemplarz "Corriere della Sera". Na stole, na środku pokoju, duży otwarty flakon wody kołońskiej wydzieliał silny zapach. Julius otworzył mu ramiona.

— Lafcadio! Drogi chłopcze... jakżem rad, że cię widzę!

Zburzone włosy hrabiego bujały na skroniach: zdawał się wzruszony; trzymał w ręce chustkę do nosa w czarne groszki i wachlował się nią.

— Jesteś z pewnością osobą, której bym się najmniej spodziewał, ale zarazem tą, którą najbardziej pragnąłem oglądać dziś wieczór. Czy to pani Karola powiedziała ci, że jestem tutaj?

— Dziwne pytanie!

— No tak, bo właśnie ją ujrzałem... Zresztą, nie jestem pewien, czy ona mnie widziała.

— Karola! Jest w Rzymie?

— Nie wiedziałaś?

— Przybywam w tej chwili z Sycylii i pan jest pierwszą osobą, którą widzę. Tamtej osoby nie pragnę widzieć.

— Wydała mi się bardzo ładna.

— Nie jest pan wybredny.

— Chcę powiedzieć: bardziej niż w Paryżu.

— To egzotyzm; ale jeżeli pan jest przy apetycie...

— Lafcadio, takie rozmowy są między nami nie na miejscu.

Julius chciał przybrać surową minę, ale zdołał się tylko skrzywić, po czym podjął:

— Jak widzisz, jestem bardzo podniecony. Znajduję się w zwrotnym punkcie swojego życia. Głowę mam w ogniu, czuję w całym ciele jakiś wstrząs, jak gdybym miał się zmienić w parę. Od trzech dni, odkąd jestem w Rzymie, ściągnięty tu kongresem socjologicznym, brnę ze zdumienia w zdumienie. Twoje przybycie dobiło mnie. Nie wiem już, gdzie jestem.

Chodził wielkimi krokami, zatrzymał się przy stole, wziął flakon, nalał na chustkę strumień wonnego płynu, przyłożył kompres do czoła, przytrzymał go.

— Mój młody przyjacielu... pozwolisz, że cię tak nazwę... Zdaje mi się, że mam w garści moją

nową książkę! Sposób — mimo iż dość drastyczny — w jaki wyrażałeś się w Paryżu o “Dechu wyżyn”, pozwala mi przypuszczać, że nie będziesz na nią obojętny.

Nogi jego wykonały rodzaj piruetu, chustka spadła na ziemię; Lafcadio schylił się, aby ją podnieść, i podczas gdy się schylał, uczył, jak ręka Juliusa lekko kładzie się na jego ramieniu, tak jak to zrobiła niegdyś ręka starego Justusa Agenora. Lafcadio podniósł się z uśmiechem.

— Bardzo niedawno cię znam — rzekł Julius — ale dzisiaj nie waham się mówić do ciebie jak do...

Urwał.

— Słucham pana jak brat, panie de Baraglioul — odparł Lafcadio ośmielony — skoro pan raczy mi to proponować.

— Widzisz, Lafcadio, w środowisku, w którym żyję w Paryżu, wśród wszystkich tych, z którymi przestaję: światowców, księży, literatów, akademików, nie znajduję, prawdę mówiąc, nikogo, z kim bym mógł pomówić; chcę powiedzieć, komu bym mógł powierzyć nowe myśli, które mnie pochłaniają. Bo muszę ci się przyznać, że od naszego pierwszego spotkania mój punkt widzenia całkowicie się zmienił.

— A, to tym lepiej — rzekł impertynencko Lafcadio.

— Nie uwierzyłbyś, ty, który nie należysz do cechu, jak dalece błędna etykieta tamuje swobodny rozwój zdolności twórczych. Toteż nic nie ma odleglejszego od moich dawnych powieści niż to, co obmyślam teraz. Wymagałem od swoich figur logiki i konsekwencji i aby ją im zapewnić tym skuteczniej, wymagałem jej najpierw od samego siebie; to nie było naturalne. Raczej decydujemy się okaleczyć samych siebie niż być niepodobni do własnego portretu, który stworzyliśmy sobie kiedyś; to idiotyczne; tak czyniąc, ryzykujemy, że możemy sfałszować to, co najlepsze.

Lafcadio wciąż się uśmiechał oczekując, do czego Julius zmierza, i z rozbawieniem poznając odległe echa ich pierwszej rozmowy.

— Cóż ci powiem, Lafcadio? Pierwszy raz widzę przed sobą wolne pole... Czy rozumiesz, co znaczą te słowa: wolne pole?... Powiadam sobie, że już było wolne; powtarzam sobie, że jest nim wciąż i że dotąd wiązały mnie jedynie nieczyste względy, kariera, publiczność, wzgląd na niewdzięcznych sędziów, od których poeta daremnie oczekuje nagrody. Odtąd buduję już tylko na sobie. Odtąd oczekuję wszystkiego jedynie od siebie; oczekuję wszystkiego od szczerego człowieka; i żądam wszystko jedno czego, skoro równocześnie przeczuwam obecnie w sobie najdziwniejsze możliwości. Ostatecznie, to tylko na papierze, odważę się więc dać im swobodny bieg. Zobaczmy!

Oddychał głęboko, odrzucał głowę w tył, podnosił łopatkę nieomal tak, jakby to już było skrzydło, jak gdyby go już dławili nowe wzruszenia. Mówił bezładnie, ciszej:

— I skoro ci panowie z Akademii mnie nie chcą, dostarczę im niebawem słusznych powodów odtrącenia mnie; bo dotąd ich nie mieli. Nie mieli ich.

Przy skandowaniu ostatnich słów głos jego stał się nagle niemal ostry; urwał, po czym ciągnął spokojniej:

— Zatem, oto co planuję... Słuchasz mnie?

— Do samej głębi duszy — rzekł śmiejąc się wciąż Lafcadio.

— I podążasz za mną?

— Aż do piekieł.

Julius zwilżył na nowo chustkę, usiadł w fotelu; na wprost niego Lafcadio siadł okrakiem na krześle.

— Chodzi o młodego człowieka, którego chcę uczynić zbrodniarzem.

— Nie widzę trudności.

— O ho-ho! — rzekł Julius, któremu zależało na trudności.

— Ależ skoro pan jesteś powieściopisarzem, któż panu przeszkadza? Skoro się daje bieg fantazji, czyż nie może iść, gdzie jej się podoba?

— Im bardziej to, co roję, jest niezwykle, tym bardziej muszę dostarczyć motywów i wyjaśnień.

— Nietrudno znaleźć motywy zbrodni.

— Bez wątpienia... ale właśnie ja ich nie chcę. Nie chcę motywu zbrodni; wystarczy mi umotywować zbrodniarza. Tak, chcę go doprowadzić do bezinteresownej zbrodni; do żądzy zbrodni całkowicie nie umotywowanej.

Lafcadio zaczął baczniej nastawiać ucha.

— Weźmy go bardzo młodym; chcę, żeby wykwent jego natury ujawniał się w tym, że on działa zwłaszcza dla zabawy i że woli zazwyczaj przyjemność od korzyści.

— To może nie jest zbyt pospolite... — zaryzykował Lafcadio.

— Prawda? — rzekł Julius zachwycony. — Dodajmy, że znajduje przyjemność w tym, aby panować nad sobą...

— Aż do obłudy...

— Zaszczepmy mu pasję ryzyka.

— Brawo! — rzekł Lafcadio, coraz bardziej rozbawiony. — Jeżeli umie używać ucha

demonowi ciekawości, sądząc, że pański pupil jest kompletny.

W ten sposób, kolejno skacząc i wyprzedzając się nawzajem, robili wrażenie dwóch bawiących się i przeskakujących się kolejno chłopców.

Julius: — Widzę go najpierw, jak się ćwiczy; celuje w drobnych szelmostwach.

Lafcadio: — Niejeden raz pytałem sam siebie, jakim cudem on nie popełnia ich więcej. Prawda, że sposobności następują się zazwyczaj jedynie tym, którzy, będąc wolni od potrzeb, nie dają się skusić.

Julius: — Wolni od potrzeb; on należy do tej kasty, mówiłem już. Ale jego kuszą jedynie te okazje, które wymagają niejkiej zręczności, chytrłości...

Lafcadio: — I które z pewnością narażają go trochę.

Julius: — Mówiłem, że on się kocha w ryzyku. Poza tym ma wstręt do oszustwa; nie stara się niczego sobie przywłaszczyć, ale bawi go podstępnie przemieszczać przedmioty. Wkłada w to prawdziwy talent eskamotera.

Lafcadio: — Bezkarność ośmiela go...

Julius: — Ale też sprawia mu i zawód. Jeżeli go nie złapano, to znaczy, że sobie obrał za łatwą grę.

Lafcadio: — Podnieca się do ryzykowniejszej.

Julius: — Każę mu rozumować w ten sposób...

Lafcadio: — Czy pan jest pewny, że on rozumuje?

Julius, ciągnąc dalej: — Autor zbrodni zdradza się przez potrzebę, która go do niej skłoniła.

Lafcadio: — Powiedzieliśmy, że on jest bardzo zręczny.

Julius: — Tak; tym zręczniejszy, że będzie działał z zimną krwią. Pomyśl tylko: zbrodnia, której nie uzasadnia ani namiętność, ani potrzeba. Jego racja popełnienia zbrodni, to właśnie popełnić ją bez racji.

Lafcadio: — To pan uzasadnia jego zbrodnię, on ją po prostu popełnia.

Julius: — Nie ma żadnej racji posądzać o zbrodnię tego, kto ją popełnił bez racji.

Lafcadio: — Jest pan za subtelny. W punkcie, do którego go pan doprowadził, jest on tym, co się nazywa: człowiek wolny.

Julius: — Na łasce pierwszej sposobności.

Lafcadio: — Pilno mi go ujrzyć przy robocie. Co mu pan zaproponuje?

Julius: — Wiesz... wahałem się jeszcze. Tak; aż do dziś wieczora wahałem się... I nagle, w rubryce ostatnich wiadomości, dziennik przynosi mi najwierniej pożądany przykład. Opatrznościowa historia! To okropne: wyobraź sobie, że zamordowano mojego szwagra!

Lafcadio: — Jak to, ten mały staruszek w wagonie, to był...

Julius: — Amedeusz Fleurissoire, któremu pożyczyłem swojej karty, którego wsadziłem do pociągu. Na godzinę przedtem podjął sześć tysięcy franków w banku, że zaś miał je przy sobie, nie taił przede mną swoich obaw; miał czarne myśli, powiedzmy, przeczucia. Otóż w pociągu... ale czytałeś dziennik.

Lafcadio: — Tylko tytuł kroniki.

Julius: — Posłuchaj, przeczytam ci. (Rozwinął "Corriere".) Tłumaczę:

Policja, która czyniła energiczne poszukiwania wzdłuż toru kolejowego między Rzymem a Neapolem, odkryła dziś po południu w wyschłym korycie Volturno, pięć kilometrów od Kapui, ciało ofiary, do której z pewnością należała marynarka znaleziona wczorajszego wieczora w wagonie. Był to człowiek o skromnym wyglądzie, lat około pięćdziesięciu. (Wydawał się starszy, niż był.) Nie znaleziono przy nim żadnego dokumentu, który by pozwolił ustalić tożsamość. (To mi daje, na szczęście, czas odetchnąć.) Prawdopodobnie wyrzucono go z wagonu na tyle gwałtownie, że przeleciał przez poręcz mostu będącego w tym miejscu w naprawie i zastąpionego po prostu belkami. (Co za styl!) Most wznosi się o więcej niż piętnaście metrów nad rzeką, śmierć musiał spowodować upadek, bo ciało nie nosi śladu ran. Jest bez surduta, na lewej ręce mankiet podobny do tego, który znaleziono w wagonie, ale z brakującą spinką. (Co tobie? — Julius zatrzymał się: Lafcadio nie mógł wstrzymać żywego gestu, bo przebiegła mu przez głowę myśl, że spinkę usunięto po zbrodni. Julius czytał dalej:) Lewa ręka kurczowo zaciskała miękki filcowy kapelusz...

— Filcowy!... chamy! — mruknął Lafcadio.

Julius podniósł oczy od dziennika.

— Co ciebie dziwi?

— Nic, nic. Niech pan czyta.

...miękki filcowy kapelusz, o wiele za duży na jego głowę i który prawdopodobnie był kapeluszem napastnika; firmę magazynu starannie wycięto w skórzanej podszewce, gdzie brakuje kawałka o kształcie i wymiarach laurowego liścia...

Lafcadio wstał i pochylił się za Julusem, aby czytać przez jego ramię; a może aby pokryć swoją błądź. Nie mógł teraz wątpić: ktoś retuszował jego zbrodnię, ktoś się w to wmieszał, wyciął kawałek skóry: zapewne ów nieznanym, który uniósł jego walizę.

Tymczasem Julius czytał dalej:

... co zdaje się wskazywać premedytację w tej zbrodni. (Czemu właśnie tej zbrodni? Mój bohater mógł się ubezpieczyć na wszelki wypadek...) Natychmiast po stwierdzeniu policyjnym, trupa przewieziono do Neapolu, aby umożliwić stwierdzenie tożsamości. (Tak, wiem, że oni tam mają sposoby i zwyczaj przechowywania ciała bardzo długo...)

— Czy pan jest pewny, że to jest on? (Głos Lafcadio drżał lekko.)

— Jakże! Czekałem go dzisiaj na obiad.

— Dał pan znać policji?

— Jeszcze nie. Muszę najpierw uporządkować trochę swoje myśli. Włożywszy już żałobę, pod tym względem przynajmniej (mam na myśli: względem stroju) jestem spokojny; ale rozumiesz, że skoro raz się rozejdzie nazwisko ofiary, muszę uprzedzić całą rodzinę, wysłać depesze, rozpisać listy, zająć się klepsydrami, inhumacją, muszę się udać do Neapolu odebrać ciało... Och, drogi Lafcadio, przez wzgląd na ten kongres, na którym muszę być obecny, czy nie zechciałbyś przez prokurację przywieźć ciała w moim imieniu?

— Zobaczymy za chwilę.

— O ile, bądź co bądź, nie zrobiłoby to na tobie zbyt wielkiego wrażenia. Na razie oszczędzam mojej biednej szwagierce okrutnych godzin; z mglistych informacji dzienników, jak mogłaby przypuszczać?... Wracam do mego tematu: kiedy przeczytałem tę kronikę, powiedziałem sobie tak: znam motyw tej zbrodni, którą sobie wyobrażam tak dobrze, którą odtwarzam, którą widzę; znam pobudkę, która do niej skłoniła; i wiem, że gdyby nie było owej przynęty sześciu tysięcy franków, zbrodnia nie byłaby się spełniła.

— Ale przypuśćmy, że...

— Tak, nieprawdaż; przypuśćmy na chwilę, że nie było tych sześciu tysięcy franków lub że ich zbrodniarz nie wziął: i oto mój bohater.

Tymczasem Lafcadio wstał; podniósł gazetę, którą Julius upuścił, i obracając kartkę, rzekł:

— Widzę, że pan nie przeczytał "Ostatniej chwili": ten zbrodniarz właśnie nie wziął sześciu tysięcy franków — rzekł Lafcadio możliwie najspokojniej. — O, niech pan czyta: "To zdaje się wskazywać, że zbrodnia nie miała za pobudkę kradzieży".

Julius chwycił gazetę, którą mu podawał Lafcadio, przeczytał chciwie, po czym przesunął ręką przez oczy; usiadł, wstał gwałtownie, stanął nad Lafcadiem i chwytając go za obie ręce, krzyczał:

— Nie miała za pobudkę kradzieży! — I jakby w uniesieniu potrząsnął Lafcadiem jak wściekły. — Nie miała za pobudkę kradzieży! Ależ w takim razie...

Odepchnął Lafcadia, pobiegł na drugi koniec pokoju, wachlował się, bił się w czoło, wycierał nos.

— Ależ w takim razie, do kata, ja wiem, ja wiem, czemu ten bandyta go zabił! Och, nieszczęsny przyjaciel! Och, biedny Fleurissoire! Więc to, co mi mówił, było prawdą! A ja go już miałem za wariata. Ależ w takim razie to jest okropne.

Lafcadio, zdziwiony, czekał końca ataku; irytował się trochę, zdawało mu się, że Julius nie ma prawa tak się wymykać.

— Myślałem, że właśnie pan...

— Cicho siedź, nic nie wiesz. A ja, który tracę tu z tobą czas na śmiesznych hipotezach... Prędko, laskę, kapelusz...

— Dokąd pan pędzi...

— Do kata! Uprzedzić policję!

Lafcadio stanął w progu.

— Niech mi pan najpierw wytłumaczy — rzekł nakazująco. — Daję słowo, można by myśleć, że pan oszalał.

— To przed chwilą byłem szalony. Budzę się z mojego szaleństwa... Och, biedny Fleurissoire! Och, nieszczęsny przyjaciel! Święta ofiara! W sam czas śmierć jego zatrzymuje mnie na drodze buntu, bluźnierstwa. Odkupiło mnie jego poświęcenie. I ja się śmiałem z niego!...

Znów zaczął chodzić po pokoju; po czym zatrzymując się nagle i stawiając laskę i kapelusz koło flakona wody kolońskiej na stole, stanął wprost przed Lafcadiem.

— Chcesz wiedzieć, czemu bandyta go zabił?

— Sądziłem, że bez motywu.

Na to Julius, wściekły:

— Po pierwsze, nie ma zbrodni bez motywu. Pozbyto się go, ponieważ posiadał tajemnicę... którą mi zwierzył, tajemnicę ważną; o wiele nawet zbyt ważną, jak dla niego. Bali się go, rozumiesz? Oto co!... Och, łatwo ci śmiać się, tobie, któremu obce są sprawy wiary.

Po czym, blady, wyprostowany, dodał:

— Tajemnicę tę odziedziczyłem ja.

— Niech się pan strzeże, teraz pana będą się bali.

— Widzisz więc, że muszę zaraz uprzedzić policję.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł Lafcadio zatrzymując go znowu.

— Nie. Pozwól mi iść. Spieszę się straszliwie. Możesz być pewien, że teraz ja jestem przedmiotem tej ciągłej inwigilacji, która tak do rozpaczy przywodziła mego biednego szwagra; możesz być pewien, że wykonują ją do tej chwili. Nie możesz mieć pojęcia, do jakiego stopnia ci ludzie są zręczni. Ci ludzie wiedzą wszystko, powiadam ci... Bardziej niż kiedykolwiek trzeba, abyś ty pojechał po ciało w moje miejsce... Przy dozorze, jakiego jestem przedmiotem, nie wiadomo, co by się ze mną mogło stać. Proszę cię o tę przysługę, Lafcadio, drogi chłopcze. — Złożył ręce, błagał. — Nie mam w tej chwili głowy, ale zasięgnę informacji, tak iż będę ci mógł dostarczyć całkiem formalnej prokuracji. Gdzie będę ci ją mógł posłać?

— Dla większej wygody wezmę pokój w tym hotelu. Do jutra. Niech pan pędzi.

Pozwolił Juliusowi oddalić się. Wzbierał w nim straszliwy niesmak, niemal nienawiść do siebie samego i do Juliusa; do wszystkiego. Wzruszył ramionami, potem wyjął z kieszeni karnet Cooka, wystawiony na nazwisko Baraglioul, a wyjęty z marynarki Amedeusza, oparł go na stole w widocznym miejscu o flakon wody kolońskiej, zgasił światło i wyszedł.

IV

Mimo wszystkich podjętych ostrożności, mimo zaleceń w urzędzie policji, Julius de Baraglioul nie mógł zapobiec niedyskrecji dzienników, które nie tylko rozgłosiły jego powinowactwo z ofiarą, ale wprost wymieniły hotel, gdzie mieszkał.

W dodatku poprzedniego dnia hrabia przeszedł chwile osobliwego wzruszenia, kiedy wróciwszy z urzędu około północy, znalazł w swoim pokoju położony na widocznym miejscu bilet Cooka, opiewający na jego nazwisko, a którym się posłużył Fleurissoire. Natychmiast zadzwonił; stojąc blady i drżący w korytarzu, poprosił służącego, aby zajrzał pod łóżko, bo nie śmiał zajrzeć sam. Pobieżne dochodzenie, które przeprowadził na miejscu, nie doprowadziło do żadnego wyniku; ale jak polegać na służbie wielkiego hotelu?... Mimo to, po nocy dobrze przespanej za zaryglowanymi drzwiami, Julius obudził się w lepszym usposobieniu; teraz opiekowała się nim policja. Napisał szereg listów i depeesz, które zaniósł sam na pocztę.

Kiedy wrócił, oznajmiono mu, że pytała się o niego jakaś dama; nie powiedziała nazwiska, czeka w *reading-room*. Julius udał się tam i z niemałym zdziwieniem zastał Karolę.

Nie w pierwszej sali, ale w drugiej, ustronniejszej, mniejszej i mniej oświetlonej, Karola siedziała przy bocznym stole; dla kontenansu przeglądała niedbale album. Widząc wchodzącego Juliusa, wstała, bardziej zawstydzona niż uśmiechnięta. Spod czarnego płaszczyka wyglądał stanik ciemny, skromny, prawie dystygowany; awanturniczy natomiast, mimo iż czarny, kapelusz charakteryzował ją w sposób raczej podejrzany.

— Uzna pan to za wielką śmiałość z mojej strony, panie hrabio. Nie wiem, skąd wzięłam odwagę, aby się zjawić w tym hotelu i pytać o pana; ale pan mi się tak grzecznie uklonił wczoraj... A przy tym to, co mam panu do powiedzenia, jest tak ważne...

Stała za stołem; Julius zbliżył się pierwszy i przez stół podał jej bezceremonialnie rękę.

— Czemu zawdzięczam przyjemność pani wizyty?

Karola spuściła głowę.

— Wiem, że pana spotkał cios...

Julius zrazu nie zrozumiał, ale widząc, że Karola wyciąga chustkę i przykłada ją do oczu, rzekł:

— Jak to! Pani z kondolencją?...

— Znałam pana Fleurissoire — odparła.

— A!

— Och! Od niedawna. Ale bardzo go lubiłam. Był taki uprzejmy, taki dobry. To nawet ja dałam mu te spinki do mankietów; wie pan, te, które opisano w gazecie; po tym zgadłam, że to on. Ale nie wiedziałam, że to był pański szwagier. Bardzo mnie to zdziwiło i wyobraża pan sobie, jaką mi to zrobiło przyjemność... Och, przepraszam, nie to chciałam powiedzieć...

— Niech się pani nie wstydzi, droga pani; chce pani zapewne powiedzieć, że pani jest rada z tej sposobności ujżenia mnie.

Bez odpowiedzi Karola ukryła twarz w chusteczce; wstrząsnęło ją łkanie. Julius czuł się w obowiązku ująć ją za rękę.

— I ja także — rzekł nieco wzruszony — i ja także, droga pani, proszę mi wierzyć... iż...

— Owego rana przed wyjazdem mówiłam mu, żeby uważał na siebie. Ale to nie było w jego naturze. Był zbyt ufny, pan wie.

— To był święty, droga pani, to był święty — rzekł Julius z zapałem, wydobywając również chustkę.

— Czułam to! — wykrzyknęła Karola. — W nocy, kiedy myślał, że ja śpię, wstawał, klękał przy łóżku i...

To bezwiedne wyznanie do reszty zmało spokój Juliusa; schował chustkę i, zbliżając się jeszcze, rzekł:

— Niech pani zdejmie kapelusz, droga pani.

— Dziękuję, nie zawadza mi.

— Ale mnie zawadza... Pozwoli pani...

Ale gdy Karola odsuwała się wyraźnie, opamiętał się.

— Niech mi pani pozwoli się zapytać, czy pani ma jakąś osobliwą przyczynę do obaw?

— Ja?

— Tak; kiedy pani powiedziała memu szwagrowi, aby się miał na baczności, pytam się, czy pani miała powody przypuszczać... Niech pani mówi szczerze: rano nigdy nie ma tu nikogo i nikt nie może nas usłyszeć. Czy pani kogo podejrzewa?

Karola spuściła głowę.

— Niech pani zrozumie, że to mnie szczególnie obchodzi — ciągnął wielomówny Julius — i niech pani stara się zrozumieć moje położenie. Wczoraj wieczór wróciwszy z urzędu, gdzie poszedłem złożyć zeznania, znajduję w moim pokoju, na stole, na samym środku stołu, bilet kolejowy, za którym ten biedny Fleurissoire podróżował. Bilet był na moje imię; te karty okrężne są ściśle imienne, źle zrobiłem, że mu jej pożyczyłem, ale nie o to tutaj chodzi... W tym fakcie odniesienia mi mojego biletu, cynicznie, do mojego pokoju, pod osłoną mojej chwilowej nieobecności, muszę widzieć wyzwanie, fanfaronadę, niemal zniewagę... która by mnie nie wzruszała, rozumie się samo przez się, gdybym nie miał słusznych przyczyn mniemać, że mnie z kolei oni mają na oku, a oto czemu: ten biedny Fleurissoire, pani przyjaciel, był w posiadaniu sekretu... strasznego sekretu... sekretu bardzo niebezpiecznego... którego od niego nie żądałem... którego wcale nie pragnąłem poznać... a który on z bardzo dotkliwą nierozwagą powierzył mi. A teraz pytam się pani: czy pani wie, kto jest ten, który dla zdławienia sekretu nie wahał się posunąć do zbrodni?

— Niech się pan uspokoi, panie hrabio; wczoraj wieczór oskarżyłam go przed policją.

— Panno Karolo, spodziewałem się tego po pani.

— Przynależ mi, że mu nie zrobi nic złego; powinien był dotrzymać obietnicy, byłabym i ja dotrzymała swojej. Teraz mam tego dość; może mi zrobić, co mu się podoba.

Karola zdradzała rosnące podniecenie. Julius okrążył stół i zbliżył się znów do niej.

— Swobodniej porozmawiamy może w moim pokoju.

— Och, proszę pana — rzekła Karola — powiedziałam już panu wszystko, co miałam do powiedzenia; nie chciałabym pana zatrzymywać dłużej.

Wciąż cofając się obesła stół i znalazła się blisko drzwi.

— Lepiej, abyśmy się rozstali teraz — odparł z godnością Julius, który chciał mieć zasługę tego oporu. — Och, chciałem powiedzieć jeszcze: gdyby pojutrze przyszła pani ochota być obecną na pogrzebie, lepiej byłoby, aby mnie pani nie poznawała.

Po tych słowach rozstali się, nie wymówiwszy nazwiska nie podejrzanego Lafcadio.

v

Lafcadio wiózł z Neapolu zwłoki Amedeusza Fleurissoire. Jechały żałobnym wozem, który przyczepiono do pociągu, ale do którego Lafcadio nie uważał za konieczne wsiąść sam. Bądź co bądź, dla *décorum*, umieścił się w przedziale niezupełnie najbliższym, bo ostatni wagon był wagonem drugiej klasy, ale przynajmniej tak blisko ciała, jak tylko pierwsza klasa pozwalała. Wyjechawszy z Rzymu rano, miał wrócić tego samego dnia wieczór. Niechętnie przyznawał się sam przed sobą do nowego uczucia, które niebawem ogarnęło jego duszę, niczego bowiem się tak nie wstydził jak nudy, owej sekretnej choroby, od której beztroskie apetyty jego młodości, a potem twarda konieczność ustrzegły go dotąd. Opuściwszy swój przedział z sercem próżnym nadziei i radości, wałęsał się wzdłuż korytarza, szarpany nieokreśloną ciekawością i szukając w półświadomie myślą, co by tu można podjąć nowego i niedorzecznego. Wszystko zdawało się niedostateczne jego pragnieniu. Nie myślał już o podróży, uznając niechętnie, że Borneo niezbyt go nęci; tak samo reszta Włoch; nie interesowały go już nawet następstwa jego przygody, wydawała mu się dziś kompromitująca i głupia. Wściekły był na tego Fleurissoire, że się lepiej nie bronił; buntował się przeciw tej mizernej fizys, byłby ją chciał wymazać z pamięci.

Natomiast byłby chętnie ujrzał zucha, który zabrał jego walizę: bajeczny kawalarz!... I jak gdyby go miał odnaleźć na stacji w Kapui, wychylił się z okna przebiegając oczami pusty peron. Ale czyżby go poznał? Widział go tylko z tyłu, już odległego, oddalającego się w mroku... Szedł za nim w wyobraźni nocą, jak dochodzi do łożyska Volturmo, odnajduje wstrętne trupa, obdziera go i jakby przez wyzwanie wycina w podszewce kapelusza — własnego kapelusza Lafcadio — kawałek skóry o kształcie i wymiarach laurowego liścia, jak pisały wytwornie gazety. Koniec końców, Lafcadio był bardzo wdzięczny swemu rabusiowi, że usunął ten "dowód rzeczowy" z adresem magazynu. Bez wątpienia, ten ograbiacz trupów sam miał interes w tym, aby na siebie nie ściągać uwagi, a jeżeli zamierzał mimo to posłużyć się swoim dowodem, na honor, to mogłoby być wcale zajmujące wejść z nim w układy.

Była już prawie noc. Garson z wozu restauracyjnego przechodził przez wagony, uprzedzając

podróżnych pierwszej i drugiej klasy, że obiad czeka. Bez apetytu, ale przynajmniej wyrwany na godzinę ze swojej bezczynności, Lafcadio udał się za paroma innymi, ale trzymając się dość daleko za nimi. Wóz restauracyjny był na przodzie. Wagony, które mijał Lafcadio, były puste; tu i ówdzie rozmaite przedmioty na ławkach oznaczały miejsca osób jedzących obiad; szale, poduszki, książki, gazety. Teczka adwokacka zatrzymała jego spojrzenie. Pewien, że nikt nie idzie za nim, Lafcadio zatrzymał się koło przedziału, potem wszedł. Zresztą, teczka nie interesowała go zbyt, przepatrzył ją jedynie z obowiązku sumienia.

Na wewnętrznej kieszonce teczka nosiła ten napis złotymi literami:

DEFOUQUEBLIZE

WYDZIAŁ PRAWA W BORDEAUX

Zawierała dwie broszury o prawie karnym i sześć numerów "Gazety Sądowej".

Jeszcze jakieś bydło na kongres! Tfu!" — pomyślał Lafcadio, który położył wszystko na swoim miejscu, po czym dołączył się do ogonka podróżnych udających się do restauracji.

Wątku dziewczynka i jej matka zamykały pochód, obie w grubej żałobie; bezpośrednio przed nimi szedł pan w tuzurku, w cylindrze, z długimi i gładkimi włosami i ze szpakowatymi bokobrodami; zapewne pan Defouqueblize, właściciel teczki. Posuwano się wolno, chwiejąc się w rytm wstrząsów pociągu. Na ostatnim zakręcie korytarza, w chwili gdy profesor miał się zapuścić w skórzaną harmonijkę, która łączy jeden wóz z drugim, silniejszy wstrząs zachwiał nim; aby odzyskać równowagę, uczynił nagły ruch, który stracił mu *pince-nez*, zerwawszy sznureczek. Stało się to w wąskiej sionce, którą tworzy korytarz przed drzwiami ustępu. Podczas gdy się schylił w poszukiwaniu swego "wzroku", pani i panienka przeszły. Przez parę chwil Lafcadio bawił się wysiłkami uczonego: ów, komicznie zakłopotany, wodził niespokojnie rękami po ziemi, pływał w abstrakcie, rzekłoby się: niedołączny taniec niedźwiadka albo też powrót do dzieciństwa i zabawa w "sadzenie kapusty". No, Lafcadio, bądź ludzki! Ulegnij swemu sercu, które nie jest zepsute. Przyjdź na pomoc kalece. Podaj mu te nieodzowne szkiełka, nie odnajdzie ich sam. Obraca się do nich plecami. Jeszcze trochę, a rozdepce je... W tej chwili nowy wstrząs rzucił nieszczęśliwym o drzwi klozetu; cylinder złagodził uderzenie, załamując się i wbijając mu się na uszy. Pan Defouqueblize wydał jęk, wyprostował się, odkrył głowę. Tymczasem Lafcadio uważając, że już dosyć tej zabawy, podniósł *pince-nez*, wrzucił je do kapelusza nieboraka, po czym uciekł uchylając się od podziękowań.

Obiad był już zaczęty. Lafcadio usiadł obok oszklonych drzwi po prawej od przejścia, przy stole z dwoma nakryciami; miejsce naprzeciw niego pozostało próżne. Po lewej od przejścia, na tej samej wysokości, wdowa z córką zajmowała stolik na cztery nakrycia, z których dwa były wolne.

"Co za nuda panuje tutaj! — powiadał sobie Lafcadio; obojętne jego spojrzenie ślizgało się po

jedzących, nie znajdując twarzy, na której mogłoby spocząć. — Całe to bydlę wywiązuje się, niby z monotonnej udręki, z tej zabawy, jaką jest życie, skoro je dobrze wziąć... Jacyż oni źle ubrani! Ale gdyby byli nago, dopiero byłiby szpetni! Umrę przed deserem, jeśli sobie nie każę dać szampana".

Wszedł profesor. Widocznie umył ręce, powalawszy sobie palce przy szukaniu binokli; oglądał paznokcie. Garson posadził go naprzeciwko Lafcadio. Kelner obchodził stoły. Nie mówiąc słowa, Lafcadio wskazał na karcie Montebello Grand-Crémant w cenie dwudziestu franków, podczas gdy pan Defouqueblize zażądał butelki wody Saint-Galmier. Obecnie, trzymając dwoma palcami swoje *pince-nez*, chuchał na nie lekko, po czym rogiem serwety przecierał szkła. Lafcadio przyglądał mu się, dziwił się krecim oczom mrugającym pod grubymi, zaczerwienionymi powiekami.

"Na szczęście on nie wie, że to ja mu wróciłem wzrok! Jeżeli zacznie mi dziękować, natychmiast zmykam".

Kelner wrócił z wodą mineralną i z szampanem, który otworzył najpierw i postawił między dwoma biesiadnikami. Zaledwie ta butelka zjawiała się na stole, kiedy Defouqueblize pochwycił ją i, nie rozróżniając, co to jest, nalał sobie pełną szklanekę, którą wypił duszkiem... Kelner już czynił gest, Lafcadio powstrzymał go ze śmiechem.

— Och, co ja takiego piję? — wykrzyknął Defouqueblize z okropnym grymasem.

— Montebello pańskiego sąsiada — rzekł kelner z godnością. — A to jest pańska butelka Saint-Galmier. Proszę.

Podał mu drugą flaszkę.

— Jestem w rozpacz, proszę pana... Mam tak lichy wzrok... Jestem, niech mi pan wierzy, bardzo zawstydzony...

— Ileż zrobiłby mi pan przyjemności, nie tłumacząc się — przerwał Lafcadio — a nawet przyjmując drugą szklanekę, jeżeli pierwsza panu przypada do smaku.

— Niestety, muszę się panu przyznać, że mi się to wydało okropne; nie rozumiem, doprawdy, w jaki sposób w moim roztargnieniu mogłem wypić pełną szklanekę, tak mi się chciało pić... Niech mnie pan raczy objaśnić, proszę pana, czy to bardzo mocne, to wino?... Bo muszę panu powiedzieć, ja nie piję nigdy nic prócz wody... lada kropla alkoholu uderza mi natychmiast do głowy... Mój Boże, mój Boże, co się ze mną stanie?... Może bym ja zaraz wrócił do przedziału?... Dobrze by mi zrobiło wyciągnąć się.

Uczył ruch, jakby zamierzając wstać.

— Niechże pan zostanie, drogi panie — rzekł Lafcadio, który zaczynał się bawić. — Przeciwnie, najlepiej pan zrobi jedząc coś i nie troszcząc się o to wino. Odprowadzę pana później, jeśli pan będzie potrzebował podpory; ale niech się pan nie obawia; to, co pan wypił, nie upiłoby ani dziecka.

— Uspokaja mnie pan. Ale doprawdy, ja nie wiem, jak mam... czy mogę panu ofiarować nieco

wody Saint-Galmier.

— Bardzo panu dziękuję, ale niech mi pan pozwoli woleć mego szampana.

— A, doprawdy! To był szampan! I... pan wypije to wszystko?

— Aby pana uspokoić.

— Jest pan bardzo uprzejmy; ale na pańskim miejscu ja...

— Gdyby pan zjadł trochę! — przerwał Lafcadio jedząc sam i już znudzony swoim sąsiadem. Teraz jego uwaga skierowała się na wdowę.

Z pewnością była to Włoszka. Zapewne wdowa po oficerze. Co za skromność w ruchach! Co za tkliwość spojrzenia! Jakże czyste czoło! Jakie inteligentne ręce! Co za elegancja w stroju, chociaż tak prostym... Lafcadio, kiedy już nie odczujesz w swoim sercu harmonii takiego akordu, oby twoje serce w ogóle przestało bić! Córka podobna jest do matki; i jakaż szlachetność, nieco poważna, a nawet smutna, łagodzi już nadmiar dziecięcego wdzięku! Z jakąż czułością matka pochyla się ku niej! Och, wobec takich istot sam czart by skapitulował; dla takich istot, Lafcadio, serce twoje poświęciłoby się z pewnością...

W tej chwili garson podszedł, aby zmienić talerze. Lafcadio pozwolił zabrać swój na wpół pełny talerz, bo to, co ujrzał teraz, przejęło go nagłym zdumieniem: wdowa, subtelna wdowa, wychyliła się ku przejściu i, podnosząc zwinnie spódnicę, najnaturalniejszym ruchem odsłoniła szkarłatną pończochę i nader kształtną łydkę.

Ta gorąca nuta wybuchła tak nieoczekiwanie w tej poważnej symfonii... Czy on śnił? Tymczasem garson przyniósł nowe danie. Lafcadio miał sobie nabrać, oczy jego skierowały się na talerz, i to, co ujrzał, dobiło go.

Tam, przed nim, najwyraźniej na środku talerza, jak gdyby spadła nie wiadomo skąd, wstrętne i rozpoznawalna wśród tysiąca... nie wątp o tym, Lafcadio: to spinka Karoli! Ta druga spinka, której brakowało u drugiego mankieta Amedeusza Fleurissoire. To jakiś koszmar... Ale garson nachyla się z półmiskiem. Ruchem ręki Lafcadio opróżnia talerz, strącając brzydki klejnot na obrus; stawia talerz na nim, nabiera sobie obficie, napełnia szklankę szampanem, który wypija natychmiast, napełnia znowu... Bo jeżeli człowiek trzeźwy ma wizje pijane... Nie, to nie była halucynacja: słyszy, jak spinka chrzęści pod talerzem; podnosi talerz, bierze spinę, wsuwa ją obok zegarka do kieszonki od kamizelki, jeszcze maca, upewnia się, spinka jest tam, całkiem bezpieczna... Ale kto mu powie, w jaki sposób zjawiała się na talerzu? Kto ją tam położył?... Lafcadio spogląda na pana Defouqueblize: uczony je niewinnie ze spuszczonego nosem. Lafcadio chce myśleć o czym innym; patrzy znów na wdowę, ale w jej geście i stroju wszystko stało się znów przyzwoite, banalne; wydaje mu się teraz mniej ładna. Stara się odtworzyć sobie jej wyzywający gest, czerwoną pończochę; nie może. Stara się ujrzeć na nowo na swoim talerzu spinę; gdyby nie czuł jej w kieszeni, z pewnością wątpiłby... Ale w istocie, po co on wziął tę spinę... nie należącą do niego. Ten instynktowny, nedorzeczny gest... co za wyznanie, co za konfrontacja! Jak on się zdradza przed tym człowiekiem, kimkolwiek jest — może z policji — który go z pewnością obserwuje, śledzi... Wpakował się w tę grubą

pułapkę, jak głupiec. Czuje, że błędnie. Obraca się nagle: za oszklonymi drzwiami przejścia nie ma nikogo... Ale przed chwilą ktoś widział go może! Zmusza się jeszcze do jedzenia, ale ze złości zęby jego ściskają się. Nieszczęśnik! Nie swojej zbrodni żałuje, ale tego niewczesnego gestu... Co ten profesor teraz się do niego uśmiecha?...

Defouqueblize skończył jeść. Otarł sobie usta, po czym, oparłszy się łokciami na stole i mnąc nerwowo serwetkę, zaczął patrzeć na Lafcadio. Szczególny skurcz błędził po jego wargach; w końcu, jakby nie mogąc wytrzymać:

— Czy wolno mi poprosić pana o jeszcze trochę?

I wysunął nieśmiało szklanekę ku prawie próżnej butelce.

Lafcadio, wyrwany ze swego niepokoju i szczęśliwy z dywersji, nalał mu ostatnie krople.

— Trudno byłoby wycisnąć więcej... Ale czy pan chce, żebym kazał dać jeszcze?

— W takim razie sądzę, że wystarczyłoby pół butelki.

Defouqueblize, już wyraźnie zawiany, stracił poczucie konwenansów. Lafcadio, który nie lękał się butelki i którego bawiła naiwność sąsiada, kazał otworzyć drugą flaszkę Montebello.

— Nie, nie, niech mi pan nie leje za dużo! — powiedział Defouqueblize podnosząc chwiejącą się szklanekę, którą Lafcadio napełniał. — To ciekawe, że z początku wydawało mi się to takie złe. Człowiek robi sobie takie straszaki z wielu rzeczy, dopóki ich nie zna. Po prostu myślałem, że piję wodę mineralną, więc uważałem, że jak na wodę mineralną, to ma osobliwy smak, rozumie pan? To tak, jakby panu nalano wody mineralnej, kiedy by pan chciał pić szampana; powiedziałby pan: jak na szampana to ma dziwny smak!...

Śmiał się z własnych słów, potem nachylił się przez stół do Lafcadio, śmiejącego się również, i rzekł półgłosem:

— Nie wiem, czego ja się tak śmieję; to z pewnością skutek pańskiego wina. Podejrzewam nawet, że ono jest mocniejsze, niż pan powiada. He! he! he! Ale pan mnie odprowadzi do wagonu; przyrzekł mi pan, nieprawdaż? Będziemy sami, a jeżeli zachowam się nieprzyzwoicie, pan będzie wiedział czemu.

— W podróży — zaryzykował Lafcadio — to jest bez znaczenia.

— Och, panie — odparł profesor — czegoż by człowiek nie zrobił w życiu, gdyby tylko mógł być pewny, że to jest bez znaczenia, jak pan powiada tak słusznie! Gdyby tylko być pewnym, że to do niczego nie zobowiązuje!... Ot, wie pan, choćby to, co panu mówię w tej chwili — a to jest przecie myśl bardzo naturalna — czy myśli pan, że ośmieliłbym się wyrazić ją tak bez ogródki, gdybyśmy byli na przykład w Bordeaux. Powiadam w Bordeaux, bo ja w Bordeaux mieszkam. Znają mnie tam, szanują... Mimo że nieżonaty, wiodę tam spokojne życie, uprawiam szanowny zawód: profesor na fakultecie prawa, tak, kryminologia porównawcza, nowa katedra... Rozumie pan, że tam nie mam swobody, na przykład swobody upicia się, ot tak, choćby przypadkiem. Życie moje musi być bez

skazy. Pomyśl pan, gdyby który z moich uczniów spotkał mnie pijanego na ulicy!... Trzeba być czcigodnym, i tak aby to nie robiło wrażenia przymusu; w tym sęk! Nie trzeba, aby ktoś mógł pomyśleć: "Pan Defouqueblize (to moje nazwisko) ostro się trzyma!..." Trzeba nie tylko nie robić nic nieprzystojnego, ale jeszcze wpoić w ludzi przekonanie, że nie zrobiłoby się nic nieprzystojnego, nawet mając pełną swobodę; że nie kryje się w sobie czegoś nieprzystojnego, co by się domagało upustu. Czy jeszcze zostało trochę wina? Tylko parę kropel, mój drogi kompanie, parę kropel... Podobnej sposobności nie znajdzie się drugi raz w życiu. Jutro w Rzymie na tym kongresie, który nas zgromadził, zastanę wielu kolegów, poważnych, wytresowanych, powściągliwych, równie statecznych, jak będę i ja sam, z chwilą, gdy z powrotem wdzieję swoją liberię. Ludzie należący do tak zwanego społeczeństwa, jak ja albo pan, zobowiązani są wobec samych siebie do grania komedii.

Tymczasem obiad kończył się; garson obchodził salę, zbierając wraz z rachunkami napiwki.

W miarę jak się sala opróżniała, głos pana Defouqueblize stawał się dźwięczniejszy; chwilami akcenty jego niepokoiły trochę Lafcadia. Profesor ciągnął:

— A choćby nie społeczeństwo, wystarczyłaby ta grupa krewnych i przyjaciół, których nie chcemy razić naszą osobą. Naszej nieobyczajnej szczerości przeciwstawiają własny nasz obraz, za który jesteśmy tylko w połowie odpowiedzialni, który nam się wydaje czymś błahym, ale który, powtarzam panu, nieprzyzwoicie jest niweczyć. W tej chwili to jest fakt: wymykam się swojej fizjonomii, wychodzę z samego siebie... O, cóż za zawrotna przygoda! Cóż za niebezpieczna rozkosz!... Ale ja pana męczę?

— Bardzo mnie pan interesuje.

— Gadam! Gadam... Cóż pan chce! Nawet po pijanemu człowiek zostaje profesorem: temat pochłania mnie... Ale jeżeli pan skończył jeść, może mi pan podać ramię i pomoże wrócić do wagonu, póki się trzymam jeszcze. Boję się, że jeżeli jeszcze trochę tu zostanę, wkrótce nie będę mógł wstać.

To mówiąc Defouqueblize wziął rozmach, jak gdyby chcąc wstać z krzesła, ale natychmiast opadł z powrotem i osuwając się na sprzątnięty już stół, pochylony do Lafcadia, mówił dalej ściszym i jakby poufnym głosem:

— Oto moja teza: czy pan wie, czego trzeba, aby z porządnego człowieka zrobić łajdaka? Wystarczy zmiana miejsca, zapomnienie! Tak, panie, luka w pamięci, a szczerość wydobędzie się na wierzch!... Przerwa w ciągłości; proste przerwanie prądu. Oczywiście, nie mówię tego na swoich wykładach... Ale, mówiąc między nami, co za szansa być bękartem! Pomyśl pan tylko: ten, którego sama istota jest wybrykiem, zboczeniem z linii prostej...

Profesor znów podniósł głos: wlepił w Lafcadia dziwne oczy, których spojrzenie to mętne, to przenikliwe, zaczynało być niepokojące. Lafcadio pytał teraz sam siebie, czy krótkowidztwo tego człowieka nie było udane: niemal poznawał ten wzrok. W końcu, bardziej nieswój, niżby chciał przyznać, wstał i rzekł nagle:

— No, niech pan mi poda ramię, panie Defouqueblize. Wstawaj pan. Dostyc tej gadaniny.

Defouqueblize podniósł się z wysiłkiem, chwytając się szli korytarzem aż do przedziału, gdzie została teczka profesora. Defouqueblize wszedł pierwszy; Lafcadio usadowił go, pożegnał się. Ale ledwie się odwrócił, kiedy na jego ramię zwała się potężna dłoń. Obrócił się natychmiast. Defouqueblize zerwał się jednym susem... ale czy to był jeszcze Delouqueblize, ten, który drwiącym, wraz rozkazującym i tryumfalnym głosem wykrzyknął:

— Nie godzi się tak szybko opuszczać przyjaciela, panie Lafcadio LichowiektoskiL. Więc tak! Więc to prawda! Chcieliśmy dać nogę?

Z komicznego i zawianego profesora nie zostało już nic w krzepkim i tęgim chwacie, w którym Lafcadio nie wahał się już poznać Protosa. Protos, rozrosły, szerszy, wspanialszy i — jak się zdawało — groźny.

— A, to ty, Protosie — rzekł tylko. — Wolę to. Męczyłem się z rozpoznaniem cię.

Bo mimo jej grozy Lafcadio wolał realność od dzikiego koszmaru, w którym szamotał się od godziny.

— Nieżłem się ucharakteryzował, co?... Dla ciebie zadałem sobie tyle trudu... Ale po prawdzie, to ty powinien byś nosić okulary; napytasz sobie w życiu wiele kłopotów, jeżeli nie będziesz lepiej rozpoznawał figlarzy.

Ileż drzemiących wspomnień obudziło w myśli Cadia to słowo "figlarz". Figlarz, w gwarze, jaką Protos i on posługiwali się wówczas, gdy byli razem na pensji, figlarz to był człowiek, który nie dla wszystkich i nie zawsze miał jednaką twarz. Były wedle ich klasyfikacji różne kategorie figlarzy: mniej lub więcej wykwintne i godziwe, czemu przeciwstawiała się jedna wielka rodzina "skorupiaków", których przedstawiciele piętrzyli się od góry do dołu drabiny społecznej.

Nasi dwaj kompani przyjmowali te pewniki: 1) Figlarze poznają się między sobą. 2) Skorupiaki nie poznają figlarzy. — Lafcadio przypominał sobie teraz to wszystko; ponieważ był z natury chętny dla wszelkiej zabawy, uśmiechnął się. Protos ciągnął:

— Bądź co bądź, owego dnia szczęśliwie się trafiło, zem się tam znalazł, hę?... To nie był może zupełny przypadek. Lubię mieć oko na nowicjuszów: jakie to bywa pomysłowe, przedsiębiorcze, zalotne!... Ale taki mikrus za łatwo wyobraża sobie, że może się obejść bez rad. Twoja robota diabelnie wymagała retuszów, mój chłopcze!... Cóż za pomysł, żeby się ustroić w taki kapciuch, kiedy się idzie na robotę? Mając adres magazynu na tym "dowodzie rzeczowym", przymknięto by cię przed upływem tygodnia. Ale ja mam serce dla starych przyjaciół i umiem tego dowieść. Czy wiesz, Cadio, że ja cię bardzo kochałem? Zawsze myślałem, że z ciebie się coś zrobi. Przy twojej urodzie można by dla ciebie puścić w ruch wszystkie kobiety i pociągnąć w dodatku, pal sześć, niejednego mężczyznę. Jakże się ucieszyłem, kiedym wreszcie dowiedział się czegoś o tobie i usłyszał, że ty przyjeżdżasz do Włoch! Daję słowo, pilno mi było dowiedzieć się, co się z tobą stało od czasu, kiedy to się chodziło do naszej starej. Nieżle jeszcze się przedstawiasz, wiesz! Ha, ha! Nie krzywdowała sobie nasza Karola!

Irytacja Lafcadia stawała się coraz wyraźniejsza, wraz z jego wysiłkiem, aby ją ukryć;

wszystko to wielce bawiło Protosa, który udawał, że nic nie widzi. Wyjął z kieszeni kamizelki skórzany krążek i przyglądał mu się.

— Elegancko wyciąłem, ha?

Lafcadio byłby go udusił; ścisnął pięści, paznokcie wpijały mu się w ciało. Tamten ciągnął dalej jowialnie:

— To mi usługa! To chyba warte sześciu tysięcy frankówek... których — raczysz mi może powiedzieć czemu — nie zgarnąłeś?

Lafcadio skoczył:

— Czy ty mnie bierzesz za złodzieja?

— Słuchaj, malcze — odparł spokojnie Protos — wolę ci od razu szczerze powiedzieć, że ja nie bardzo lubię dyletantów. A potem, ze mną, wiesz, nie warto robić fanfarona ani idioty. Zdradzasz zdolności, nie przeczę, wspaniałe zdolności, ale...

— Przestań drwić — przerwał Lafcadio nie wstrzymując już gniewu. — Do czego ty zmierzasz? Sfuszerowałem tę rzecz, czy myślisz, że potrzeba mi to tłumaczyć? Tak, masz broń przeciwko mnie; nie będę nawet rozważał, czy byłoby dla ciebie ostrożnie użyć jej. Chcesz, abym odkupił ten kawałek skóry. Dobrze więc, gadaj! Przestań się śmiać i gapić się tak na mnie. Chcesz pieniędzy. Ile?

Ton Lafcadio był tak zdecydowany, że Protos cofnął się nieco wstecz; ale opanował się natychmiast.

— Z wolna! Z wolna! — rzekł. — W czymże ja ci ubliżyłem? Rozmawia się, ot, między przyjaciółmi. Nie ma się czego indyczyć. Daję słowo, tyś odmłodził, Cadio.

Ale kiedy Protos próbował go pogłaskać po ramieniu, Lafcadio oswobodził się gwałtownie.

— Siadajmy — rzekł Protos — lepiej nam będzie rozmawiać.

Wsunął się w kąt obok drzwi wychodzących na korytarz, i położył nogi na przeciwległej ławce.

Lafcadio pomyślał, że on chce mu zabarykadować wyjście. Z pewnością Protos był uzbrojony. Sam Lafcadio w tej chwili nie miał żadnej broni. Pomyślał, że w ręcznej walce uległby z pewnością. Następnie, o ile przez chwilę miał ochotę uciekać, już go ponosiła ciekawość, owa namiętna ciekawość, wobec której nie ważyło dla niego nigdy nic, nawet jego osobiste niebezpieczeństwo. Usiadł.

— Pieniądzy? Ale fe! — rzekł Protos. Wyjął z etui cygaro i podał również Lafcadiowi, który odmówił. — Dym ci może przeszkadza?... No więc, posłuchaj mnie. — Zaciągnął się kilka razy, po czym dodał bardzo spokojny: — Nie, nie, Lafcadio, mój chłopcze; nie pieniędzy oczekuję od ciebie,

ale posłuszeństwa. Widzę, mój mały (daruj mi moją szczerłość), że ty nie zdajesz sobie dobrze sprawy ze swego położenia. Trzeba je sobie jasno uprzytomnić; pozwól, że ci w tym dopomogę.

Zatem, z tych ram społecznych, które nas ściskają, pewien młodzieniec chciał się wyrwać; młodzieniec sympatyczny, nawet ściśle taki, jakich ja lubię: naiwny i uroczo bezpośredni; bo nie włożył w to, tak mi się coś widzi, wiele kalkulacji... Przypominam sobie, Cadio, że w swoim czasie bardzo byłeś kuty w cyfrach, ale we własnych wydatkach nigdy nie chciałeś liczyć... Krótko mówiąc, życie skorupiaków mierzi cię; niech się temu dziwi kto inny niż ja... Co mnie dziwi natomiast, to że ty przy swojej inteligencji mogłeś myśleć, Cadio, iż można sobie tak po prostu wyjść z jednego społeczeństwa, a równocześnie nie wpaść w drugie; lub że jakieś społeczeństwo może się obyć bez praw. *Lawless*, pamiętasz; czytaliśmy to gdzieś: *Two hawks in the air, two fishes swimming in the sea not more lawless than we* *... Jaka to piękna rzecz, literatura! Lafcadio, mój przyjacielu, naucz się prawa figlarzy.

— Mógłbyś być może treściwszy.

— Po co się spieszyć? Mamy czas. Ja wysiadam aż w Rzymie. Lafcadio, mój przyjacielu, zdarza się, że zbrodnia umknie się żandarmom; otóż, wytłumaczę ci, czemu my jesteśmy sprytniejsi od nich: bo my gramy o nasze życie. Tam, gdzie policja chybia, nam udaje się czasami. Do kroćset! Sam chciałeś, Lafcadio; rzecz się stała, i już nie możesz się wymknąć. Wolałbym, abys mi był posłuszny, bo — widzisz — byłoby mi naprawdę przykro wydać starego druha policji; ale co począć? Odtąd zależysz od niej albo od nas.

— Wydać mnie to znaczy wydać samego siebie...

— Myślałem, że będziemy rozmawiali poważnie...

Zrozum więc, Lafcadio: policja przymyka buntowników, ale — we Włoszech zwłaszcza — chętnie układa się z figlarzami. "Układa się", sędzę, że to jest właściwe słowo. Ja jestem po trosze z policji, mój chłopcze. Mam oko. Pomagam do utrzymania porządku. Nie działam: każę działać.

No, dosyć! Przestań wierzgać, Cadio. Moje prawo nie ma w sobie nic okropnego. Przesadnie wyobrażasz sobie rzeczy: taki naiwny i taki impulsywny! Czy myślisz, że to już nie przez posłuszeństwo i nie dlatego, że ja tak chciałem, wzięłeś przy obiedzie z talerza spinę panny Venitequa? Och, ten niebaczny gest, jakież był idylliczny? Biedny Cadio! Dosyć sobie nawymyślałeś za ten mały gest, nieprawdaż? Najpaskudniejsze to, że nie ja jeden go widziałem. Ba! Nie łam sobie głowy; garson, wdowa i dziecko należą do sitwy. Przemili ludzie. Od ciebie tylko zależy znaleźć w nich przyjaciół. Lafcadio, mój przyjacielu, bądź rozsądny; poddajesz się?

Może przez nadmierne zakłopotanie Lafcadio postanowił sobie nie mówić. Siedział sztywno z zaciśniętymi ustami, z oczami utkwionymi prosto przed siebie. Protos ciągnął wzruszając ramionami:

— Zabawny facet! A w rzeczywistości taki giętki!... Ale już byłbyś się może zgodził, gdybym ci od razu powiedział, czego się po tobie spodziewamy. Lafcadio, mój przyjacielu, rozprosz moją wątpliwość: czy to ci się wydaje naturalne, abys ty, którego opuściłem tak biednym, nie zgarnął sześciu tysięcy franków, które los ci rzucił do stóp?... Starszy pan de Baraglioul umarł, jak mi

mówiła panna Venitequa, nazajutrz po dniu, w którym hrabia Julius, jego godny synal, złożył ci wizytę; i wieczorem tego dnia puściłeś kantem pannę Venitequa. Od tego czasu twoje stosunki z hrabią Juliuem stały się, na honor, bardzo serdeczne; czy zechcesz mi wytłumaczyć czemu?... Lafcadio, mój przyjacielu, swojego czasu wiedziałem o twoich licznych wujaszkach; od tego czasu twój rodowód mocno się zabaraglioulił!... Nie, nie gniewaj się, żartuję. Ale cóż chcesz, co mamy przypuszczać?... Chyba że wprost zawdzięczasz panu Juliusowi swoją obecną zamożność; co — pozwól sobie powiedzieć — przy twojej urodzie, Lafcadio, wydałoby mi się o wiele skandaliczniesze. Tak czy owak, i co bądź byś nam pozwolił przypuszczać, Lafcadio, mój przyjacielu, sprawa jest jasna i twój obowiązek rysuje się wyraźnie: wykonasz mały szantażyk na panu de Baraglioul. Nie ciskaj się, proszę. Szantaż to jest zdrowa instytucja, konieczna do podtrzymania obyczajów. O, cóż! opuszczasz mnie?...

Lafcadio wstał.

— Ech, pozwól mi wreszcie przejść! — wykrzyknął okraczając Protosa; ten wyciągnięty na dwóch ławeczkach w poprzek przedziału, nie uczynił żadnego gestu, aby go zatrzymać. Lafcadio, zdziwiony, że go nie zatrzymują, otworzył drzwi na korytarz i odchodząc rzekł:

— Nie uciekam, nie bój się. Możesz mieć na mnie oko; ale wszystko inne raczej niż słuchać cię dłużej... Daruj mi, że wolę od ciebie policję. Idź, uprzedź ją; czekam.

VI

Tego samego dnia wieczorny pociąg przywiózł z Mediolanu państwa Antymów: ponieważ jechali trzecią klasą, dopiero po przybyciu ujrzeli hrabinę de Baraglioul i jej starszą córkę, których przywiózł z Paryża *sleeping car* tego samego pociągu.

Na kilka godzin przed żałobną depeszą hrabina otrzymała list od męża; hrabia opowiadał wymownie o wielkiej przyjemności, jaką mu sprawiło niespodziane spotkanie się z Lafcadiem; oczywiście, nie było tam najmniejszej aluzji do owego półbraterstwa, które w oczach Juliusa stroiło w tak perwersyjny urok młodego człowieka. Julius, wierny rozkazowi ojca, nie wyjaśnił sytuacji żonie, tak samo jak nie wyjaśnił jej z Lafcadiem; ale pewne aluzje, pewne niedomówienia dostatecznie objaśniły hrabinę; a nawet nie jestem bardzo pewny, czy Julius, któremu brakło rozrywek w mieszczańskim trybie jego życia, nie zrobił sobie zabawy z tego, aby krążyć dokoła skandalu i opalać sobie o niego palce. Tak samo nie jestem pewny, czy obecność Lafcadia w Rzymie, nadzieja ujrzenia go, nie odegrała pewnej — może znacznej roli w postanowieniu Genowefy, która zdecydowała się towarzyszyć matce.

Julius wyszedł po panie na kolej. Zabrał je szybko do Grand Hotelu, pożegnawszy się prawie natychmiast z Antymami, których miał spotkać nazajutrz w orszaku żałobnym. Ci udali się na *via di*

Bocca di Leone, do hotelu, gdzie zajechali za pierwszym swoim pobycem.

Małgorzata przywiozła powieściopisarzowi dobre nowiny: jego wybór nie przedstawiał już żadnych wątpliwości; przedwczoraj kardynał André zawiadomił ją nieoficjalnie, iż kandydat nie potrzebuje nawet powtarzać swoich wizyt; Akademia przychodzi do niego sama, z otwartymi ramionami; czekają na niego.

— Sam widzisz! — mówiła Małgorzata. — Co ja ci mówiłam w Paryżu? Wszystko przychodzi na czas. Na tym świecie wystarczy umieć czekać.

— I nie zmieniać się — odparł z namaszczeniem Julius niosąc rękę małżonki do ust i nie widząc, że wlepione weń spojrzenie córki nabrzmiewa wzdargą. — Wierny tobie, swoim myślom, swoim zasadom. Wytrwałość jest najkonieczniejszą cnotą.

Już oddalało się od niego wspomnienie jego najnowszego skrętu, oddalała się wszelka myśl inna niż prawomyślna, wszelki inny projekt niż obyczajny. Uświadomiony obecnie, odnalazł się bez wysiłku. Podziwiał tę subtelną konsekwencję, mocą której duch jego zboczył na chwilę z drogi. To nie on się zmienił, to papież.

“Przeciwnie, co za stałość mojej myśli — powiadał sobie — co za logika! Najtrudniejsze, to wiedzieć, czego się trzymać. Biedny Fleurissoire przypłacił życiem to, że zajrzał za kulisy. Najprostsze — kiedy się jest prostym człowiekiem — to trzymać się tego, co się wie. Ten wstrętny sekret zabił go. Świadomość wzmacnia jedynie silnych... Mniejsza! Szczęśliwy jestem, że Karola uprzedziła policję; to mi pozwoli dumać swobodniej... Bądź co bądź, gdyby Antym wiedział, że nie prawdziwemu Ojcu Świętemu zawdzięcza swoje niedole i swoje wygnanie, co by to była za pociecha dla tego biedaka! Co za pokrzepienie w wierze! Co za ulga!... Jutro po pogrzebie pomówię z nim”.

Pogrzeb ten nie ściągnął tłumów. Trzy powozy jechały za karawanem. Padał deszcz. W pierwszym powozie Blafaphas jako przyjaciel towarzyszył Arnice (skoro się żałoba skończy, ożeni się z nią z pewnością). Oboje wyjechali z Pau przedwczoraj. Opuścić wdowę w jej zgryzocie, pozwolić samej podjąć tę długą podróż, tej myśli Blafaphas nie mógł nawet znieść! Ludzkie języki! Mimo że nie należy do rodziny, Blafaphas przywdział żałobę; któryż krewny mógłby się równać z takim przyjacielem! Ale przybyli do Rzymu zaledwie od kilku godzin, przegapiwszy jakieś połączenie.

W ostatnim powozie siedziała pani Armand-Dubois z hrabiną i jej córką; w drugim hrabia z Antymem Armand-Dubois.

Nad grobem Amedeusza nikt nie czynił żadnych aluzji do jego nieszczęśliwej przygody. Ale wracając z cmentarza Julius de Baraglioul, znalazłszy się na nowo sam z Antymem, zaczął:

— Przyrzekłem ci interweniować w twojej sprawie u Ojca Świętego.

— Bóg mi świadkiem, że cię o to nie prosiłem.

— To prawda; oburzony nędzą, w jakiej cię zostawił Kościół, słuchałem jedynie głosu własnego serca.

— Bóg mi świadkiem, że się nie skarżyłem.

— Wiem!... Wiem!... Dostatecznie nairytowałeś swoją rezygnacją! A nawet, skoro do tego wracamy, powiem ci, drogi Antymie, że mniej w tym widzę świętości niż dumy i że, kiedy cię widział ostatni raz w Mediolanie, nadmiar tej rezygnacji wydał mi się o wiele bliższy buntowi niż prawdziwej pobożności. Po prostu uczułem się zaniepokojony w mojej wierze. Bóg nie żądał od ciebie aż tyle, u diabła! Mówmy szczerze: twoje zachowanie się raziło mnie.

— Twoje, mogę ci również wyznać, zasmuciło mnie, mój bracie. Czyż nie ty właśnie zagrzewałeś mnie do buntu!...

Julius podniecony odparł:

— Dostatecznie stwierdziłem to sam i pokazałem to drugim w całym ciągu swojej kariery, że można być doskonałym chrześcijaninem, nie lekceważąc zarazem godziwych korzyści związanych z pozycją, w jakiej Bogu spodobało się nas pomieścić. Twojemu zachowaniu się zarzucałem właśnie to, że przez swoją afektację siliło się jak gdyby zawstydzic mnie.

— Bóg mi świadkiem, że...

— Ech! Nie zaklinaj się ciągle! — przerwał znów Julius. — Bóg nie ma tu nic do roboty. Kiedy ci mówię, że twoja postawa była bliska buntowi... rozumiem przez to: mojego buntowi; i to właśnie ci zarzucam: to znaczy, że znosząc pokornie niesprawiedliwość pozwalasz innym buntować się za ciebie. Bo ja nie dopuszczałem, aby Kościół mógł nie być w porządku, a twoje zachowanie się mimo przeciwnych pozorów zawierało właśnie krytykę Kościoła. Postanowiłem tedy poskarżyć się za ciebie. Ujrzyś niebawem, jak bardzo miałem rację się oburzać.

Julius, którego czoło okryło się potem, ułożył cylinder na kolanach.

— Może okno otworzyć?

I Antym spuścił uprzejmie szybę po swej stronie.

— Znalazłszy się tedy w Rzymie — podjął Julius — postarałem się o audiencję. Użyczono mi jej. Osobliwy sukces miał uwieńczyć moje kroki.

— A! — rzekł obojętnie Antym.

— Tak, drogi bracie. Bo o ile nie uzyskałem faktycznie nic z tego, o co miałem prosić, wyniosłem przynajmniej z mojej audiencji pewność... stawiającą naszego Ojca Świętego poza

wszelkimi zelżywymi przypuszczeniami, jakie tworzyliśmy pod jego adresem.

— Bóg mi świadkiem, że nigdy nie powstało mi w głowie nic zelżywego dla Ojca Świętego.

— Ale mnie powstało za ciebie. Widziałem twoją krzywdę, oburzałem się.

— Do rzeczy, szwagrze. Czy widziałeś papieża?

— Otóż nie! Nie widziałem papieża — wybuchnął wreszcie Julius — natomiast posiadałem tajemnicę, tajemnicę wątpliwą zrazu, ale która niebawem, przez śmierć naszego drogiego Amedeusza, miała znaleźć nagłe potwierdzenie; sekret straszliwy, zdumiewający, ale w którym twoja wiara, drogi Antymie, będzie mogła zaczerpnąć otuchę. Wiedz tedy, że papież nie jest winien niesprawiedliwości, której padłeś ofiarą.

— Nigdy o tym nie wątpiłem.

— Antymie, słuchaj mnie dobrze. Nie widziałem papieża, bo nikt nie może go widzieć. Ten, który obecnie siedzi na tronie apostołskim, którego Kościół słucha i który ogłasza wyroki; ten, z którym mówiłem, słowem, papież, którego się ogląda w Watykanie, papież, którego widziałem, n i e jest prawdziwy.

Na te słowa Antym zaczął się trząść od potężnego śmiechu.

— Śmieję się, śmieję — odparł Julius urażony. — Ja też śmiałem się zrazu. Gdybym się był mniej śmiał, nie zamordowano by Amedeusza. Och, święty nasz przyjaciel! Serdeczna ofiara!...

Głos Juliusa zamarł w łkaniu.

— Powiedz no? Czy to jest serio to, co mi tu bajesz?... Och!... och!... och!... —wołał Armand-Dubois, którego patos Juliusa niepokoił. — Bo, koniec końców, trzeba by wiedzieć...

— Dlatego że chciał wiedzieć, Amedeusz zginął.

— Bo, ostatecznie, jeżeli ja plunąłem na swój majątek, na swoje stanowisko, na swoją wiedzę, jeżeli się zgodziłem, aby ze mnie zadrwiono... — ciągnął Antym, coraz bardziej podniecony.

— Powiedziałem ci: za wszystko to prawdziwy w niczym nie odpowiada; ten, który z ciebie zadrwił, to kukła Kwirynału.

— Mam wierzyć w to, co mi powiadasz?

— Jeżeli mnie nie wierzysz, uwierz temu biednemu męczennikowi.

Obaj jechali jakiś czas w milczeniu. Przestało padać; promień przedarł się przez chmurę. Wśród lekkich wstrząśnień powóz wjeżdżał do Rzymu.

— W takim razie wiem, co mi pozostaje — odparł Antym stanowczym głosem. — Ja was

urządę!

Julius wzdrygnął się.

— Drogi Antymie, niepokoisz mnie. Ani chybi narazisz się na klątwę.

— Czyją? Jeżeli to fałszywy papież, mam to w...

— A ja myślałem, że tym sekretem wleję w twoje serce nieco pociechy — rzekł Julius wstrząśnięty.

— Żartujesz? A kto mi ręczy, czy Fleurissoire, przybywszy do Raju, nie odkryje także, że jego Pan Bóg też nie był prawdziwy?

— Słuchaj, drogi Antymie, ty bredzisz! Jak gdyby mogło być dwóch! Jak gdyby mógł być inny.

— Słuchaj! Tobie dobrze mówić, który dla niego nic nie porzuciłeś; ty, któremu wszystko — prawdziwe czy fałszywe — wychodzi na korzyść... Ech, zatrzymaj powóz, trzeba mi powietrza!

Wychylając się z powozu, dotknął laską ramienia woźnicy i kazał zatrzymać. Julius chciał wsiąść razem z nim.

— Nie! Zostaw mnie. Usłyszałem już dość, aby wiedzieć, co robić. Zachowaj resztę do swojej powieści. Co do mnie, piszę jeszcze dziś do Wielkiego Mistrza Zakonu i od jutra podejmuję swoje kroniki naukowe w "Dépêche". Pobawimy się.

— Jak to! Ty kulejesz? — rzekł Julius zdziwiony, widząc, że Antym na nowo utyka.

— Tak, od kilku dni wróciły mi dawne bóle.

— A! Teraz wszystko jest jasne! — rzekł Julius, który nie patrząc za oddalającym się, cofnął się w głąb powozu.

VII

Czy Protos miał zamiar wydać Lafcadia policji, jak mu tym groził?

Nie wiem: wypadki dowiodły zresztą, że nie miał on pomiędzy panami z policji samych przyjaciół. Uprzedzeni poprzedniego dnia przez Karolę, zastawili na vicolo dei Vecchierelli pułapkę; znali od dawna dom i wiedzieli, że najwyższe piętro posiada łatwą komunikację z domem sąsiednim,

którego wyjście również obstawili.

Protos nie lękał się szpiclów; oskarżenie nie było mu groźne, aparat sprawiedliwości też nie; wiedział, że niełatwo mu czegoś dowieść, nie miał na sumieniu żadnej konkretnej zbrodni, same przestępstwa tak drobne, że umykały się dowodom. Toteż nie przeraził się zbytnio, kiedy zrozumiał, że jest osaczony; a zrozumiał to bardzo szybko, mając osobliwy węch w rozpoznawaniu szpiclów pod wszelkim przebraniem.

Zaledwie nieco zmieszany, zamknął się zrazu w pokoju Karoli, czekając jej powrotu. Nie widział Karoli od czasu zamordowania Amedeusza; pragnął poprosić jej o radę i zostawić niektóre wskazówki w razie prawdopodobnej blokady.

Tymczasem Karola, posłuszna woli Juliusa, nie pojawiła się na cmentarzu; nikt nie widział, że ukryta za mauzoleum asystowała pod parasolem z daleka smutnej ceremonii. Czekwała cierpliwie, pokornie, aż поближе świeżego grobu opustoszeje; ujrzała tworzący się orszak, Juliusa odchodzącego z Antymem, powozy oddalające się w drobnym deszczyku. Wówczas zbliżyła się do grobu, wyjęła spod stanika wielki bukiet astrów i złożyła go z boku, z dała od bukietów rodziny; po czym stała długo na deszczu, nie patrząc na nic, nie myśląc o niczym i płacząc w braku modlitwy.

Kiedy wróciła na vicolo dei Vecchierelli, poznała na progu dwie niezwykle figury, ale nie rozumiała, czemu dom jest strzeżony. Pilno jej było ujrzeć Protosa; nie wątpiąc, że on jest mordercą, nienawidziła go teraz...

W kilka chwil później policja przybiegła na jej krzyki; za późno, niestety! Wściekły, że go wydała, Protos udusił Karolę.

To się działo około południa. Wieczne dzienniki już podały tę wiadomość; że zaś znaleziono przy Protosie wykrój skórki z kapelusza, podwójna jego wina nie ulegała dla nikogo wątpliwości.

Tymczasem Lafcadio żył do wieczora w stanie mętnego oczekiwania czy obawy, może nie policji, którą zagroził mu Protos, ale samego Protosa lub nie wiadomo czego, przed czym nie starał się już bronić. Owładnęło nim niezrozumiałe odrętwienie, które było może tylko zmęczeniem; dał za wygraną.

Poprzedniego dnia widział Juliusa tylko chwilę, kiedy ten, po przybyciu neapolitańskiego pociągu, zgłosił się po ciało; potem długo chodził na oślep po mieście, aby znużyć rozpacz, jaką po owej rozmowie w wagonie pozostawiło mu uczucie własnej zależności.

Mimo to wiadomość o aresztowaniu Protosa nie przyniosła Lafcadiowi ulgi, jakiej by mógł się spodziewać. Można by rzec, że uczuł zawód. Dziwny człowiek! Im bardziej stanowczo odtrącił wszelką materialną korzyść zbrodni, tym bardziej nierad był się wyzuc z jakiegokolwiek ryzyka tej partii. Nie uznawał, aby mogła skończyć się tak prędko. Chętnie — jak to niegdyś czynił w szachach

— dałby wieżę for przeciwnikowi; i, jak gdyby wypadki zapewniały mu nagle zbyt łatwą wygraną i pozbawiały całą grę uroku, czuł, że nie będzie miał spokoju, o ile dalej nie posunie wyzwania.

Zjadł obiad w sąsiedniej *trattoria*, aby nie musieć się ubierać we frak. Wkrótce potem, wróciwszy do hotelu, ujrzał przez oszklone drzwi restauracji hrabiego, siedzącego przy stole w towarzystwie żony i córki. Uderzyła go piękność Genowefy, której nie widział od pierwszej wizyty. Siedział długo w palarni, czekając końca obiadu, kiedy mu dano znać, że hrabia wrócił do swego pokoju i że go oczekuje.

Wszedł. Julius de Baraglioul był sam; zdjął frak i włożył marynarkę.

— No i co! Morderca jest pod kluczem — rzekł podając mu rękę.

Ale Lafcadio nie ujął tej ręki. Stał we wnęce drzwi.

— Jaki morderca? — spytał.

— Morderca mojego szwagra, u licha!

— Morderca pańskiego szwagra to ja.

Powiedział to bez drżenia; nie zmieniając tonu, nie zniżając głosu, bez gestu, w sposób tak naturalny, że Julius nie od razu zrozumiał. Lafcadio musiał powtórzyć.

— Nie zaaresztowano, powiadam panu, mordercy pańskiego szwagra, dla tej prostej przyczyny, że morderca pańskiego szwagra to ja.

Gdyby Lafcadio miał wygląd srogi, może Julius byłby się zląkł; ale wyraz jego twarzy był dziecinny. Wydawał się nawet jeszcze młodszy niż za pierwszym razem, kiedy go spotkał Julius; spojrzenie jego było równie jasne, głos równie czysty. Zamknął drzwi, ale stał oparty o nie. Julius osunął się na fotel koło stołu.

— Moje biedne dziecko! — rzekł zrazu — mów ciszej!... Co tobie się dzieje? Jakim cudem mógłbyś to zrobić?

Lafcadio spuścił głowę, już żałując tego, co powiedział.

— Czyż można wiedzieć? Zrobiłem to bardzo szybko, podczas gdy mi przyszła ochota to zrobić.

— Coś ty miał przeciw Amedeuszowi, temu zacnemu człowiekowi, tak pełnemu cnót?

— Nie wiem... Nie wyglądał szczęśliwie... Jak pan chce, abym panu wytłumaczył to, czego nie umiem wytłumaczyć samemu sobie?

Rosło między nimi przykre milczenie, które słowa ich przerywały nagłymi zrywami, po czym milczenie zamykało się jeszcze głębsze; wówczas słyhać było fale banalnej muzyki neapolitańskiej

płynące z wielkiego hotelowego hallu. Paznokciem małego palca — zaostrzonym i bardzo długim — Julius zdrapywał małą plamę stearyny na serwecie. Nagle spostrzegł, że ten piękny paznokieć jest złamany. Było to poprzeczne pęknięcie, które ćmiło w całej szerokości karminową barwą kaboszona. Jak się to stało? I jakim cudem zaraz tego nie spostrzegł? Jak bądź się rzeczy miały, zło było nie do naprawienia: nie pozostawało Juliusowi nic, jak tylko obciąć paznokieć. Odczuł to jako żywą przykrość, bo bardzo dbał o swoje ręce, a specjalnie o ten paznokieć, który wyhodował z wolna i który podkreślał wytworną linię palca. Nożyczki były w szufladzie toalety; Julius miał już wstać i iść po nie, ale trzeba by było przejść koło Lafcadio; pełen taktu, odłożył delikatną operację na później.

— I... co zamierzasz uczynić teraz? — rzekł.

— Nie wiem. Może oddać się w ręce policji. Zostawiam sobie noc do namysłu.

Julius opuścił rękę na fotel, patrzył przez chwilę na Lafcadio, po czym zniechęcony westchnął:

— A ja zaczynałem cię kochać!...

Było to powiedziane bez złej intencji. Lafcadio musiał to zrozumieć. Ale mimo iż nieświadome, słowa te były niemniej okrutne i ugodziły go w serce. Podniósł głowę, tężąc się przeciw grozie, która mu nagle ścisnęła gardło. Popatrzał na Juliusa: "Czy to naprawdę ten, którego wczoraj czułem się prawie bratem?" — powiadał sobie. Wodził oczami po pokoju, w którym przedwczoraj, mimo swojej zbrodni, mógł rozmawiać tak wesoło; flakon wody kolońskiej stał jeszcze na stole, prawie pusty...

— Słuchaj, Lafcadio — podjął Julius — twoje położenie nie wydaje mi się całkiem stracone. Domniemany sprawca zbrodni...

— Tak, wiem, że go aresztowano — przerwał sucho Lafcadio. — Zatem pan mi radzi, abym pozwolił oskarżyć w swoje miejsce niewinnego?

— Ten, którego nazywasz niewinnym, zamordował właśnie kobietę, którą nawet znasz...

— To mi daje wolną rękę, nieprawdaż?

— Nie mówię ściśle tego, ale...

— Dodajmy, że to był właśnie jedyny człowiek, który mógł mnie zadenuncjować.

— Sam widzisz, że rzecz nie jest beznadziejna.

Julius wstał, skierował się do okna, poprawił fałdy portiery, wrócił, po czym pochyłony naprzód, z rękami skrzyżowanymi na grzbiecie fotela, rzekł:

— Lafcadio, nie chciałbym cię wypuścić stąd bez jakiejś rady. Od ciebie jedynie zależy — jestem o tym przekonany — zostać znów uczciwym człowiekiem i zająć miejsce w społeczeństwie, o tyle przynajmniej, o ile urodzenie ci na to pozwala... Kościół przyjdzie ci z pomocą. No, chłopcze, trochę odwagi: idź się wyświadczać.

Lafcadio nie mógł wstrzymać uśmiechu.

— Rozważę pańskie życzliwe słowa. — Zrobił krok naprzód, po czym dodał: — Bez wątpienia woli pan nie dotykać ręki mordercy. Ale chciałbym jednak podziękować panu za jego...

— Dobrze już, dobrze — rzekł Julius z serdecznym i odległym gestem. — Bądź zdrów, mój chłopcze. Nie śmiem ci powiedzieć: do widzenia. Jednakże, gdybyś w przyszłości...

— Na razie, nie ma mi pan nic do powiedzenia?

— Nic już na teraz.

— Żegnam pana.

Lafcadio skłonił się poważnie i wyszedł.

Wrócił do swego pokoju, o piętro wyżej. Na wpół rozebrany rzucił się na łóżko. Wieczór był bardzo gorący, noc nie przyniosła ochłody. Okno było na oścież otwarte, ale żaden podmuch nie wzruszał powietrza; dalekie kule elektryczne na placu Termów, od którego dzieliły hotel ogrody, napełniały pokój błękitnym i mętym światłem, jakby płynącym z księżyca. Lafcadio chciał zebrać myśli, ale owładnęło nim dziwne odrętwienie; nie myślał ani o swojej zbrodni, ani o sposobach ocalenia się; próbował jedynie nie słyszeć już okrutnych słów Juliusa: "Zaczynałem cię kochać..." Jeżeli on nie kocha Juliusa, czyż te słowa warte są jego łez? Czy naprawdę dlatego płakał?... Noc była tak słodka... Miał uczucie, że wystarczyłoby mu tylko poddać się, aby umrzeć. Sięgnął do karafki z wodą przy łóżku, zmoczył chustkę i przyłożył ją na serce, które go bolało.

"Żaden napój tego świata nie orzeźwi już tego wyschłego serca!" — powiadał sobie, pozwalając łzom spływać aż na wargi, aby smakować ich gorycz. W uszach dźwięczały mu wiersze, które wyczytał nie wiadomo gdzie i których nie umiał sobie przypomnieć:

My heart aches: a drowsy numbness pains

*My senses...**

Zasnął.

Czy on śni? Czy nie słyszał pukania do drzwi? Drzwi, których Lafcadio nigdy nie zamykał na noc, otwarły się cicho, aby przepuścić delikatny biały kształt, posuwający się naprzód. Słyszy słabe wołanie:

— Lafcadio... czy jesteś tu, Lafcadio?

Na wpół uśpiony, Lafcadio poznaje jednakże ten głos. Ale czy jeszcze wątpi o realności tak

uroczego zjawiska? Czy boi się, aby jedno słowo, jeden gest nie spłoszyły go?... Milczy.

Genowefa de Baraglioul, której pokój znajdował się obok pokoju ojca, słyszała mimo woli całą rozmowę między ojcem a Lafcadio. Nieznośny lęk popchnął ją do pokoju młodego człowieka, a kiedy jej wołanie pozostało bez odpowiedzi, wówczas przekonana, że Lafcadio się zabił, rzuciła się w stronę łóżka i padła szlochając na kolana.

Podczas gdy tak klęczała, Lafcadio podniósł się, przechylił się ku niej, nie śmiejąc wszelako przyłożyć jeszcze warg do pięknego czoła błyszczącego w cieniu. Wówczas Genowefa uczuła, że cała jej wola zapada się; cofając wstecz to czoło, które już pieścił oddech Lafcadia, widząc obronę przed nim już tylko w nim samym, rzekła:

— Miej litość nade mną, przyjacielu mój!

Lafcadio opanował się natychmiast; usuwając się od niej i odpychając ją równocześnie, szepnął:

— Niech pani wstanie, panno de Baraglioul! Niech pani wyjdzie! Ja nie jestem... ja nie mogę już być pani przyjacielem.

Genowefa wstała, ale nie odeszła od łóżka, gdzie znajdował się na wpół leżąc ten, którego miała za umarłego. Z tkliwością dotykając płonącego czoła Lafcadia, jakby dla upewnienia się, że on żyje, mówiła doń:

— Ależ, drogi, ja słyszałam wszystko, coś ty mówił ojcu. Czy nie rozumiesz, że ja dlatego przychodzę?

Podnosząc się nieco na łóżku, Lafcadio patrzył na nią. Rozplecione włosy spadały jej na ramiona, cała twarz była w cieniu, tak że nie widział wyraźnie jej oczu, ale czuł, że go obejmują spojrzeniem. Jak gdyby nie mogąc znieść słodyczy tego spojrzenia, ukrył twarz w dłoniach:

— Och, czemuż cię spotkałem tak późno! — jęknął. — Za coś ty mnie pokochała! Czemu tak mówisz, kiedy nie jestem już wolny ani godny twojej miłości!

Zaprzeczyła smutno:

— Do ciebie, Lafcadio, przychodzę, nie do innego. Do ciebie, zbrodniarza. Lafcadio! Ileż razy wymawiałam w westchnieniu twoje imię od owego pierwszego dnia, w którym ukazałeś mi się jako bohater, zanadto nawet zuchwały... Trzeba, abyś to wiedział teraz: w sekrecie przyrzekłam się tobie, od chwili gdy cię ujrzałam, jak się poświęcasz w sposób tak wspaniały. Cóż się stało od tego czasu? Czy to możebne, abyś ty zabił? Coś ty z siebie zrobił?

Lafcadio potrząsnął głową bez odpowiedzi. Ona mówiła:

— Czyż nie słyszałam z ust ojca, że tamtego uwięziono? Bandytę, który zabił... Lafcadio, póki jeszcze czas, uciekaj; jedź, jeszcze tej nocy. Jedź!

Na to Lafcadio:

— Już nie mogę — szepnął.

Włosy Genowefy dotykały jego rąk; chwycił je, przycisnął namiętnie do oczu, do warg. — Uciekać! Czy to ty mi radzisz? Ale gdzie ty chcesz, abym teraz uciekał? Gdybym nawet umknął policji, nie uciekłbym przed samym sobą... A przy tym ty byś mną gardziła, gdybym uciekł.

— Ja! Gardzić tobą, drogi mój...

— Żyłem nieświadomy; zabiłem jak we śnie; to koszmar, w którym od tego czasu szamocę się...

— Z którego ja cię chcę wyrwać! — krzyknęła.

— Po co mnie budzić, jeżeli mam się obudzić zbrodniarzem...

Chwycił ją za ramię:

— Czy nie rozumiesz, że bezkarność budzi wstręt we mnie? Co mi zostaje teraz, jeśli nie oddać się w ich ręce, skoro wszędzie dzień.

— Bogu trzeba ci się oddać, nie ludziom. Gdyby ojciec nie był ci już powiedział tego, ja bym ci powiedziała teraz: Lafcadio, rzeczą Kościoła jest wyznaczyć ci karę i pomóc ci odnaleźć spokój poprzez skruchę.

Genowefa ma rację i z pewnością Lafcadio nie miałby przed sobą nic lepszego niż to wygodne poddanie się; uczuje to prędzej lub później, i to, że inne wyjścia są zamknięte... Szkoda, że to ten flak Julius pierwszy mu to poradził!

— Co ty mi za lekcję recytujesz? — rzekł wrogo. — Czy to ty mówisz do mnie w ten sposób?

Puszcza ramię, które przytrzymał, odpycha ją i podczas gdy Genowefa usuwa się, on czuje w sobie — wraz z mętną urazą do Juliusa — rosnącą potrzebę odwrócenia Genowefy od jej ojca, ściągnięcia jej niżej, bliżej siebie; spuściwszy oczy, ujrzał jej białe stopy w lekkich jedwabnych pantofelkach.

— Nie rozumiesz, że ja nie wyrzutów sumienia się boję, ale...

Wyszedł z łóżka; odwraca się od niej; idzie do otwartego okna; duszno mu; przyciska czoło do szyby, a płonące dłonie do chłodnego żelaza balkonu; chciałby zapomnieć, że ona jest tam, że on jest przy niej...

— Panno de Baraglioul, uczyniła pani dla zbrodniarza wszystko, na co młoda panna z dobrej rodziny może się ważyć; nawet trochę więcej; dziękuję pani z całego serca. Lepiej, aby mnie pani zostawiła teraz. Niech pani wraca do swego ojca, do swoich zwyczajów, do swoich obowiązków... Żegnaj panią. Kto wie, czy panią ujrzę jeszcze kiedy? Pomyśl pani, że jeżeli się wydam jutro, to

dlatego aby się czuć trochę mniej niegodnym uczucia, jakie mi pani okazuje. Pomyśl, że... Nie! Nie zbliżaj się... Czy myślisz, że uścisk dłoni wystarczyłby mi?

Genowefa stawiałaby czoło gniewowi ojca, opinii świata i jego wzdardzie, ale wobec tego lodowatego tonu Lafcadio jest bez siły. Czyż on nie rozumie, że skoro przyszła w ten sposób, w nocy, mówić z nim, wyznać mu swą miłość, i jej także nie brak rezolucji ani odwagi, i że jej miłość warta jest może czegoś więcej niż podziękę?... Ale jak mu powiedzieć, że i ona także do tego dnia miotła się niby we śnie — we śnie, z którego wydzieraa się chwilami jedynie w szpitalu, gdzie pośród biednych dzieci, opatrując ich prawdziwe rany, miała czasami uczucie, że ma wreszcie kontakt z jakąś realnością — w marnym śnie, w którym poruszali się koło niej rodzice i wznosiły się wszystkie mizerne konwencje ich świata, i że nie była zdolna brać serio ich gestów, tak samo jak ich poglądów, ambicji, zasad, tak samo jak ich osób. Cóż dziwnego, że Lafcadio nie wziął na serio Amedeusza Fleurissoire... Czy to możliwe, aby się tak rozstali? Miłość popycha Genowefę, rzuca ją ku niemu. Lafcadio chwyta ją, przyciska, okrywa jej blade czoło pocałunkami...

Tu zaczyna się nowa książka.

O, namacalna prawdo żądy! Ty odpychasz w cień majaki mojej wyobraźni.

Opuścimy naszą parę kochanków w godzinie piania koguta, kiedy barwa, ciepło i życie święcą wreszcie tryumf nad nocą. Lafcadio podnosi się nad uspioną Genowefą. Jednakże nie na piękną twarz kochanki, nie na czoło jej zwilżone potem, powieki z perłowej masy, gorące rozchylone wargi, doskonałe piersi, zmęczone członki, nie na to wszystko spogląda — ale przez szeroko otwarte okno patrzy na świt, w którym drży drzewo w ogrodzie.

Niedługo będzie już czas, aby go Genowefa opuściła; ale on czeka jeszcze; słucha, pochylony nad nią, poprzez jej lekki oddech, mętnego hałasu miasta, które już otrząsa się z odrętwienia. W oddali brzmi w koszarach pobudka. Jak to! Wyrzec się życia? Dla zdobycia szacunku Genowefy, którą ceni trochę mniej od czasu, jak ona kocha go trochę więcej, czyż Lafcadio myśli jeszcze o tym, aby się wydać?

* *Dapprima importa...* (wł.) — Najpierw należy wiedzieć, kto to jest.

* *Ma chi sa...?* (wł.) — Ale kto wie, czy żyje jeszcze?...

* *Importa di domesticare...* (wł.) — Trzeba oswoić się z nowym zamysłem

* *It is...* (ang.) — Pora spuścić statek na wodę.

* *Compte rendu de la Délivrance de Sa Sainteté Léon XIII emprisonné dans les cachots du Vatican* (Raport o wyzwoleniu Jego Świątobliwości Leona XIII, uwięzionego w lochach Watykanu) — *Saint-Malo imprimerie Y. Billots, rue de l'Orme, 4/1893* (przypis autora).

* *Plastyczny Karton Rzymski* — oznajmiał katalog — *wynalazek stosunkowo świeży, którego tajemnicę posiada firma Blafaphas, Fleurissoire i Léwichon, zastępuje z wielką korzyścią inne imitacje kamienia, których braki wykazała aż nadto dobrze praktyka*. Następował opis rozmaitych modeli (przypis autora).

* *Is fecit...* (łac.) — Zrobił ten, kto z tego korzysta.

* — Tylko jeden jest na to środek. Jedna jedyna rzecz może uleczyć nas od samych siebie. — Tak — rzekłem — ale ściśle biorąc nie o to chodzi, jak się wyleczyć, tylko jak żyć. (Przekład Anieli Zagórskiej)

* *Two hawks...* (ang.) — Dwa sępy w powietrzu, dwie ryby w morzu nie wolniejsze są od nas...

* *My heart...* (ang.) — Serce mnie boli: senna drętwota obezwładnia moje zmysły...